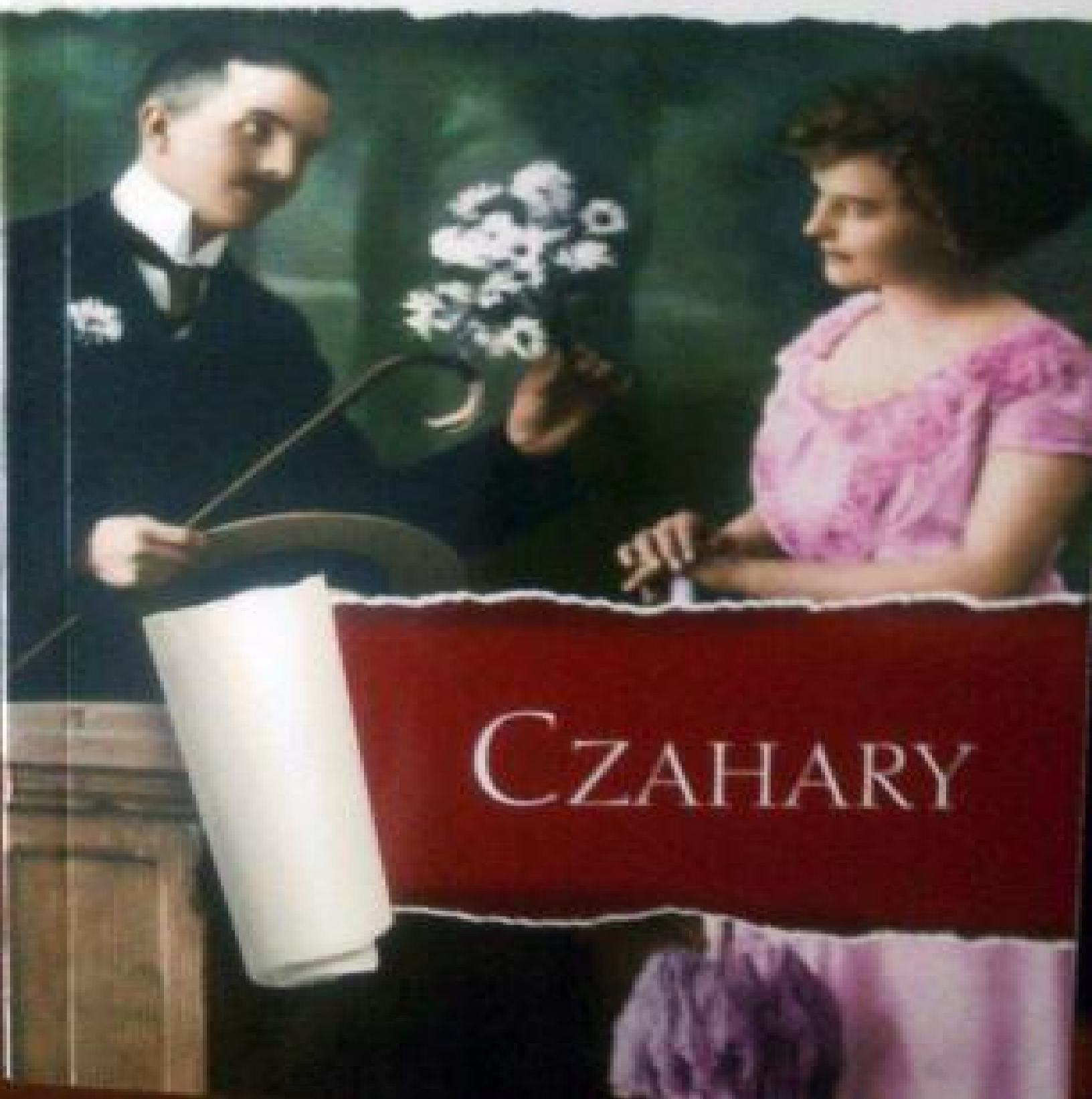


MARIA  
RODZIEWICZÓWNA

*Klasyka Literatury Kobiecej tom 9*



CZAHARY





# I

Dzwony kościelne grały żałobnie. Powietrze pełne było ich skarg — przenikały do wnętrza domów, głużyły szmery. Przechodzień każdy ku dzwonnicy oczy podnosił, a potem zwracał je na karawan, przed farą stojący, i przystawał zwiększając ciżbę gapiów.

Ulica zatłoczona była tłumem ciekawych i długim szeregiem zaprzęgów obywatelskich — grzebano kogoś znacznego.

Z gęstych, siwych chmur począł sypać śnieg.

— No, panowie, może już pora na eksportację — zawołał pan Jan Zarudzki wchodząc do pokoju hotelowego, gdzie czterech przybyłych na pogrzeb obywateli grało w winta.

Nikt na razie nie odpowiedział, bo rozgrywano partię, dopiero gdy skończyli, któryś zapisując mruknął:

— Dzwonią na egzekwie, jeszcze czas, skończymy robra. Spójrz no, czy konie pod kościołem.

— Stoją. Nie wiecie, czyje to kasztany?

— Czwórka w szorach? Czyjeż by? Motolda!

— Eee! To i sam Luter grzebie Janickiego! Wielka parada. Nie wiecie? Sam jest czy z żoną?

— Sam. Od początku siedzi jako przysięgły w sądzie okręgowym. Bez atu.

Rozmowa się urwała. Zarudzki podszedł do okna i na plac patrzył. Dzwony wciąż grały.

Zajazd pełen był gości pogrzebowych, więc po chwili ktoś znowu wszedł.

— Panowie! Chodźmy. Musimy się przecie w kościele pokazać. Wszyscy już poszli.

— To idź, kiedy ci tak pilno! — burknął jeden z graczy, który wpadł bez trzech na małego szlema.

— Zaraz skończymy! Nie przeszkadzajcie! Nowo przybyły zbliżył się do Zarudzkiego.

— Dziekan może długo i grubo śpiewać. Bierze pięćset rubli za pogrzeb.

— Oni by dali tysiąc z radości, że się wreszcie do fortuny dorwą. Męczył bo ich stary. Teraz Karolek pewnie Sterdyńską dostanie.

— No, a Lucjan interesa oczyści. Ciekawym, czy się podzielią, czy Karolek Lucjana spłaci.

Kapitałów stary nie miał, ale i długów żadnych. Zawsze dla dwóch suto będzie.

— No, siostróm dać muszą spłatę.

— Co tam siostry! Ale co z Wacławem będzie?

— Co ma być. Pewnie dawno przepadł i nie żyje.

— Zobaczysz, że zmartwychwstanie do spadku.

— Eee! Nie będzie się śmiał pokazać.

— No, no! A zresztą — Zośka im jakąś sztukę utnie.

— Zośka! Ta weźmie spłatę i drapnie w świat. Dość miała niewoli ze starym.

— Że nieznośny był, to prawda... Aleć o Zoşkę stara się podobno Owerło. Stary Janicki kijem go wygonić obiecał, tak o córkę był zazdrosny — teraz może się pobiorą.

— No, panowie, idziemy! Nie wiecie, stypa będzie?

— U dziekana obiad po pogrzebie. Karolek wczoraj wieczorem wszystkich prosił.

— Dobrą mają starkę, jeszcze po chorążym.

Wyszli wszyscy na ganek, przez plac do kościoła, oglądając konie i ekwipaże.

Przystanęli koło czwórki Motolda i któryś rzekł półgłosem:

— Kareta tysiąc rubli, a niedawne czasy — Motoldowi żaden Żyd by tysiąca grosza nie pożyczył. Bestia ma szczęście.

— Szczęście? Toć na to szczęście dużo perkalików natkał. Niech no mu żona kipnie, znowu będzie piechotą chodził i z Łasicka z kijem w świat ruszy; sukcesora ani słyhu.

Roześmieli się na jakąś szeptem dopowiedzianą uwagę Zarudzkiego i weszli do kościoła.

Nad tłumem katafalk królował, msza dobiegała końca, przepchali się przez tłum gawiedzi do pierwszych ławek i tam zaczęli się rozglądać, kto jest ze znajomych, witać się w milczeniu, obserwować zachowanie się rodziny, ilość świateł, trumnę, przybranie kościoła.

Zjazd obywatelski był liczny, nikogo nie brakło. Nieboszczyk był długie lata marszałkiem powiatu, rodzina dawno osiadła w okolicy, szeroko spokrewniona, a przy tym pogrzeb wypadł w czasie kadencji sądu okręgowego i dorocznego jarmarku, i przed świętami Bożego Narodzenia, gdzie z najdalszych kątów powiatu gospodynie ściągały z powodów spizarnianych do miasta.

W pierwszej ławce było czworo dzieci zmarłego: dwóch synów, jeden zupełnie łysy, drugi przystojny blondyn, obydwaj z krepą na rękawach i twarzami urzędowo, przyzwoicie strapionymi. Kobiety miały na twarzach krepowe welony, więc rysów trudno było rozpoznać.

Tym się różniły, że jedna płakała, druga klęczała sztywno, bez ruchu. Za nimi siedział szwagier Janickiego, Wilszyc, z żoną i dwie siostry zmarłego, potem rodzina dalsza.

Celem wielu spojrzeń był Motold.

Tłum ten cały go znał, bo potentatem był powiatu — miał w tym tłumie wrogów i zawistnych, i pochlebców, i krytyków, i oszczerców, nie miał może tylko ani jednego przyjaciela. Stał wśród całej grupy obywateli i niczym się od nich wybitnie nie różnił. Był średniego wzrostu, wyglądał

na lat czterdzieści, włosy już szpakowate, rysy dość pospolite, trzymał się pochyło, niepozorny był i widocznie obojętny na ciekawość ludzką lub myślą gdzie indziej — nie pozował.

Ksiądz odśpiewał grobowe *Requiescat* i zmieniał ornat na kapę, ruch się uczynił wokoło katafalku, panowie podeszli bliżej, jedna z córek wybuchła spazmatycznym płaczem, młodszy syn dawał jakieś rozkazy służbie, rozszedł się zapach kadzidła, wszyscy powstali.

Zaczęto usuwać kwiaty i świece, obnażać katafalk, wszyscy patrzyli na trumnę jakby na coś żywego, świętego — zdejmowano ją powoli, ostrożnie, dla łachmana ziemskiego mając większy wzgląd jak dla ducha, którego już szarpano krytyką lub lekceważeniem. Wzięli ją na barki synowie, kilku jeszcze młodych ludzi, wśród nich zauważono Owerłę. Zauważono też, że trumna była za skromna, że młodsza córka okazywała skandaliczny brak serca i żalu. A wtem kondukt ruszył, uczynił się tłok i każdy już tylko uważał, by go nie uduszono w ciasnej kruchcie i żeby być najbliżej trumny.

Śnieg padał coraz gęściej — włożono trumnę na karawan i na piechotę ruszyła szczupła garstka, a i ta coraz malała. Gdy kondukt wyszedł za miasto, już tylko czworo najbliższych było za trumną — i długi szereg zaprzęgów. Wszyscy klęli w duchu, ale spełniali światowy obowiązek.

Na cmentarzu wśród zadymki i wichru ksiądz spiesznie ceremonii dokończył i gdy murarze zaczęli katakumbę zamuroвывать, wszyscy rzucili się do odwrotu. Młodszy syn pozostał z jedną z córek, starsi odjechali, by przyjąć gości na probostwie.

Po chwili śnieg zatarł ślady, dzwony umilkły, murarze skończyli robotę, ostatni zaprzęg odjechał — żywi wrócili do życia, Janicki został na stałej już siedzibie i w zupełnym spokoju.

Już nawet nie mówiono o nim po zajazdach tego wieczora — mówiono o stypie i o dzieciach.

Stypę chwalono — smaczna była i suta, ale tych, którzy ją wydali, szarpano niemiłosiernie.

Nikt z powodu zadymki i winta nie spieszył do domu, tylko Motold o zmroku odjechał — na stypie pomimo zaproszeń obu Janickich nie był, wymówiwszy się grzecznie, lecz stanowczo chorobą żony i ważnymi w domu sprawami.

Stary Wilszyc z żoną poszedł wieczorem do dworku Spendowskiego, jurysty, który sprawy majątkowe i sądowe całego powiatu załatwiał, był doradcą, przyjacielem i plenipotentem obywatelskim, i tam we dwóch — starzy i czujący może już także bliski kres — poczęli nieboszczyka wspominać i o Janickich długo i szeroko rozprawiać. Spendowska z Wilszycową opowiadały sobie miastowe i wiejskie kłopoty ze służbą — mężczyźni przypominali lata młode, szkolne koleżeństwo z

Janickim, potem wyrzekać zaczęli na młode pokolenie.

— Czy zostawił chociażby testament? — spytał Wilszyc. — Bo ostatnimi laty tak zdziwaczał, że już i do mnie nienawiść czuł, i ledwie jakie słowo bąknął. Waclaw go dobił.

— Hm, zapewne, nieprzyjemna była sprawa — zamruczał Spendowski. — Jednakże niczym nie jest dowiedzione, że Waclaw te weksle pofalszował.

— Toć się przyznał.

— Przyznał się, ale na co i gdzie wydał te pięć tysięcy rubli — śledziłem... i niczemu nie odkrył.

— Zabrał ze sobą. To jasne.

— Nie może być. Weksle Kahan trzymał dwa lata, zanim podał do sądu. Żeby Waclaw pieniądze miał, toby zapłacił, gdy mu je ojciec w twarz cisnął i przeklął. Ja przy tym byłem i Waclawa znałem dobrze. Wie pan, co powiem — on z nich najlepszy, on i Zośka.

— Panie Florianie, a wam co się dzieje! Nie chwalebę ja tamtych ani rachuję na nich, ale zawsze bez skandalu żyją! A ten hańby naniósł, a ta wariatka — jak ją przez ambasadę, jako małoletnią, ojciec sprowadził z Paryża, to mały wstyd był? Co wyrośnie z dziewczyny, która mając lat siedemnaście ucieka z domu w świat na awantury? No, odsiedziała ona za to dobrą pokutę z ojcem i miała za swoje. Mówili oni co panu, jak się podzielić myślą?

— Mówiliśmy wczoraj wieczorem. Byli tu obadwa i zgodnie wszystko zdecydowali. Pan Karol, jako najmłodszy, przy Woronnem zostaje; pan Lucjan bierze sto tysięcy spłaty, na co sprzedadzą las i wezmą pożyczkę bankową.

— No, a siostry?

— Oni rachują dać pani Bronisławie dziesięć tysięcy, *respective* rentę od tej sumy pięcioprocentową, rocznie pięćset rubli, a pannę Zofię do zamęścia pan Karol utrzymuje i takiż posag ma jej wypłacić.

— Hm, Karolkowi bardzo ciężko będzie. No, ale Sterdyńska ma podobno czterdzieści tysięcy posagu.

— Ma. Ja ręczę, gotówką na stół.

— Ha, no, byle ją dostał, to wyboruje. A jakże, siostry się zgadzają?

— Nie było o tym mowy, więc musieli się już porozumieć. Mają być wszyscy jutro u mnie dla napisania projektu działu.

— A wiem, bo i mnie prosili na świadka. Nie można im nic zarzucać, politycznie i rozsądnie poczynają, kiedy i los sióstr chcą zabezpieczyć.

W tej chwili ktoś począł gwałtownie do dworku kołatać. Spendowski, zdziwiony, ruszył do sieni i po chwili rozległ się znany Wilszycowi głos Karola Janickiego.

— Przepraszam szanownego pana za najście o tak późnej porze, ale stała się rzecz tak niesłychana, że musiałem dziś jeszcze o ratunek i radę prosić. Zośka odmawia podpisania działu, no, ale chyba musi być prawo, żeby ją do tego zmusić albo obejść się bez jej zgody.

— Ja przeczuwałam, że ona im nawarzy piwa — szepnęła Wilszycowa do Spendowskiej.

— Co ty mówisz? Odmawia? Jak to? Dlaczego? Janicki, zasapany, rozdrażniony, przywitał panie i jękając się z alteracji wielkiej, mówił:

— Jak to? Dlaczego? Czy wuj jej nie zna? Żeby nam na złość zrobić, żeby nas zgubić. Ona nas nie cierpi, bośmy na jej wariacje się oburzali i strzegli. Ale to nie może być, żeby ona, córka, mogła nam przeszkodzić.

Spendowski milczał, a na ostatnie, do siebie zwrócone zdanie, powoli odpowiedział:

— Dział może być prawomocny przy zgodzie wszystkich członków rodziny. Należy wpłynąć na pannę Zofię, wyrozumieć jej chęci, bez jej podpisu nic uczynić nie możemy. Zapewne powiedziała panom, dlaczego zgody swej odmawia.

— A powiedziała. O! ona widocznie dawno plan ma gotów. Żąda wydzielenia swej czternastej części ziemi, a siódmej w ruchomościach, i żąda wydzielenia schedy Waclawa.

— Waclawa? — zawołali wszyscy zdumieni.

— Tak. Widocznie poza plecami ojca utrzymywała z nim stosunki potajemnie i mówi, że ma jego prawne pełnomocnictwo do działania w jego imieniu,

Zapanowało grobowe milczenie. Nareszcie Wilszyc ręce ze zgrozą wznosił do góry.

— Awantura! — jęknął.

— Oto jest rezultat wszystkich emancypacji i wolności dawanej pannom! — wybuchnęła Wilszycowa. — Sumienia i wstydu nie ma taka dziewczyna. Całą rodzinę gubi! Nic nie uszanuje, nawet ojcowskiej świeżej mogiły. Zgroza!

— Będzie dużo ambarasu i mitręgi. To może potrwać lat parę, a ile będzie kosztów i pisaniny!

— mruknął Spendowski.

— To musi się lada dzień skończyć. Lucjan ma terminowe spłaty. Rozszarpia go Żydzi. A ja!

Co powiem Sterdyńskim! Albo ja wiem, co ja mam, gdzie żonę przywiozę, za co się wykwipuję.



Toć w Woronem ruina, ojciec od dziesięciu lat wszystko zaniedbał, mnie grosza nie dawał, mam także długi, musiałem z czegoś żyć przecie. A gdzie się podziewały dochody, to jedna Zośka wie, ojca opanowała, gdy zniedołężniał, niby on rządził z fotelu, a jej wszędzie było pełno, bezład nie do opisanania i chaos w gospodarstwie. Tysiące teraz pochłonie zaprowadzenie ładu, a przecie dochody były, a w biurku ojca znaleźliśmy tysiąc kilkaset rubli — to pogrzeb pochłonie.

— Panna Zofia nie zatai, jeśli o kapitałach coś wie — rzekł Spendowski.

— Pytałem, odpowiedziała, że księgi ojciec sam prowadził, żebym je przejrzał. A wie wuj, że ona nawet do Woronnego wracać nie chce. Powiedziała, że tu w miasteczku zamieszka i po wydzieleniu jej czternastki tam osiedzie.

— Gdzie będzie mieszkać? Z czego się utrzymywać? — jęknął Wilszyc.

— Już znalazła drugą wariatkę. Tę wściekłą Bajkowską. U mej wynajęła już pokój.

— Jezus Maria! W t r a k t i e r z e będzie siedzieć. To już skończenie świata! — zawołała Wilszycowa.

— Na to nie można pozwolić — rzekł Wilszyc — ja się z nią jutro rozmówię, ona musi się opamiętać, ja jej przedstawię, czym to grozi, ja jej zapowiem, że wszyscy ją odstąpimy, na nikogo niech nie rachuje. Ona się złąknie opinii publicznej i zerwania z rodziną. Jeszcze nie desperuj, Karolu — uchodzimy ją. Zresztą przez wzgląd na Owerłę, na skandal nie odważy się.

Gadać w gniewie łatwo, ale po rozwadze się umityguje. Ja ci powiem, że najgorsza jest scheda Waława. Jeśli naprawdę on żyje, musicie go wydzielić. To nie czternastka siostrzana, to dziedzic wam równy.

— Ojciec powtarzał do ostatniej chwili: „Mam dwóch synów, tamten swoje wziął, nie znam go i nic jego tu nie ma”.

— To jest fakt moralny, to żaden dokument — rzekł Spendowski. — Woronne pójdzie na trzy działy. O, bardzo się interes gmatwa. Nasz pierwszy projekt zupełnie trzeba zmienić, żaden punkt nie zostanie.

— Więc ja zginąłem! — jęknął Karol płaczu bliski. — Pozostaje mi chyba w łeb sobie palnąć.

Lucjana z dzierzawy wyrzucą — na dziady zejdziemy wszyscy. Panie Florianie, w najlepszym razie, kiedy może być dział zatwierdzony?

— Przy ogólnej zgodzie — do pół roku formalności się przeciągną.

— Więc i sprzedaż lasu, i pożyczka bankowa nie może być pierwej?

— Nie! — odparł prawnik stanowczo i dodał po namyśle: — tylko mógłby pan otrzymać prywatną pożyczkę, opartą na sprzedaży lasu, ale nic nie można zrobić i dostać, dopóki dokument dzielczy nie będzie przez was wszystkich rejentalnie podpisany...

— Wuju! — porwał się Janicki — rozmówcie się dziś jeszcze z Zośką, uspokójcie Lucjana —

ratujcie nas. Konie moje stoją. Jedźmy!

— Jedź, Michale! — rzekła Wilszycowa.

— No, to ruszajmy razem, już późno! A może by i pan, panie Florianie, z nami, to zaraz będziemy wiedzieli, co jutro poczynać. Ja jestem pewny, że dziewczyna się opamięta, a im istotnie pilno kończyć.

Spendowski się zgodził. Do zajazdu, gdzie mieszkali Janiccy, niedaleko było. Lucjan z żoną zajmował jeden numer, Karol drugi — obie córki mieszkały osobno, w końcu kurytarza. Wstąpili do Lucjanów, zastali ich oboje zupełnie przybitych. Istotnie położenie ich było fatalne, Lucjan za posag żony wziął przed siedmiu laty dużą dzierżawę. On był próżny i leniwy, ona miejska panna, znająca wieś tylko z opisu i letnich mieszkań. Poznali się w karnawale, pokochali na zabój — i po Wielkanocy pobrali. Stary Janicki sprzeciwiał się małżeństwu i nic synowi dać nie chciał.

Więc Lucjan na kredyt wziął dzierżawę, na kredyt urządził dom, potem posagiem żony długi spłacił i znowu się zapożyczył.

Narzekał na złe lata, na nieurodzaje, na klęski, a w rezultacie prócz tego narzekania —

niewiele co robił. Rodzina się powiększała, było dzieci czworo, oczekiwano piątego. Pani z eleganckiej panny zmieniła się w zwiędłą, cherlającą, zaniedbaną w stroju babę. Snuła się po domu z kąta w kąt, znudzona, apatyczna, bezmyślna, zawsze na wpół tylko ubrana i rozczochrana.

Stary Janicki raz ich odwiedził — nazwał ją „flądram” i więcej już nie był w ich domu.

Z całej rodziny Lucjan i starsza siostra, Bronisława, byli flegmatyczni i łagodni, zgadzali się zwykle biernie z losem, nie spierali się z ojcem, nie walczyli z dołą, nie myśleli o przyszłości, nie mieli żadnego zdania i charakteru, nawet do złego nie mieli chęci ani energii. Płakali przy śmierci ojca, najmniej chciwi byli spadku — a teraz Lucjan nie sarkał ani się miotał, ale siedział

osowiały nad żoną — i czekał, co Karol obmyśli, a Spendowski postanowi. Najchętniej by się spać położył, ale nie wypadało.

— No, Lucjanie, pójdziemy do Zośki — rzekł energicznie Wilszyc. Przyprowadzimy ją tutaj i będzie zgoda.

— Myśli wuj? Dałby to Pan Bóg, ale już ją Karol dwie godziny namawiał, i nie chce.

Wstał z westchnieniem i wyszli wszyscy. Karol ze Spendowskim zostali po drodze, by czekać na rezultat poselstwa, a oni zapukali do pokoju sióstr.

— Kto tam?

— My z Lucjanem! Otwórz no, musimy się z tobą widzieć.

— Bronka już śpi.

— Niech śpi. Krzyczeć nie będziemy.

Po chwili jakby wahania rozległy się kroki, klucz zgrzytnął — weszli.

Przed nimi stała dziewczyna w czerni, średniego wzrostu, szczupła, o twarzy suchej i ściągłej, bystro i jasno przed siebie patrząca. Nie udawała, że nie wie, z czym przychodzą, ani wyglądała trwożna przed walką. Podała im krzesła i sama usiadła i czekała złożywszy ręce na piersiach.

— Co ci się, Zośko, stało? — rzekł Wilszyc. — Odmawiasz swego podpisu na dziale, niezgodę i kwasy wnosisz do rodziny — w dzień pogrzebu ojca, czy to się godzi?

— Żadnych spraw w dzień pogrzebu bym nie wszczynała. Lucjan wie, kto zaczął tę kwestię.

— Karol zaczął, to prawda, ale widzisz, wejdź w nasze położenie. Ja mam palące długi — on chce się o Sterdyńską upewnić.

— Ja także radam prędzej mieć zapewniony los — i niczego nie żądam więcej, niż mi się z prawa należy. Jestem podlejszego gatunku spadkobiercą, dostaję czternastą część. Dajcie mi ją, a zaraz, co chcecie, podpiszę.

— No, przecie Karol daje ci tyleż, co Bronce, dziesięć tysięcy rubli.

— Po pierwsze, daje mi tylko utrzymanie do wyjścia za męż., czyli że jeśli za mąż nie pójdę, będę do śmierci na jego łasce i opiece — a ja łaski nie potrzebuję, a opiekować się sobą potrafię i sama. A po drugie, co znaczy ta suma dziesięć tysięcy? Kto ją zdecydował i na jakiej zasadzie?

Może mi za wiele raczą dać, ja chcę tylko mojej czternastej części.

— Jakże to? Ile ją rachujesz?

— Pięćset trzydzieści pięć morgów ziemi z Woronnego.

— Ziemi?! I tyle! Oszalałaś. Któż będzie kroić majątek na kawałki dla córek. A synom co zostanie? Toby po kilkunastu latach ani jedno rodowe gniazdo nie zostało — wszystko pójdzie w obce ręce...

— Moje ręce nie obce.

— Bajesz banialuki. Jest tradycja i obowiązek nad prawem nawet. Córki biorą posag, a ziemię rozdrabiać grzech. Zresztą, po co ci ziemia — nie chcesz być na łasce Karola, no, to ja wpłynę na ich decyzję i wypłacą ci twą część gotówką jak Bronce.

— Niech się wuj nie trudzi, ja inaczej jak w ziemi swej części nie chcę.

— Ależ, Zosiu, miejże wzgląd na mnie i moją rodzinę. Karol cię rozdrażnił i obraził, ale za co ja mam ginać? — rzekł Lucjan.

— Ty, czy tak, czy nie, zginiesz! — odparła twardo. — Zresztą chcesz dojść prędzej do spadku, czyń jak ja. Żądaj także swej części w naturze. Na twój dział wypada 2143 morgi.

— Skądże to! Jak rachujesz? — spytał.

— Woronne ma obszaru 7500 morgów, z tego potrąciwszy nasze dwie czternastki 1070

morgów, pozostaje na każdego z was trzech po 2143 morgi. Według najniższej ceny po 50 rubli morga twoja scheda warta 106 700 rb., nie licząc inwentarzy i ruchomości.

— Karol więc mnie nie skrzywdził. Wolę wziąć sto tysięcy gotówką, a fortuny nie rozdrabiać.

— Lepiej rozdrabiać, niż długami obciążać. Ale wy wolicie być wielkimi panami. Spytaj tylko Karola, czy po oddzieleniu części Waclawa da ci za twoją sto tysięcy. On tylko jednego brata chciał spłacić, a o drugim zapomniał.

— To prawda, o Waclawie nie było mowy — zamruczał Lucjan, argumentem tym zaniepokojony.

— Słuchaj no, Zośka — rzekł poważnie Wilszyc — tu nie czas na fantazje i kaprysy kobiece.

Tu się toczy kwestia poważna, chodzi o los nas wszystkich, o przyszłość całej rodziny, o opinię ludzką, o honor nazwiska. To, czego pragniesz, jest niesłychane i tego nie dostaniesz. Oni ci tego dać nie mogą, bo obydwaj zginą, a przecie ruiny ich na swe sumienie brać nie zechcesz ani narazisz siebie na potępienie całej rodziny i zerwanie z nami wszelkich węzłów, gdy oddasz sprawę tę waszą prywatną na sądową drogę. Na to ani pozwalamy, ani ci tego darujemy.

Zostaniesz w tej walce sama — zastanów się tedy, czym ci to grozi, i opamiętaj się, póki czas.

Zośka, słuchając, podniosła oczy na wuja i nie spuściła już wzroku. Oczy jej z siwych stały się prawie czarne, a ciemne brwi zbiegły się nad czołem; nozdrza rozdymały się i cała twarz się zmieniła. Nie przerwała jednak, dosłuchała, milczała chwilę — wreszcie ruszyła ramionami, i dziwnie się roześmiała.

— A kiedyż to ja, wuju, nie byłam sama, kiedyż to doświadczałam sympatii, opieki i serca rodziny? Przed siedmiu laty Lucjan i Karol gonili za mną aż do Paryża i jak zbiegłą kryminalistkę odwieźli do domu z rozkazu ojca. Nie chciałam wtedy ziemi ni działu w majątku, chciałam tylko człowieczej wolności, do tej chwili miałabym fach i stanowisko — i nie wzięłabym nic z Woronnego. Tamto nazywano piętnem hańby, wstydem, skandalem, nie pozwolono mi iść wybraną drogą, złamano mnie, małoletnią, przemocą rodziny. Musiałam się poddać, wybrać inną drogę, inny cel. Po siedmiu latach, gdy żądam tego, co mi się z prawa należy, znowu ma to być piętnem hańby, wstydem, skandalem. No, ale tym razem ani małoletnia, ani władzy rodziny już nad sobą nie uznaję; gdy ojciec umarł, już się żadnym groźbom nie poddam. Chodzi wam o to, bym została zerem, rezydentką u brata, może mnie kto raczy za żonę wziąć — albo przy Bronce w Warszawie mam osiąść i żyć z procentu od owych dziesięciu tysięcy, rzuconych mi wspaniałomyślnie przez Karola, lub umierać z głodu, gdy mi ich nie przyśle. No, nie wuju, wobec takiej perspektywy zostanę sarna, ale na gruncie, wrosnę w ziemię i dział mi dać muszą, choć nie chcą. Oni walczą o dobrobyt, ja tylko o byt będę, ale nie ustąpię i nie

zastraszycie mnie już teraz skandalem.

Wilszyc zaczerwieniony porwał się z miejsca.

— To twoje ostatnie słowo i stała wola?

— Tak, wuju. Powstała i ona także.

— Zatem pamiętaj, że nie masz rodziny.

— Wiem o tym.

— Rachuj tylko na siebie. My wszyscy będziemy zawsze po stronie braci twoich i potrafimy ich obronić przed twoim egoizmem i chciwością.

— Brońcie, jam na to przygotowana.

— Nie chcę cię nazwać, jak tego jesteś warta. Ukarze cię Pan Bóg i własne sumienie kiedyś, gdy będzie za późno. My się ciebie wyrzekamy, chodź, Lucjanie — słowa więcej rzec do niej nie godzi się.

Zośka usunęła się im z drogi, słowa nie rzekła; gdy drzwi się za nimi zamknęły, popatrzyła w tę stronę, ruszyła ramionami i pogardliwie się uśmiechnęła. Wtedy zza parawanu ozwał się szept:

— Jezus Maria, coś ty zrobiła!

— Śpij, nie twój kłopot. Ciebie nie wyklęli.

— Ale przez twój upór i ja nic nie dostanę — żałosny głos dalej szeptał.

— Dlaczego? Bądź spokojna. Jutro powiedz Karolowi, że żądasz natychmiast twoich dziesięciu tysięcy i zaraz go pokwitujesz ze wszelkich pretensji do spadku albo stajesz po mojej stronie — to ci do wieczora wypłaci.

— Dlaczego? Ty myślisz, że oni się ciebie boją?

— Dlatego, że wasza część prawna warta około 30 tysięcy, Zarobi na tobie grubo.

— Jakaś ty chciwa i interesowna, Zośka. Co się z ciebie przez te kilka lat zrobiło!

— Żyłam z ludźmi, więc jestem zła. Gdy znowu sama zostanę w tej pustce, którą mi wydzielią, poprawię się. Teraz mi ino dziób i szpony potrzebne. Nie myślę, że się mnie boją, ani tego potrzebuję. Muszą mi dać, czego żądam, i ani sumienie, ani Pan Bóg mnie za to karać nie będzie, o to jestem spokojna, i idę spać, czego i tobie życzę.

Zaczęła się rozbierać, zdmuchnęła lampę, zapanowało milczenie, po chwili zza parawanu znowu się ozwał szept.

— Zośka, jakże ty mi radzisz? Bo ja nie wiem, Lucjan naprawdę zginie, opowiadali mi wszystko szczegółowo, oni wiszą na włosku.

— Ty ich na tym włosku powiesiłaś?

— Nie o to chodzi, ale jakże ich gubić! Brat rodzony.

— A twój Władek i Marylka czyi rodzeni? Po co się mnie radzisz? Powiedziałam ci raz, jak myślę, potem tamci cię przekonali, jutro, jak cię zbuntują, zerwiesz i ty ze mną wszelkie stosunki, więc po co mam się darmo fatygować? Tyś do walki nie stworzona, płyn z falą. To ci tylko obiecuję, że jak ta fala wyrzuci cię jako rozbitka na piasek, mój dom — twój dom i twoich pędraków. A nie uczynię tego, żeś mi siostra, ale żeś kobieta i słaba. A teraz śpij!

Ale Bronka nie chciała spać, poczęła płakać. Zośka udawała zrazu, że tego nie słyszy, wreszcie zawołała:

— Czego ty beczysz? Czego ty chcesz? Mówże, słucham.

— Taka sama jestem, taka nieszczęśliwa sierota. Ani pomocy, ani rady, ani oparcia. Taka sierota — powtarzała Bronka wśród łkań, — Żeby jeden przyjaciel, jedna dusza życzliwa.

Wszyscy mnie odstąpili, nikt nad moją niedolą nie ma litości.

— Bronka, słuchaj no, kogo ty obwiniasz? Prawda, tobą kierować trzeba, ale czyś ty się kiedy kierować dała? Nie masz siły ani woli, a masz upór. Podłe tve położenie, nie przeczę, ale po coś je sobie urządziła. Czy ci nie wstyd teraz lamentować! Gdy się Krukowski zaczął wokoło ciebie kręcić, nie perswadowali ci wszyscy, że blagier, że próżniak, że nic nie posiada i że suchotnik?

Uparłaś się .....— poszłaś za męż. Potrzebne ci to było?

— On mnie tak kochał, tak prosił!

— To dopiero racja!

— Ty nie rozumiesz tego. Ty nie masz serca.

— Takiego, żebym je komu dawała, dlatego że prosił, to nie, dzięki Bogu. No, i na tobie dowód, że nie warto. Dużo ci przyniosło małżeństwo?

— Żeby Leon żył, miałabym obrońcę i opiekę. Zośka aż porwała się i usiadła na łóżku.

— Bój się Boga, Bronka, czyś ty pamięć straciła? Jakim—że on ci był obrońcą i opiekunem?

Żyliście ze sobą trzy lata, miałaś dwoje dzieci, utrzymywał was ojciec, bo on cherlał i sam potrzebował ciągłej opieki. Byłam u was parę razy i wiem, jak nieznośnym był w pożyciu, ty się zalewałaś łzami i przeklinałaś los, on cię traktował jak kupioną na targu niewolnicę, a teraz raptem żałujesz go i ubóstwiasz. To szczęście, że te sumy, które ojciec wam dawał, zapisane tylko jego ręką

w prywatnym notatniku i w moim posiadaniu, bo żeby stały w rachunkach i Karol je znalazł, toby ci grosza ze spuścizny ojcowskiej nie dał. Streszczając czyny tego twego opiekuna i obrońcy, pozostaje jako ich rezultat dwoje dzieci, bo zresztą zmarnował twoje pieniądze, twoje zdrowie, zatrął ci kilka najpiękniejszych lat życia — i tyle! To mi dopiero bohater, masz nad kim kwilić!

— Zośka, grzech jest o umarłych źle mówić.

— Grzech jest tak żyć, by po sobie żadnej albo złą pamięć zostawić, o tym niech żywi pamiętają. Jesteś matką, musisz w sobie wyrobić charakter i wolę, by móc dzieci wychować.

Dobrowolnie nabrałaś na głowę obowiązków, teraz je dźwigać musisz, a nie lamentować; Leona nie wskrzesisz, ojcem i matką musisz być dzieciom — to pamiętaj.

— Cóż ja pocznę, nieszczęśliwa! Nie mogę, nie godzi się wbrew całej rodziny iść. Ty nie dbasz o opinię, ja muszę przez wzgląd na moje wdowieństwo i sieroty. Oni mnie nie skrzywdzą, oni mają dobre serce, wuj Wilszyc nie dopuści. To by grzech był ciężki.

Zośka położyła się do snu i rzekła:

— Kupże im wszystkim po jednym egzemplarzu katechizmu, podkreśl odnośne do ciebie grzechy czerwonym ołówkiem i zdaj swe losy w ich ręce. To ostatnie moje słowo w tej kwestii, a teraz daj mi spać, bo jutro czeka mnie ciężki dzień.

## II

Wśród stosu listów wydobytych z pocztowej torby Motold zauważył jeden żałobny, pisany prostym, czystym pismem, zupełnie sobie nie znanym. Otworzył, spojrzął na podpis i chwilę na to imię i nazwisko patrzył, jakby sobie przypominał, potem zaczął czytać.

„Szanowny Panie!

Po śmierci ojca naszego wynikły w rodzinie nieporozumienia, nie dające rozstrzygnąć w prywatnym kółku kwestii majątkowego działu. Zgodziliśmy się tedy powierzyć tę kwestię obywatelom i prosić ich o łaskawe zajęcie się ocenieniem pozostałej po ojcu fortuny i wydzieleniem z takowej pojedynczych sched. Bracia moi i siostra wybrali ze swej strony na sędziego pana Sterdyńskiego, który obywatelską tę usługę zgodził się spełnić. Ja, w imieniu swoim własnym i brata trzeciego, Wacława, udaję się do Szanownego Pana z prośbą o przyjęcie naszych pretensyj pod swoją opiekę, a jeśli Szanowny Pan nam nie odmówi, cokolwiek zdecyduje i ile nam wydzieli, z wdzięcznością wyrok przyjmujemy i święcie spełnimy.

Wszelkie potrzebne dokumenty i informacje złożę, gdzie i kiedy Szanowny Pan raczy zażądać,

*Zofia Janicka*”

Motold list odczytał i zapatrzony weń, myślał długą chwilę, potem arkusz papieru wziął i odpisał:

„Szanowna Pani!

Byłem przyjacielem Wacława i dziękuję, że mi Pani powierza jego i swoją sprawę; zajmę się nią jak własną. W następną niedzielę będę w mieście i zgłoszę się do Pani o potrzebne wskazówki i dokumenty. Zapewne posiada Pani pełnomocnictwo Wacława do działania w jego imieniu — to jest konieczne.

O wszelkich szczegółach porozumiemy się za widzeniem, a teraz proszę przyjąć zapewnienie mego poważania i gotowości do usług.

*Konstanty Motold*”

Zaadresował list do miasta i sięgnął po następną kopertę, już pochłonięty mnóstwem swych prac i obowiązków — tylko w notatniku nakreślił: 15 marzec, dział Janickich — i więcej o tym nie wspominał.

Gdy w sobotę po południu przyjechał do miasteczka, kazał natychmiast służącemu zwiedzić zajazdy i spytać, w którym mieszka panna Zofia Janicka. Lokaj wrócił z niczym i dopiero faktor Żyd objaśnił, że „panientka” z Woronnego już od dawna mieszka u „traktierki” Bajkowskiej i

„sądzi się” z „panem Lolkiem”, jak popularnie nazywano Karola Janickiego.

O Bajkowskiej wiedział Motold, bo sprawę jej z rodziną męża sądził swego czasu, przed pięciu laty



— i wymęczył dla niej wówczas parę tysięcy rubli, za które kobieta na złość owym krewnym założyła w miasteczku pod bokiem pyszałków rodzaj restauracji i cukierni, w której ostentacyjnie usługiwała sama i niepowściągliwa w mowie i zawziętości, wygadywała na swych krzywdzicieli niestworzone rzeczy. Doszło do tego, że Bajkowsy bali się w miasteczku pokazać, a całe obywatelstwo tę ich domową wojnę z „babą” miało za temat do żartów i drwin.

Wysłuchawszy relacji faktora, Motold o więcej nie pytał i poszedł do restauracji. W sali nie było nikogo z obywateli, klientela miejska tylko liczna. Jednakże Bajkowska, królująca za bufetem w głębi, od razu go w tłumie spostrzegła i natychmiast przydreptała, strojąc swą choleryczną, twarz w uśmiech, który miał być ostatnim słowem radości, a był grymasem.

— Pan pozwoli do gabinetu. Taki gość! Gdzieżby pan z ludźmi jadał! Proszę, proszę. Józef, srebro dla pana i porcelaną korecką i niech kucharz nie podaje obiadu beze mnie!

Zaprowadziła go do sąsiedniego pokoiku, dopilnowała sama nakrycia stołu a spytała, co by na obiad sobie życzył.

— Cośkolwiek, byle prędko, bo chciałbym się widzieć z panną Janicką, która tu u pani mieszka.

— A mieszka u mnie. Odnajęła salkę na górze. To ja jej doradziłam prosić pana o opiekę. Ja ją tu przyślę, co ma się pan fatygować na salkę — schody jak drabina i nie bardzo tam ciepło. Ona tu przyjdzie...

— Nie, pani, ja tam pójde — rzekł krótko i stanowczo, że Bajkowska już więcej nie protestowała i zniknęła prędko, zapewne by wejście na salkę jako tako uporządkować.

Rzeczywiście, gdy Motold, zjadłszy obiad, kazał się posługaczowi z restauracji tam zaprowadzić, spotkał po drodze dziewczynę z miotłą i poznał owoc jej pracy po tumanach kurzu na stromych schodkach, którymi jak po drabinie wydostał się na strych, zawieszony skostniałą od mrozu bielizną i wśród niej znalazł uliczkę, a na jej końcu drzwi oklejone papierem, do których zapukał.

Otworzyła mu Zośka, czekała nań już uprzedzona, ukłonili się sobie, podała mu rękę i spojrzeli na siebie przelotnie. I była sekunda milczenia, może za długa na światowość Motolda i dziewczyny śmiałość.

Ona pierwsza przemówiła.

— Dziękuję, że pan nie odmówił mej prośbie.

— Cóż znowu? Pani wątpić nie mogła! — odparł siląc się na uprzejmy uśmiech. — Jesteśmy przecie dawni znajomi i przyjaciele.

— Tak to dawno było, że może to bajki — uśmiechnęła się i ona.

— Siedm lat z górą. Rozeszły się nasze losy i drogi tak dalece, że będę panią pytał przede wszystkim, co porabia Wacław i jak mu się powodzi.

— Żyje... daleko stąd... we Włoszech, a powodzi się jak drzewu, którego wierzchołek złamano, jeśli nie uschnie, to w krzak marny się rozpełźnie przy ziemi.

Motold chciał jeszcze o coś spytać, ale się rozmyślił, obejrzał się po klatce, w której się znajdowali. Cztery ściany, oklejone starymi gazetami, okno pokryte szronem, żelazny piecyk, łóżko, stolik, dwa krzesła, w kącie kuferek, to było wszystko. Temperatura mało wyższa nad zero, chociaż piecyk rozpalony był do czerwoności.

— Pani tu stale mieszka? — spytał.

— Tak. Od dwóch tygodni, gdyśmy postanowili oddać sprawę działów w ręce i na sąd panów, wyjechałam z Woronnego, bo to już nie mój dom, i zanim sobie własne gniazdo uścielę, tu będę.

Zimno, ale do wiosny idzie, będzie cieplej. Dobrze mi pomimo wszystkiego. Uczę córkę pani Bajkowskiej za wikt i schronienie.

— Nie chciała pani prosić o gościnność krewnych?

— Nie chciałam i nie mogłam, bo wszyscy ze mną zerwali stosunki. Sama jestem. Czy pan sądzi, że ten dział długo się będzie wlec?

— A ileż pani rachuje, jak długo?

— Rok. Do tegom przygotowana, a jeśli dwa lata, to będę czekać dwa. Im pilniej kończyć niż mnie. Ja nie mam nic, oni mają długi. Ja mam za sobą słuszość — oni tylko swoje chęci.

— Niechże mnie pani zapozna ze sprawą i ze swymi żądaniami. Czy posiada pani potrzebne dokumenty, plany, plenipotencję Wacława?...

— Wszystkom przygotowała. Oryginały planów zostały w Woronnem — ja tu mam kopię, którą zeszłego roku ojciec sporządził i gdzie nasze pięć części sam własnoręcznie pooznaczał.

Testamentu nie zostawił, ale ta jego wola jest zupełnie z prawem zgodna, jak pan sam się przekona.

Rozłożyła na stole wielki jak płachta plan, który Motold począł uważnie oglądać, czytać nazwy, notować obszar. Ona mu wyjaśniała szczegóły.

— Woronne, jak pan widzi, jest to stylowy, poleski majątek — dużo wody, błota, wydm, sosnowego boru, wszystko rozrzucone w tysiącach niw, ostrowów, przegrodzone rzekami, rozciągnięte w fantastyczną figurę, wśród łąk chłopskich i nawet kilku sąsiednich dóbr. Składa je właściwie trzy folwarki: dominium Woronne, Ługi i Peretop — które ojciec przeznaczył dla braci — i dwa wodne młyny w uroczyskach Wydmuchy i Czahary. Miały one stanowić działły mojej siostry i mój. Otóż ja żądam Ługów dla Wacława i Czahar dla siebie. Resztą niech oni się dzielą wedle swej woli i ochoty.

Oczy Motolda szły po planie w miarę jej słów i spoczęły na tych dwóch punktach.

Wokoło nazwy: Ługi, była zieloność łąk błotnych, Czahary stały nad rzeką, punkcik na wydmie oznaczał młyn, wokoło znaki łożą pokrytych topieli za rzeką — i kęś olchowych zarośli.

— Bierze pani dwa sąsiednie działki. Proszę mi pomóc w cyfrach przede wszystkim. Ma pani inwentarze do planów?

— Mam. Ługi mają obszaru 2000 morgów. Czahary 512 — całe Woronne 7537 morgów.

Motold przejrzał inwentarz, na arkuszu papieru podkreślił notatki, cyfry, potem, patrząc na plan, chwilę myślał i rzekł:

— Czyli pani żąda działki ziemi dla siebie i Wacława? Cyfry są sprawiedliwe: jedna trzecia całości należy do syna, jedna czternasta do córki. Chce pani te dwie schedy mieć graniczące ze sobą, aby nimi w masie rządzić. Czy na Woronnem są jakie długi ojca pani?

Żadnych. Bracia mają długi.

— To do tej sprawy nie należy. Jest może bankowa pożyczka?

— Nie ma.

— Czy ma pani spis ruchomości i żywych inwentarzy? Należą także do działki.

— Mam wszystkie ekonomiczne raporty z grudnia.

— Dołącz mi je pani do dokumentów. A plenipotencja Wacława jakiej daty?

— Ze stycznia. Podała mu arkusz.

— Był tutaj? — zdziwił się.

— Tutaj nie — w guberni. Przyjechał na moje wezwanie — zabawił dwa dni. Widzieliśmy się

— porozumieli.

— Wróci do kraju?

— Wróci kiedyś... może nieprędko jeszcze, ale wróci — odparła patrząc zamyślona w okno.

— Może mi pani dać jego adres?

— Spytam go; jeśli pozwoli, przyślę panu — rzekła po chwili wahania.

— Dziękuję. Teraz pozostaje mi tylko spytać panią, dlaczego rodzina nie zgadza się na pani żądanie. Czy te dwie wybrane przez panią schedy są wartościowo więcej warte niż reszta majątku?

— Nie. Są mniej warte niż Woronne samo — nie mają prawie ornych gruntów, a błotne łąki tam są najbardziej dzikie i zapuszczone łożą. Zresztą ani Karol, ani Lucjan nigdy tam nie byli; oni nie znają

— nie mają pojęcia, gdzie i jaka jest ich własna ziemia, ani jej lubią, ani o nią dbają.

Jeden i drugi uważa ją za towar, za który można dostać pieniądze. Rolnicy nie są z powołania.

Chcą się bawić i używać. Bawią się ciągle, w konie, w karty, w małżeństwo, w miłość, w polowanie, w tańce zimą, w majówki latem, teraz mają się bawić w gospodarstwo. Po śmierci ojca chcieli się też bawić w interesa działu i rozdysponowali między sobą, że Karol zostanie przy całości Woronnego, Lucjanowi da sto tysięcy spłaty, nam siostram po dziesięć tysięcy —

Wacława zupełnie z gry wykreślili— Więc gdy zaprotestowałam i zażądałam nie jakiejś fikcyjnej sumy, ale części w naturze, potracili głowy, podnieśli na mnie gniew całej rodziny i są teraz bezradni, ale wściekli, bo bawić się wedle swej woli nie mogą, na zabawkę czekać muszą.

— A pani stanowczo spłaty w gotówce nie chce?

— Byłaby to dla nich ruina. Dług na takim poleskim majątku, to kamień u szyi, szczególnie dla takiego lekkomyślnego, rozpróznionego panicza, jak Karol. On jest z rasy obywateli, która musi zginąć, bo umie tylko panować i reprezentować. On nie ma pojęcia już nie tylko, co jest pracować, ale nawet, co jest administrować. Na samym Woronnem bez długów — jeśli się bogato ożeni — może się z biedą utrzymać, na Woronnem z długami niezawodnie zginie. Zresztą ani Wacław, ani ja pieniędzy nie chcemy ani potrzebujemy. Mamy prawo żądać ziemi, nieprawdaż?

— Niezawodnie. A zna pani te Czahary?

— Znam ja każdą piędź Woronnego, znam. Jest w tych Czaharach wodny młyn, pływak, dwie niwy na zalewnym ługu, jedna na piasku i szmat sianozęci. Trzyma to wszystko w dzierżawie Żyd i płaci pięćset rubli rocznie. Dojechać tam nie można, tylko dopłynąć.

— Więc pani będzie miała z tego tyleż dochodu, co z owych proponowanych dziesięciu tysięcy rubli?

— Co będę miała, to już moja przyszłość, ale tak jak teraz jest, nie żądam więcej! — odparła.

Motold wciąż notował i nie podnosząc głowy, spytał:

— A Ługi?

— Ługi mają folwark i ogromne wypasy. Ojciec tam trzymał stado. Jest tam obecnie siedemdziesiąt koni. Amatorowie dzierżawcy proponowali za całość cztery tysiące rubli rocznie

— mieli wypasać stada wołów latem.

— A lasu w Woronnem nie ma?

— Owszem, jest w Peretopie, który dla Lucjana przeznaczał. Woronne ma gorzelnię, awuls, Wydmuch ma także młyn i folwarczek, za który płacą siedemset rubli. Ale siostra moja nie chce ziemi, już się zgodziła z Karolem na spłatę.

Spojrzała na plan i po chwili rzekła smutno:

— Pójdzie wszystko na marne, ino mój kęs zostanie i Wacławowi nie dam zmarnować. Ano, cóż robić — dobrze, że choć to się uchowa, będą mieli kiedyś rozbitki schronienie.

— Czarno pani widzi przyszłość!

— Siedm lat patrzę na nich. Poznać można! Ludzie, którzy wiecznie liczą na coś lub na kogoś, czegoś czekają — nie postępują.

— Są położenia, gdy samoistnie ocalić się nie można — rzekł. — Czy pani i tych skazuje na potępienie i zagładę?

Spojrzeli na siebie. Ona zawahała się, wreszcie rzekła:

— Ci tak drogo zapłacili za ludzką pomoc, że ich trzeba żałować.

— I przykład z nich brać, by podobnie nie czynić — zakończył jakimś twardym tonem, powstając i zbierając do teki papiery.

— Na dziś dosyć zmęczyłem panią, ale to się jeszcze nieraz powtórzy. Czahary zapewne posiadzie pani, a wtedy zapewne dzierżawę podwyższy i w świat stąd umknie — w szeroki świat.

— Nie, już nie pójdę. Tamto minęło. Obcięli mi dawno skrzydła. W tych moich Czaharach życie zbędę — w jarzmie, przy ziemi.

— Sama pani tam osiadzie?

— Uchowaj Boże... z kim — wzdrygnęła się. — A daj Boże... z czymś — i uśmiechnęła się tak jasno, że aż się zmieniła, jakby w słońcu stała. I wyrwało się jej z serca, mimo woli: — Oj, żeby już prędzej tam być! — I wnet stłumiła wybuch. — Ale się doczekam, choćby lata czekać.

— Postaram się skończyć do świętego Jana — rzekł życzliwie. — Prawne formalności mogą się przeciągnąć, ale byle oni dział podpisali, już pani na swoim osiąść będzie mogła. Jutro mamy się zjechać z panem Sterdyńskim, wyrozumiem ich myśli i zamiary i stanowczo już pani doniosę, kiedy pani z tej klatki się wyzwoli.

— Dziki duch we mnie, klatka mnie nie upadła ani sił odbiera. Wiem, że się doczekam wszystkiego, com sobie za cel założyła życia. Dziękuję panu, pierwszy raz w życiu prosiłam o pomoc i pan mi nie odmówił.

— Niechże mi pani obieca, że nikogo innego w potrzebie nie wezwie — tylko mnie.

— Nie, panie, teraz na mnie kolej wypłaty. Teraz jeśli

pan będzie potrzebował druha — to mnie wezwie. Ja, gdy sama zostanę — na swej ziemi, jak Anteusz będę silna. Będę czekać — umiem czekać — żeby się panu odwdziaczyć. I lwy czasem

myszki potrzebują. Będę czekać!

Uśmiechnęła się to mówiąc i podała mu rękę, i uściśnięła silnie jego prawicę. On słowa więcej nie rzekł i wyszedł.

Po chwili do izdebki wsunęła się uczennica Zośki, Emilka Suchońska, córka Bajkowskiej z pierwszego małżeństwa, dziewczyna osiemnastoletnia, o ile piegowata, o tyle próżna — o ile ruda, o tyle głupia. Z matką była w bezustannej wojnie, bo wychowana w domu ojczyma, czuła się zupełnie wykolejona obecnym stanowiskiem, wstydziła się „upadku”, jak nazywała restaurację, i jeśli zgodziła się brać lekcje u Zośki, to tylko dlatego, że dogadzało to jej próżności, że panna Janicka jest u nich „guwernantką”. Zresztą, ograniczona zupełnie, nie czuła do wiedzy ani zapału, ani potrzeby i po paru lekcjach Zośka poznała, że jałowy ten grunt próżna praca chceć uprawić. Zresztą Emilka kategorycznie oświadczyła, że ma narzeczonego, więc już żadnej nauki nie potrzebuje, tylko chciałaby „przypomnieć sobie” literaturę, bo jej narzeczony, pan Wilbik, „inżynier przy kanale”, bardzo lubi „wiersze”. Uczyla się tedy wierszy i słuchała ziewając wykładu Zośki o klasykach.

Czasami Zośka miała wyrzuty sumienia, że wyzyskuje Bajkowską, ale gdy spojrzała po klitce, gdzie z zimna nie mogła usnąć, a resztek restauracyjnych nie była w stanie Przełknąć, skrupuły cichły i słuchała obojętnie deklamacji Emilki. Zresztą poprzednio w tej klitce mieszkały gęsi, które Bajkowska tuczyła dla swych gości, więc Zośka w dalszym ciągu tuczyła wierszami drób domowy dla pana Wilbika i czuła, że nic więcej ludziom tym nie potrzeba. Zasiadła tedy Emilka do lekcji, zaczęła „wydawać” *Czarny szal*, „kawałek” swego wyboru, utykając co parę słów, a Zośka cierpliwie sto razy ją poprawiała i dopowiadała lub tłumaczyła, aż wreszcie Emilka dobrnęła do końca i poprosiła o nowy „kawałek”, tylko żeby był „romansowy”.

Z proponowanych przez Zośkę wybrała po długim namyśle i wahaniu *Świteziankę* i poczęła ją odczytywać.

Wilbik może się domyśli, co to jest, Mickiewicz pewnie by nie poznał — pomyślała Zośka po bezowocnej lekcji deklamacji.

Na zakończenie lekcji, by uniknąć wykładu literatury, Emilka zaczęła rozmowę.

— To ten prawdziwy pan Motold był u pani? Ja myślałam licho wie co o nim — a on sobie taki, jak każdy. Nawet brzydki już i siwy. K u d y jemu do inszych kawalerów.

— On też nie kawaler.

— Ja wiem, ale tyle o nim gadają. Myślałam, że taki piękny, okazały, a to nawet wcale na wielkiego pana nie wygląda. Mama tak nad nim skacze, że aż mnie za nią wstyd było. Pewnie się z niej naśmiał! Mówiła mi Żołnowska, kasjerowa z Łasicka, że jego oni strasznie się boją — nie wiedzieć czego. Ukłoniłam mu się — jak przez sień szedł — tak zaraz się odkłonił. Długo u pani siedział — dobrze, że żonaty!

I roześmiała się.

— Dlaczego „dobrze”? — spytała spokojnie Zośka.

— No, bo z kawalerem to by było nieprzyzwoicie — chichotała Emilka.

Zośka popatrzała na nią i rzekła:

— Jeść mi się chce. Pójdę na dół, może prędzej coś dostanę. Zostanie tu pani?

— Niech Pan Bóg broni. A tobym zmarzła. Już i tak ręce mi „spierzchły”. Pójdę do apteki po różaną maść czy *co*? A może pani do nas dziś na wieczór przyjdzie? Będą goście, pan Wilbik przyniesie skrzypce, i jest jeden urzędnik dumy”, co ślicznie małoruskie pieśni śpiewa. Pani też pewnie śpiewa?

— ja przede wszystkim jestem w żałobie.

— Ach! prawda. Szkoda, że pani przyjść nie może, bo u nas bywają porządni panowie i tak bywa wesoło, że raz to aż „kwartalny” zaszedł dowiedzieć się, co to za hałas.

Śmiała się i Zośka patrząc na nią, śmiała się także, tylko wcale inaczej — i tak zeszły na dół, do prywatnego mieszkania Bajkowskiej, na spóźniony obiad. Zasiadła do niego Zośka, rada ciepłu, pokrzepiona widzeniem z Motoldem, że jej aż się śpiewać chciało z dobrej nadziei i otuchy — gdy wtem wpadła Bajkowska, poprzedzając jakąś kuso ubraną damę, i zawołała od proga:

— Ot, i jest panna Janicka. Proszę panią. Miłego gościa prowadzę. Zaraz jeść każę podać.

Proszę, proszę, niech panie tu się bawią. — Emilka, zastąp mnie przy bufecie, ja idę do kuchni, przywieźli tuszę na pekelflejsz?

I wyleciała, a Zośka popatrzyła na nowo przybyłą, zdziwiona, potem wahająca, i dopiero po głosie poznała.

— To ty, Stefa? Skądże cię bogi niosą?

Ucałowały się i nowo przybyła poczęła mówić prędko.

— A toś mnie ledwo poznała. Musiałam dopiero zeszkapieć. Tyś się nie zmieniła. Ten sam zuch. To dopiero kawał drogi tu do ciebie, a Bronka cieszyła, że blisko.

— Aha, to cię Bronka wysłała — roześmiała się Zośka.

— Wcale nie Bronka — zaprzeczyła energicznie. — Jestem wysłanniczką naszego komitetu.

Ale to dużo do mówienia. Teraz muszę spocząć i posilić mdłe ciało, bom wprost z kolei tu zajechała. Ty tu mieszkasz? Podobno procesujesz się z rodziną?

— Bronka ci wszystko opowiedziała, więc po co mamy tą sprawą czas zajmować, kiedy tyle jest tematów ciekawszych? Ja tu mieszkam, ale ugościć cię nie mogę, bo zmarzniesz w mych apartamentach. Zjemy obiad i rozlokujemy się w hotelu. Okrutnie się cieszę, że cię widzę. Siedm lat

mamy sobie do opowiedzenia. Cóż z resztą naszej paczki się dzieje? Pamiętasz — tych ślubnych siostr siedm, cośmy wtedy w Łazienkach tak uroczyście przysięgały braterstwo!

— Ano, wiesz, że Ludka, Anielka i Józia za mąż wyszły zaraz, teź zimy.

— Wiem, pisałaś mi. A Mania i Stasia?

— Mania bakałarzuje gdzieś na Ukrainie i przestała pisać od półtora roku. Pewnie też za mąż wyszła i to szczęście, bo była w wiecznej z losem niezgodzie i narzekała bezustannie. Stasia jest ze mną, bardzo z nią niedobrze. Bo i zdrowia nie ma, i złamaną się czuje na duchu. Straciła matkę, brat się ożenił, miała narzeczonego, który z nią zerwał dowiedziawszy się, że utrzymywały się z emerytury matki, a funduszu innego nie posiada. Przygarnęłam ją, dałam zajęcie, jest kasjerką, ale lękam się, że skończy w zakładzie dla nerwowych.

— No i my dwie, to siedm! — rzekła Zośka i mówiąc to wyprostowała się i spojrzała przed siebie, w jakąś dal, sobie tylko wiadomą, w której coś pięknego musiała widzieć, bo się jasno uśmiechnęła.

— Teraz rozumiem, dlaczego do mnie pisać przestały — rzekła wreszcie po chwili milczenia.

— Nie można ich potępiać. Ciężkie jest życie samotnej kobiety — westchnęła Stefa. — Ty tego nie rozumiesz: miałaś dom, rodzinę, byt zapewniony, nie znasz jeszcze walki z życiem, bez żadnej pomocy i oparcia.

— No, a Józia i Anielka zadowolone z losu? W Warszawie mieszkają?

— Józia zrobiła doskonałą partię. Jej mąż jest wysokim urzędnikiem na kolei. Roztyła, mają dwoje dzieci, żyją bardzo dostatnio, nic nie robi, stroi się, dużo bywają i przyjmują. Tylko narzeka, że ją wszystko nudzi. Anielka, przeciwnie, poszła z miłości za ślicznego chłopca, studenta — teraz jest już adwokatem, ale próżniak i birbant. Bieda u nich taka, że na chodzi do biura, a w domu teściowa dzieci niańczy — jest tego już czworo. Jednakże nie narzeka —

kochają się pomimo wszystko.

— Ciekawam, czy te dzieci będą bardzo im wdzięczne za to kochanie! No, a ty co porabiasz?

— Jakoś sobie daję radę z ciężką biedą. Byłam *dame de compagnie* u hrabiny Natalii, teraz jestem przełożoną nad jej szwalnią, no, i mam posadę w naszym Komitecie.

— W jakimże naszym Komitecie?

— Ano — w Komitecie Siostrzanej Pomocy Pracujących Kobiet. To wstyd, że o nim nie wiesz i dotąd nie należysz. Mam ze sobą statut i wszystko ci opowiem. Przecie po to tu przyjechałam, żeby cię zwerbować. Nie zapomniałam o tobie, choć ledwie raz na rok dajesz znak życia.

— I to nie. Już od trzech lat nie pisałam.

— I najbezczelniej do takiej zdrady się przyznajesz? A nasze przysięgi?



— Poszły za męż! — roześmiała się Zośka. — Nie wiesz? Tamte zmieniły los — i ja także.

— Ale bajesz! Nie wolno żartować z takich rzeczy. Musiałaś rodzinie ustąpić, ale jakem od Bronki posłyszała, żeś nareszcie swobodna, już mam dla ciebie pracę i stanowisko. Chodźmy do hotelu, opowiem ci wszystko.

Zośka skoczyła na salkę, ubrała się i poszły we dwie do zajazdu. Na korytarzu spotkały Motolda ze Sterdyńskim i gdy się uklonił, Stefa rzekła:

— Tak mi ten pan kogoś przypomina.

Zośka nic nie odpowiedziała i Stefa wnet zapomniała wrażenia. Rozgościły się w numerze — podano samowar i Stefa jęła żywo rozprawiać:

— Otóż widzisz, rzecz jest taka. Nasz komitet ma zamiar założyć tak zwany dom kobiecy.

Będzie to coś w rodzaju klubu, miejsca zebrań dla wszystkich pracujących kobiet, gdzie by znalazły i zabawę, i posiłek, i sale czytelnicy — i nawet mieszkanie tanie i porządne. Będzie tam zarazem biuro informacyjne co do pracy, będą popularne wykłady, będzie porada lekarska —

każda pracująca kobieta za niewielką roczną wkładkę może korzystać ze wszystkich tych udogodnień i opieki. Nieprawda, że to myśl potężna — instytucja wysoce humanitarna, a nie myśl, żeby to był tylko projekt, mrzonka. Mamy już na to część kapitału, poparcie poważnej grupy osób wpływowych i możnych i cyfrę członków pokażną. A zobacz no listę komitetu —

jakie firmy!

Wydobyła z kufierka sporo papierów i rozłożyła na stole. Zośka, słuchając, poczęła je przeglądać i odczytywać. Ani słowem nie przerwała swady dawnej koleżanki — słuchała i czytała. A gdy tamta, wyczerpana mówieniem, sięgnęła po herbatę, rzekła:

— Cel piękny i użyteczny, szczęście wam Boże. Ja się zaraz na członka zapisuję i roczną wkładkę płacę. Potem, gdy sama więcej mieć będę, jednorazową większą kwotę złożę.

— Ho, ho, nie o to nam chodzi. My tu na ciebie rachujemy, że będziesz w tym domu zarządzającą. Hrabina Natalia już wie o tobie, mówiono o tobie na sesji i polecono mi ciebie przywieźć. Będziesz miała mieszkanie, utrzymanie i tysiąc rubli rocznej pensji. Co? Marzyłaś ty o czym podobnym?

— Owszem, marzyłam kiedyś.

— Naturalnie, kandydatek jest mnóstwo i dużo było sporów i protestów, ale ja wszystko zwalczyłam. Ostatecznie wygrałam walną bitwę i hrabina Natalia mnie poparła. Zaręczyłam za ciebie, bom pewna, że nikt nie jest odpowiedniejszy na to stanowisko. Jesteś energiczna, młoda, zdrowa, zdolna, zresztą ja tam będę z tobą i we dwie damy radę.

— Dziękuję ci, Stefa, serdecznie dziękuję. Aleście — jak mówią Niemcy — robiły rachunek bez

gospodarza. Ja już na żadną służbę nie pójdę. Mam inny cel, inną ideę, inną drogę.

— Co! Idziesz i ty za męża! Zakochałaś się?

— No, co do miłości, to jaki bym ja człowiek była, żebym nie kochała. Ale za męża nie idę.

— Więc co?

— Nic, tu zostanę.

— Jak to, „tu”?

— Tu — na swojej ziemi — sama ze sobą.

— Zośka, więc i ty zdradzasz nasze przysięgi?

— Mogłabym ci rzec, że nie pierwsza, ale się bronić

nie myślę. Pierwsza zrywam naszą przysięgę. Widzisz, siedm lat od tego upłynęło. Siedm lat myślałam, czytałam, dojrzywałam obserwowałam siebie i ludzi. Wy tam życie w bezustannym ruchu i wirze miejskim. Macie inny punkt widzenia, inaczej czujecie, gorączkowo życie, no i widzicie tylko miasto, jego nędzę, potrzeby, jego sprawy. Świat wasz wielki, nie przeczę, wielki i szeroki, z milionów się składa i dla milionów jest w nim pracy. Ale poza nim są jeszcze inne zadania. Otóż ja w inny świat weszłam — siedm lat w nim żyłam i jemu przysięgłam służyć.

Szerszy wasz zakres i zadania, świetniejsza idea i żebym teraz miała lat siedmnaście — wiek, w którym się wierzy, że ziemię z posad poruszy — to — bym za tobą poszła. Ale już ostygła refleksją i mierzę już „zamiar wedle sił”. Nie liczcie na mnie — zostanę już tylko sama ze swą ideą — i ze sobą — bom tak zdziżała i nawykła do samotnej pracy i walki, że w kolektywnym czynie nie zdolna już działać.

— Zośka, gadajże, co ty za cel tu masz, co za przyszłość? Bronka desperuje, że chcesz dostać jakąś pustkę z majątku i tam się żywcem zakopać w tej ziemi. Bój się Boga, czyż to dla ciebie droga i życie, czy ci się godzi tak zmarnować?

Zośka podparła się łokciami na stole i uśmiechając się, dała tamtej gadać, a potem rzekła spokojnie:

— Powiedz mi, Stefa, jak myślisz, czy Bronka może wydać sąd o mnie, czy ona może wiedzieć, co ja myślę, czym jestem! A po drugie, ja ci powiem, że ziemia nie jest tylko grobem.

Wprawdzie nieboszczyków w nią kładą, ale oprócz cmentarzy ma na sobie rzeczne nurty i zbożowe łąny, wsie i dwory, błota i piaski, ma dużo więcej niż wasze ulice i domy — dumę ludzką. Nie mów więc ty i nie decyduj o czymś, czego nie znasz — i nie wierz Bronce. Ja doskonale rozumiem, dlaczego tu jesteś i po co; może lepiej rozumiem niż ty sama. Ta twoja hrabina Natalia ma siostrę za wujem Lucjanowej, a ten wuj pożyczył Lucjanowi grubą sumę. To tedy jedna zakulisowa protekcja, żeby mnie stąd wyrwać. Kosztować to będzie tysiąc rubli —

jednoroczna moja pensja w tym waszym domu. Po roku albo mniej usuną, albo sama rzucę, bo to nie dla mnie jest zajęcie. I zostanę znowu na rozdrożu, a raczej na fali ludzkiego morza. Bronkę nastroiła rodzina, a wszyscy ciebie użyli za narzędzie, aby mnie stąd wywabić. Ej, nie — było mnie przed siedmiu laty nie pętać, z drogi nie zwracać, celu nie odbierać. Teraz jużem człowiek i żadna pokusa mnie nie poruszy. Daj tedy pokój, Stefa, mów o sobie, o naszych znajomych, ale mnie nie staraj się pociągnąć za sobą. To już pieśń, która dolatuje mnie słabym echem wspomnienia, to już nie pobudka mojego sztandaru — mam inny.

— Jakież? — rzekła Stefa, widocznie urażona.

— Przyjedź do mnie, gdy będę u siebie — przyjedź w tym roku i przyjedź za lat dziesięć.

Zobaczysz go i poznasz, i zrozumiesz.

Stefa ruszyła ramionami.

— Moja droga, nie trzeba lat dziesięciu, by zrozumieć. Zostajesz, bo cię coś i ktoś tu trzyma.

Gdy będziesz miała majątek, wyjdiesz za mąż i będziesz typową wiejską gospodynią. Wiem od Bronki, że masz konkurenta, a sama nie przecyzysz, że kochasz. Nietrudno tedy odgadnąć twój cel i ideał.

— Myślisz? No, to i dobrze! — zaśmiała ją Zośka. — Ano zrobię, jak tamte cztery. Co mam być lepsza czy gorsza. Stefa, nie marszcz się i nie burcz! Cóż znowu, mamy się kłócić i zęby sobie pokazywać — po co? Ty będziesz lepszą ode mnie administratorką waszej instytucji — ja się nie zmarnuję i wierz mi, nawet dla mojej rodziny lepiej będzie, gdy tu zostanę — oni kiedyś sami to uznają, choć mnie teraz mają za wroga. No, Stefa, powiadaj mi, co na waszym świecie się dzieje. Wybaczyłaś zdradę tamtym — nie wolno ci mnie potępiać.

— Ty co innego — mruknęła Stefa. — Mam na tobie śmiertelny zawód. Takam tu zajechała rada i siebie pewna, i widzę, że się zmarnujesz.

— Nie możesz odłączyć ziemi od pojęcia grobu, tak jak ja już teraz nie mogę wyrozumieć miasta inaczej jak więzienia — pod śledczym nadzorem bliźnich. No, cóż porabia Bronka?

— Założyła sklep z kapeluszami na Lesznie.

— To już jedenasty proceder od czasu wyjścia za mąż. Bodajby się lepiej udał niż poprzednie.

Zlituj się, Stefa, zaglądaj do niej często i kieruj, bo jak na tym interesie straci, to już nędza lub ludzkie miłosierdzie przed nią, bo to ostatni grosz, jaki z domu dostała.

— Ale to spory grosz. Dziesięć tysięcy gotówką.

— Dla mnie to mało i nie chciałam wziąć.

— A teraz nic nie masz? Z czego żyjesz?

— Z niczego. Tutaj to możliwe, w mieście niepodobna; dlatego Bronce trudniej było czekać niż mnie. Potem, jak już dojdę do swojego, a ona straci, nie dam jej zginąć. Byle jej wystarczyło na lat parę.

— A nie przypuszczasz, że ty możesz swoje stracić? — uśmiechnęła się trochę złośliwie Stefa.

— Ja nie mogę stracić, bo nie mam na kogo ani na co rachować. A po wtóre, ziemia to nie pieniądź ani sklep z kapeluszami. To jest słusznie nazwany — grunt.

— I nie straszno ci tak zostać samej, bez żadnej opieki i pomocy?

— Co to jest strach? Nie wiem. Ale wiem, że mi z tym dobrze będzie.

— Ale co ty tam robić będziesz? Jak żyć? Dla takiego życia czy warto było kończyć gimnazjum ze złotym medalem? Ach, Zośka, co się z ciebie zrobiło? Jeśli marzyła, że wracać będę z twoją odmową...

— Ty, to mniejsza! Ale oni dopiero się skrzywią, gdy się o tym nieudanym poselstwie dowiedzą.

— Więc to prawda, że się procesujesz z rodziną?

— Wcale nie. Tylko obywatele nas dzielą.

— Więc przecie ktoś ciebie broni? Kto taki?

— Pan Motold.

— Może ten inżynier, co to kiedyś bywał u Siedleckich? Pamiętasz? Potem się ożenił, czytałam w „Kurierze”, z milionową Noltenówną; brat jej bywa u hrabiny Natalii, łakoma partia, łapią go panie i panny, że aż obrzydliwie patrzeć. To ten Motold z tych stron?

— Toć spotkałyśmy go tu, wchodząc.

— Zdawało mi się, że ktoś znajomy, ale okropnie się zestarzał. Bardzo inteligentny był człowiek. Bywa on u was?

— Nie. On wzywany jest wszędzie do posług obywatelskich. Ma wielkie zachowanie w okolicy, powaga i wybitna jednostka.

— Bogaty zapewne. Zrobił świetną partię.

— Podobno. Nie znamy się prawie. Widziałam go dzisiaj z powodu owego działu.

— Powiedz mi, a jakże się stąd jedzie do Lucjanów? Obiecałam ich odwiedzić, więc skorzystam z okazji i wstąpię wracając.

— Nie kłopotz się o marszrutę. Oni tu sami po ciebie przyjadą, żądni wieści o twym poselstwie. Do

czary mych nieprawości doleją też sporo jadu swych serc rozżalonych. A że ty i bez tego masz żal do mnie za odmowę, więc cię dziś pożegnám. Oni tu wieczorem wszyscy się zjadą, na rozpoczęcie sprawy działu — do jutra zbuntują cię, że albo wyjedziesz bez pożegnania ze mną, albo pożegnasz tak, jak bym nie chciała z tobą się rozstać. Więc się dziś uściśniemy po dawnemu, po koleżeńsku, i o jedno cię proszę. Poczekaj z wyrokiem na mnie lat parę. Dobrze?

— Dobrze, bo odjadę pomimo wszystko z nadzieją, że się opamiętasz i że jeszcze będziemy razem pracować.

Zośka już nic na to nie odpowiedziała i ucałowały się serdecznie, a chwilę potem wracała do Bajkowskiej — szamocąc się z wichurą i zadymką — sama. Na ulicach pusto było, zmrok zapadał — wtem skręcając z rynku posłyszała, że ją ktoś dogania. Obejrzała się, poznała Owerłę

— sekundę się zawahała, ale że był już obok niej, pozdrowiła go spokojnie. Młody człowiek ucałował podaną sobie rękę i szli obok siebie chwilę bez słowa. Wreszcie on przemówił:

— Tak dawno nie widziałem już pani. Byłem wczoraj w Woronem i dopiero się dowiedział o wszystkim — i zaraz tu przyjechałem.

— Że też matka puściła pana — rzekła uśmiechając się Zośka.

— Mamie nic nie mówiłem. O niczym nie wie.

— Chyba — rzuciła ironicznie.

— Chciałem przede wszystkim z panią się widzieć i rozmówić, żeby wiedzieć, jak rzeczy stoją.

— Rzeczy stoją prawem ciężkości i atrakcji.

— Pani zawsze ze mnie żartuje. Ale ja na serio mówię, muszę znać prawdę, aby wiedzieć, jak postąpić.

— No, to niech pan z tym zwróci się do matki. Inaczej, jak ona każe, pan przecie nie postąpi.

— Ależ, kiedy słowo honoru daję, że mama nic nie wie.

— O czym?

— O tym, co się z panią stało.

— Bo i ja nie wiem, żeby się co ze mną s t a ł o . Jak pan widzi, jestem zdrowa i cała.

— Ale pani wyjechała już zupełnie z Woronnego, mówił mi Karol.

— Jak pan widzi.

— I nikogo pani przy sobie nie ma?

— Nikogo, ani mamki, ani bony.

— Ach, panno Zofio, pani zawsze żartuje, a ja chodzę i żyję jak w obłądzie od chwili, gdym się o wszystkim dowiedział.

— I mamy się nie poradził, co czynić, bo w przeciwnym razie nie szukałby mnie pan. No, ale zresztą, żeby tę sprawę raz zakończyć i pana obłąd, oznajmiam, że prawdą jest, że z rodziną zerwała, że Woronnego się na zawsze wyniosła, że mieszam sama jedna w t r a k t i e r n i Bajkowskiej, że dział nasz zdano na sąd obywatelski z racji mojego protestu i że po skończeniu tej sprawy osiadeć sama na wyznaczonej mnie ziemi.

— Ach, panno Zofio. Czy się godziło tak robić? A cóż z nami teraz będzie?

— Z nami? Niby z panem i ze mną? Ano, nic.

— Pani wie, jak bardzo panią kocham!

— Słyszałam o tym od pana. Cóż ja na to poradzę, chyba jedno: że kochaj się pan co prędzej w innej. Podobno wyśmienity sposób!

— Pani i w takiej nawet chwili żartuje.

— Ano, prawda, że pora ohydna! No, to odłóż pan to do maja.

— Ja żyłem tylko nadzieją, że pani da się ubłagać.

— Panie Gustawie, czym kiedykolwiek łudziła pana? Wdzięczną panu jestem za uczucie, wiem, że nawet wbrew woli swej matki bywał pan u nas i stawał w mojej obronie przed ludzką obmową. Dziękuję panu, ale poza życzliwością i przyjaźnią nic panu dać nie mogę i oszukiwać pana nie będę. Byłabym złą żoną — nie mówmy już o tej kwestii.

— Bo pani mnie ani trochę nie kocha — stęknął.

— Gorzej, bo kocham innego! I wyznaję to panu dzisiaj, aby się pan nie łudził, że się dam namówić, przekonać.

Owerło popatrzył na nią zdumiony, przerażony, a potem się roześmiał.

— Albo to prawda! Pani tak umyślnie mówi, żeby się ode mnie odczepić! — rzekł

tryumfująco. — Ja wiem, kto u państwa bywał, to ja bym już i wiedział, kim pani zajęta. Chybaż nie Dmuchowski. Niech pani nie żartuje. Pani ma mnie za głupca, ale ja na wszystko uważam, takem sobie zaprzysiągł, że taki panią zdobędę. Ja wiem, że pani nikogo nie kocha, na nikogo nie patrzy, o nikogo nie dba. Myśli pani, że mnie nie ciągną do innych — oho — mama mnie pędza do Wyszyńskich i do Sterdyńskich, a ja nic, z panią tobym żył i umierał, z panią tobym nawet...

— Mamy się nie bać! — podchwyciła ze śmiechem.

Zbiła go tym śmiechem z tropu i przerwała zapal, popatrzał na nią urażony.

— Pani zawsze tak — mruknął.

— Zawsze!... Niech pan się niczego więcej nie spodziewa, bo ja właśnie matki pana bardzo się boję. Zresztą jeśli ona Wyszynską wybrała, to się zupełnie z nią zgadzam Panna Julia wymarzona dla niej synowa, a dla pana żona. Na serio dobrze wam będzie ze sobą.

— Zegnam panią — ukłonił się Owerło i zawrócił już obrażony śmiertelnie.

Nawet się nie obejrzała ani zwolniła kroku. Szła dalej borykając się z wichurą, myślą bardzo daleka.

Dwudziestego kwietnia — dzień ten Zośka zapamiętała na całe życie — na salce u Bajkowskiej zjawił się Motold. Okienko było szeroko otwarte na słoneczny, wiosenny świat i dzień był bardzo ciepły. Zwykle lodowata twarz Motolda była także jakby roztopiona wewnętrznym zadowoleniem. Wszedł, do witającej go dziewczyny rzekł z uśmiechem:

— Z dobrą wieścią przychodzę i nawet wcześniej, niż obiecałem. Będzie pani miała Czahary, a Waclaw Ługi. Wczoraj podpisali dział.

Nic nie odpowiedziała, tak ją wrażenie zdławiło, ale miała w twarzy taki blask, jak to radosne słońce wiosenne. Dopiero wyjąkała po chwili:

— Jakim cudem? Wczoraj słyszałam, że się tak strasznie odgrażali, że trzy lata będą ciągnąć.

— Podobno roznosili różne groźby. Ja nic nie słyszałem. Posiedzenie zapowiadało się burzliwie, zwlokłem je umyślnie do wieczora, bo wiedziałem, że lichwiarze, jak ogary zwierzyne, męczą. Jakoż zmęczeni byli — gotowi do ustępstw; wtedy ja zapowiedziałem, że działu przeprowadzić nie można bez ocenienia na gruncie, i zaprosiłem Sterdyńskiego do szczegółowego obejrzenia całego obszaru, jeśli nie zgodzą się na żądania moich klientów.

Mniejsza zresztą o szczegóły dyskusji, ale w rezultacie projekt działu podpisali. Formalności zajmą czas dłuższy, ale może pani już dziś Czahary uważać własne. Tylko niech mi pani nie dziękuje, na zakończenie powiem mniej pomyślny szczegół, za który mi pani wdzięczną może nie będzie. Skwitowałem ich z części pani w ruchomościach, a w zamian nie będzie miała pani żadnych kosztów stemplowych i prawnych. Nadużyłem zaufania, co?

— Za wszystko dziękuję panu. Radam nie mieć z nimi żadnych rachunków.

— Ale ciężiej będzie pani zagospodarować się. Ruszyła tylko ramionami.

— Co mi tam! Zresztą jeśli pan tak zdecydował, to już dobrze. I naprawdę — Czahary moje, mogę tam jechać już i osiąść?

— Może pani. Ale podobno tam żadnego domu nie ma, tylko chata przy młynie, w której Żyd dzierzawca mieszka. I pani nie ma żadnych funduszków.

— Bogatszam zawsze od tych, którzy mają długi — rzuciła bez namysłu i nagle poczerwieniała, umilkła i spojrzała w okno, żeby nie widzieć zmiany na jego twarzy, która stała się w jednej chwili zakrzepłą i martwą.

Sięgnął do portfela, który był z sobą przyniósł, i zaczął wyszukiwać odnośny dokument mówiąc już oficjalnym tonem: — Żałuję jednakże, żeśmy nie szacowali na gruncie, bo mi się zdaje, że część Karola jest dużo więcej warta, ale ponieważ pani żądała tego tylko, a oni się zgodzili, nie obstawałem przy swoim. Kopię działu pani zostawiam, resztę dokumentów zatrzymam do ukończenia formalności. A teraz nie będę pani czasu zajmował, bo czuję, że pani zaraz pojedzie na te swoje



Czahary choć popatrzeć.

Próbował się uśmiechnąć, ale ona spojrzała nań poważnie, głęboko i rzekła:

— Chciałam, ale w tej chwili nie potrafię się radować. Pojadę, ale z gorzką myślą i złą na siebie.

Nic nie odrzekł, zamknął portfel i wziął za kapelusz. Zamienili milczący uścisk dłoni, wyszedł, ona stanęła w oknie, widziała, jak mijał dom, zgarbiony, idąc krokiem zmęczonym i

powolnym. Już znikł za rogiem, patrzyła jeszcze z brwią ściągniętą i z niesmakiem w rysach.

Potem się zachnęła, przetarła oczy i czoło i zaczęła się ubierać do wyjścia, a słysząc czyjeś kroki na schodach, hasło wizyty Emilki, wyszła sama.

— Pani wychodzi — zapiszczała uczennica.

— Proszę o urlop na dzisiaj... mam interes.

— A wiem, był pan Motold. Mama taka ciekawa, czy pani przecie coś wygra, bo wczoraj mówili u nas panowie, że pani nic nie wskóra.

— Może być — odparła Zośka lakonicznie.

— Oj, niedobre były wieści, już widzę to po pani. Bardzo nam przykro, bo żeby pani wygrała i osiadła w majątku, tobyśmy do pani jeździły na majówkę co roku. Ale z mężczyznami trudno kobiecie wojować.

Westchnęła, pokiwała smutno głową, a Zośka, nie słuchając dalej, wybiegła na ulicę, dążąc ku rzecznej przystani.

Lody spłynęły, wody wezbrane były, czarne, spienione, i jak morze pokrywały cały ten niski kraj łąk, bagien i tysiącznych strumieni. Na przystani pełno było łodzi chłopskich i ludu, przybyłego na targ z rybą, rohożą, drzewem, trzcina, sianem, różnym dobrem tego wodnego kraju.

Zgiełk tam panował i tłum się kłębił.

Zośka odważnie weszła w to szare mrowie i oglądała się szukając znajomych chłopów.

Wiedziała, gdzie jest punkt zborny worończan, i zaraz też oni ją dostrzegli i zaczęli dobrodusznie pozdrawiać i zagadywać:

— Oj, a gdzie też tam paniuńcia przepadła! Szmata czasu nie widzieli. I zbielała, i zasumowała.

Czy to może być, że już paniuńci w Woronem na wiek nie będzie?

Obstąpili ją i jeśli rozpowiadać zaraz swoje sprawy.

— U Makara żonka pomarła, u Semenichy kobyła się utopiła. Imana złapali, jak siano kradł, i panicz go na sąd podał, Hanka za mąż poszła. Kował się spalił.

A wreszcie któryś szeptem, oglądając się, rzekł:

— Wie paniusia, Kasjan z ostrogu wrócił.

Baby zaczęły głowami trząść, ręce rozkładać i jedna przed drugą opowiadać:

— Wrócił, a jakże. Już na Wielkanoc kiełbasy pokradł u Prokopów, jaja i sery u Bejły i podkopał się u Żyda do lochu, gdzie wódka była. Ale, wrócił, już nikt nocy nie ma spokojnej, a Semen, co go za tego wieprza do ostrogu wpędził, to ino czeka co dzień śmierci czy ognia.

Będzie w Woronem nowina — poginiemy wszyscy.

Tu nagle umilkli i spojrzeli spode łba na drzwi najbliższego przystani szynku, i zaczęli się nieznacznie do czółen swych rozchodzić. Spojrzała za nimi i Zośka.

Na ganku szynkowni stał chłop w kozuchu obdartym, w czapce zsuniętej na tył głowy, rudy, ogromny, chudy, żylasty. Stał, po tłumie spoglądał, ćmił papierosa i uśmiechał się. Musiał gdzieś po całonocnej hulance spać w żydowskim alkierzu i dopiero się przecknął.

— Jak się macie, worończanie, swojaki! — krzyknął. Nikt mu nie odpowiedział, ten i ów splunął nieznacznie, tylko Zośka odparła swobodnie:

— Jak się masz, Kasjan!

Chłop ją poznał, wypluł papierosa i błysnęły do niej w śmiechu wilcze zęby.

— Rad się starać i służyć! — odparł przykładając do czapki rękę po żołniersku.

Ona zagabnęła znajomego gospodarza, który wybierał z łódki wodę i szykował się do odwrotu.

— Zawieź mnie do Czaharów, Maksymie!

— Do młyna? — zdziwił się i w kudły się podrapał. — To szmat drogi, zanocować będzie trzeba. Ja sam nie zdążam, trzeba drugiego. Słysz, Semen, zawieź panienkę do Czaharów. Twoja czajka lżejsza!

— Ale, kiedy baba chce garnki kupować, my we dwoje Przyjechali.

— To może ty, Iwanie? — zagabnęła Zośka drugiego.

— Z duszy rad, panusiu, ale u mnie pławica na jednego tylko. Tu z Ługów są ludzie — im po drodze.

— Temu po drodze, kogo panienka pierwszego zawoła. Rozumiecie, bydło! Poszli, puszczajcie mnie!  
— rozległ się donośny głos Kasjana.

Rozeptał ich, po łodziach spojrzął i zwrócił się do Maksyma.

— Twoja czajka najsprawniejsza. Nu, wylał wodę, to idź po siano, wyściel i drugie wiosło dostań. A żywo, żebym nie czekał.

— Ja nie zdżam, jak Boga kocham, i siana skąd wezmę, i wiosło kto mi da.

— Jak mówisz? — huknął Kasjan. — Ot, widzisz siano u łasicznych, idź, przynieś, a wiosło już mam.

Sięgnął w pierwszą łódkę, wziął leżące wiosło, spróbował, rzucił, spróbował parę innych, wreszcie wybrał sobie najdogodniejsze i wrócił.

Właściciel nie bronił, tylko spytał pokornie:

— Całkiem zabierasz, czy odniesiesz?

— Zobaczę — rzucił niedbale, a podnosząc głos, huknął w stronę łodzi z sianem: — Hej, wy tam, łasiczanie, dajcie tu dla mnie siana wiązkę, żywo przynieście!

Po chwili chłopak siano przyniósł. Kasjan dał mu papierosa, potem łódkę wysłał, Zośkę wprowadził i w garście splunawszy, do wiosła się wziął.

— Idź na przód, ruo! — warknął do Maksyma — możesz sobie legnąć, ja sam doprowadzę i dopcham!

Jednym naciskiem potężnych ramion odepchnął łódź na środek rzeki, po rozlanym tym morzu spojrzął, zorientował się i rzekł:

— Na Łasicz pojedziem?

— Straszno. Przy młynisku kra się zbiła — rzekł Maksym.

— To pojedziem przez gardło. Nie twój kłopot.

— A już najgorsze, że ja chleba z domu nie wziął, a będzie trzeba nocować.

— Ot, bieda. Ja bywam tydzień bez chleba, a setkę was zaduszę jak robaków. Jak zgłodniejesz, to mocy nabierzesz.

A skąd tobie wiadomo, że będziesz nocować, może nocą będziemy wracać. Będzie, jak panienki wola.

— Chyba zanocujemy — rzekła Zośka. — Jest tam chata przy młynie, a jeść dostaniemy u Żyda. Kawał drogi, a mnie tam trzeba obejrzeć cały folwark, bo to mój teraz. Wiesz, Kasjanie, że ojciec umarł.

— Słyszał ja i szkodował. To panience dali z ojcowizny Czahary, już na wydział, na majątek?

— Tak, a paniczowi Waclawowi Ługi.

— To wrócił panicz Waclaw?

— Nie, ja jemu uprawiać będę Ługi.

— Aha. Panienska potrafi, nie ma strachu. Dobry tam młynek — ja go nieraz mijał, na drzewie flisakując. Tak lekko się obraca jak Ostapowa Marysia w tańcu. A gdzie tam panienska żyć będzie? Chyba w Ługach?

— Tam dzierżawca jeszcze dwa lata siedzieć ma. Nie wiem, gdzie osiądę. Do zimy trzeba chatę sklecić.

— Nie bieda! — wtrącił Maksym. — Byle grosze, dom będzie. Gotowe sprzedają Żydy po lasach, a i drzewa pod młynem idą płyty setne. Ja sam paniencie budynek postawię, jaki lubo! To już z panienski ręki będą trawy rozdawać. Nie Żyd? A on gadał, że z góry już za ten rok paniczowi Karolowi zapłacił.

— Tak mówił? — zastanowiła się i zmarszczyła brwi przeczuwając nową sprawę z rodziną.

Potem ruszyła ramionami i dodała:

— Zobaczymy.

— Poczujem! — mruknął Kasjan. — Paniencie trzeba zaraz Czaharów, to Żyd ustąpi. Pamięta panienska starą lodownię w chmielach — za gorzelnią w Woronnem?

Uśmiechnęła się, a on się też zaśmiał cicho, chytrze, drapieźnie, pokazując zza warg dwa rzędy drobnych, ostrych zębów w grymasie tygrysa.

— Udało się — zuchwale podniósł głowę i oparł się potężniej na wiośle, aż łódź skoczyła jak żywa.

I zaczął gwizdać, patrząc po czarnej, zburzonej toni.

Spojrzała po nim, myśląc, że słusznie chłopci dali mu przydomek „Wilkodawa”. Miał w sobie bezczelność, zuchwalstwo, chytrość i siłę zwierza młodego, silnego, pewnego zdobyczy. Głowa mała na potężnych barkach, oczy wsunięte pod czoło, małe, połyskliwe, zielonkawe, szczęki potężne, nos cienki o ruchliwych, jakby wężących nozdrzach, usta wąskie, rudawy zarost nikły, po twarzy parę blizn białych od bójek, lewe pół ucha oddarte, wiek nieokreślony od trzydziestu do czterdziestu lat.

Kasjan pochodził z Woronnego, ale grasował po całej okolicy, roznosząc wszędzie postrach.

Zbójem był i rabusiem, awanturnikiem, pijakiem i hulaką z fachu i powołania. Nikt nie pamiętał, aby pracował kiedykolwiek na roli, aby gospodarzył. Na jego ziemi siedział brat z rodziną.

Kasjan się wałęsał od wyrostka. Z początku służywał po dworach, ale nigdy długo, czasem szedł

z flisami, najmował się do ziemnych robót lub do leśnych wyrębów.

Lubił być w gromadzie i rej wodził; gdy mu przyszła fantazja, szedł w ogień i wodę, dokonywał szalonych sztuk siły i odwagi, ze śmiercią lubił się zmagać lub się z nią drażnić.

O pieniądź nie dbał — grosza nie uchował; rabował, kradł, bił, oszukiwał, kłamał — przez zamiłowanie awantury i złośliwą uciechę splełania figła, zrobienia szkody. Rzecz cudza — o ile nie strzeżona — była dlań niełakomą, choćby to był wór złota, ale byle szmata, o której się dowiedział, że ktoś ją starannie chowa, nabierała dlań wartości drogocennej zdobyczy.

Rzykował życie dla jednej gęsi u sknery baby, dla bułki na straganie chciwej Żydówki, dla kawałka rzemienia u bogacza gospodarza, dla paczki zapalek u arendarza. Rzecz zdobytą często niszczył, ale gdy mu zdobycz odebrano, z zaciętością znowu odkradał, choćby po latach pozornego zapomnienia, lub mścił się krwawo.

Czołno płynęło chyżo, bo prąd wiosenny silny był i droga, kędy okiem rzucić. Stary Maksym czasami protestował przeciw kierunkowi, wspominał wiry, rybne tamy, podwodne pale, mielizny.

Kasjan niedbale parł prosto jak strzelił, powtarzając zuchwale:

— Głupstwo! Namagaj i nie skamlaj. Ja prowadzę. Sądzone utopić się, to w misce barszczu się utopisz; sądzone dopłynąć, morze po kolana!

I tak sunęli jak czajki nad wodą.

Nareszcie ugrzęźli na jakiejś zalanej łące. Nie pomogło popychanie wiosłami ani cofanie, czołno stanęło. Maksym lamentował. Zośka rozglądała się, kędy wyskoczyć, żeby ulżyć ciężaru, i wskazywała Kasjanowi rosochatą wierzbę opodal.

— Żeby tam się dopchać.

Zbój popatrział wokoło, dostrzegł ciemną smugę głębi w dali i zzuwszy buty, wszedł do wody, miał jej po kolana, począł czołno popychać. Zalew był poryty w doły i wyrwy, chłop zapadał

czasem po szyję, ale dopchał do prądu i wtedy zziajany, a siny z zimna na powrót do czołna wskoczył, popatrział na rzekę wściekły i plunął w nią — nie wiedząc, jak wyrazić na nią swą złość.

— Choroba żydowska na ciebie! — warknął. Zośka roześmiała się na tę bezsilną zemstę.

— Ależ z ciebie zuch, Kasjanie! Zimna woda?

— Zapaliła nogi ogniem, a teraz uchwycił ziąb. Ale to głupstwo. Tamtej zimy ja kąpiel miał

na Małaszowym jeziorze. Żydy ciągnęli sieci, a to tam tonie straszne — niewody po tysiąc rubli.

Ciągnęliśmy kołowrotami, aż raptem stanęło. Rybaki zmacali szostami czep na głębini, ale jak odczepić?! Stali, chodzili po lodzie, radzili, gadali, szturchali, haki puszczały, ani rusz — sieć ani

drgnie. Mrozu było stopni ze dwadzieścia, przed samą kolędą. Znudzili się ja i zmarli — tak powiadam do Żyda: „Ty, parszywy nechryście, będziesz tu długo tak naród mroził, leż w płonkę, odczepiaj niewód, a nie chcesz, to mi daj dziesięć rubli i spirytusu, ile strzymam, to ja pójdę”.

Żyd w targ, co on odejmie rubla, to ja jednego podnoszę i tak wreszcie, jak doszedłem do piętnastu, to już się zgodził. Wypił ja szklanę spirytusu, rozebrał się do naga, wysmarował się sadłem i buch w płonkę.

— Hospody! — wykrzyknął Maksym.

— To wtedy zapiekło ogniem! — roześmiał się Kasjan. — Na sznurze mnie spuścili, namacałem kłodę, odczepiłem trochę i wyskoczyłem, ale na wietrze jeszcze gorzej, tak ja znowu pod lód — i już odmotałem na czysto.

— I nic ci nie było? — spytała Zośka.

— Jak to? Dał Juda 15 rubli i kwartę spirytusu wypilem do wieczora. Trzy dni potem było za co hulać z kompanią — tylko źle się skończyło, bo pomylili się, chcieli wybić okna w bożnicy, a wybili w policji, ot, i przeświatowali w ostrogu. A widzi panienka, ot, i czaharski młyn tuż przed nami. Duchem zalecieli. Namagaj, didu.

Dziad spojrział wokoło, w dal ręką machnął.

— Dobra woda tej wiosny. Bacz, za parę godzin do Łasicka by dobiegli, a latem, od pory do pory by się wlekli. Łasicki pan nigdy wodą nie płynie. Ot, Łasick, to skarb. Ten pan to chyba w złocie chodzi. Pół świata do niego służy.

— To ty jego, didu, nigdy nie widział? — zaśmiał się Kasjan.

— Z rodu nie widział, a ty?

— Hej, kogo ja nie widział. Ja nawet Kitajów widział. Z łasickim panem ja nawet gadał. My nawet mieli ze sobą okazję.

Zośka spojrzała na niedaleki młyn wodny na piaszczystej wydnie, a potem na szarzejący na horyzoncie las, a Kasjan opowiadał.

— Przeszłego roku starowiery u niego kopali kanały na błocie, ja zaszedł popatrzeć na robotę i zabawił u nich tydzień. Oni wódki nie piją — więc ja pił, żeby im oskomy napędzić; oni ni śpiewają, ni grają — to ja im grał na harmonii i pieśni co najpaskudniejsze śpiewał, żeby się wściekali. Taką zabawę z nich miał jak w tyjatrze. Poszli na skargę do samego pana —

powiadają: „Niech no on przyjedzie, to ciebie precz wygoni”. Tak ja jeszcze lepiej osiadł —

myślę — zobaczę, jak to mnie wygonią. Po lasach tam jagód aż czarno — zabrał się ja w łochacze, to śpię, to jem, to czekam. Aż tu słyszę — pan przyjechał. Chodzi na roboty, ogląda, mierzy — i ktoś go do mnie podmówił zajrzeć. Przychodzi, patrzę — żadna parada: niewieliczki, czarniawy, sutułowaty,

trzy grosze by za niego nie dał. Pyta mnie: „Co ty tu robisz?” Powiadam:

„Co robić w jagodniku? Jagody jeść i na dziewczki czatować”. Nie rozgniewał się, może by nawet zaśmiał, ale u niego widać z oczu, że śmiać się nie zduża. Powiada: „Na co dokuczasz kopaczom, narzekają na ciebie, nie chcesz to co zarobić w letni czas? Chodź ze mną, dam ci robotę”.

Uparłem się i powiadam: „Albo mi tu źle — nie pójdę; wypisałem sobie wagon cukru do jagód, jak go zjem, to może do pana się zgłoszę — muzyków do roboty nie brak”. On popatrzał na mnie, myślę — kijem zdzieli, ludziom związać każe, będzie awantura. A on zapalił papierosa, na kępie usiadł i począł też jagody rwać. Myślę — oj, źle. Lach, co się nie śmieje, to chory, ale Lach, co muzykowi hardemu zębów nie wybije, to już całkiem nieżywy. Z takim nie wojować.

Po chwili on mnie pyta: „Żonatyś?” „Ojej, ile razy mi która się spodoba, to moja. A pan żonaty?”

„Nie” — odparł — popatrzał po błocie, wstał i odchodząc mówi: „Zostańże, kiedy ci tu dobrze i smakuje żyć, i kiedy możesz nie robić. Jak wstąpisz do Łasicka, zgłoś się do mnie”. „W gościnę?”

— pytam. — A pan nie wie, że mojej gościnie nieradzi ludzie. Jak mi się coś u pana spodoba, to sobie wezmę i nie podziękuję”. A on mówi: „Jak myślisz, że ja mam co więcej jak ty, to sobie bierz”. I poszedł.

— Co on, zbiesił się, tak gadać — rzekł Maksym.

— Durny ty, didu, jak on tak powiedział, to ja i zrozumiał, że u niego nic brać nie warto.

— Dlaczego? — spytała Zośka.

— Bo on o nic nie dba. Jego dumka gdzie indziej. Ja wtedy stamtąd zaraz poszedł precz.

Tyłkom starowierom jeden wieczór jeszcze prześpiewał, żeby na moim zostało...

Czółno wpadło w gwałtowny prąd ku młynowi i budynek ten zwrócił na siebie uwagę chłopów. Maksym począł wyliczać, jakie wsie tam zboże miały, ile może być miarek, ile Żyd zarabia, jakie kamienie, kto młynarzem i co by to było, żeby płyty kiedy groblę rozbiły. Tak rozmawiając, dobili piaszczystej wydmy, wparli w nią łódź — o kroków kilkanaście od chaty —

i Zośka wyskoczyła prostując zdrętwiałe nogi i przeciągając ramiona. Dzień się miał ku schyłkowi, chłód i mgła szła z rzeki, młyn nie szedł dla zbyt wysokiej wody, ściągnięty był w zatokę, a gardzielią grobel waliła spieniona woda grożąc zerwaniem tam. Kupa ludzi stała na grobli i rozhowywały się głośne, a wśród świt chłopów czerniał chałat Żyda dzierżawcy.

Poszli i oni ku gromadzie i dopiero wtedy Żyd poznał Zośkę i począł czapkować.

— Ach, same jasne panienki, w takie porę! Gwałt — czy jaśnie panienki do Łasicka?

— Nie, do was, Moszku, a raczej do Czaharów.

— Oj, tutaj bieda. Groble nie strzymają wody. Ja będę stratny na dużo rubli.

— Nie bój się. Nie stracisz. Już twoje panowanie skończone. Czahary paniencyne teraz —  
zaśmiał się Kasjan.

— Och, one moje nigdy nie były i nie będą. Ja nie obywatel, biedny Żydek posesor. Ja tylko ten rok tu jeszcze prze—bieduję, bo ja za niego z góry zapłacił i kontrakt mam.

— Komuś zapłacił i kiedy? — spytała spokojnie Zośka.

— Nu, zaraz po Purymie, w mój termin, ja do Woronnego poszedł, i panicz Karol pieniądze wziął —  
na kontrakcie podpisał.

— A to nie wiecie, że stary pan umarł przed Nowym Rokiem? Że musicie mieć podpis wszystkich  
sukcesorów?

— Po co mi wiedzieć? Ja znam pański honor. Jak panicz Karol podpisał, to jego interes. Ja wiem, z  
jakiem ja delikatnem państwem handluję. Ja by na honor zwierzył sto tysięcy, nie pięćset rubli!

— Pokaż mi kontrakt i daj nam co jeść.

— I wódki — dopowiedział Kasjan.

— Skąd u mnie wódka?

— Mnie jedno skąd, byle była. Jak ja ją sam znajdę, to darmo wypiję i wszystkich ugoszczę.

Chłopi zaczęli się śmiać, a któryś rzekł:

— Ja tobie nawet pokażę, gdzie schowana.

Zośka poszła pierwsza do chaty oglądając ciekawie osadę. Chata spora była i prawie nowa, przed  
trzema laty stawiana. Dotykała do niej obórka, a trochę opodal stała szopka na zboże i siano.  
Wszystko stało na wydmie, a poza tym leżał szmat uprawnej roli i rósł olsznik, obecnie wodą  
zalany. Za rzeką było sianozęcie porosłe łożą i czerniały z rzadka rozrzucone dęby.

W chałupie panował brud i nieład żydowski — pełno było chłopstwa, drobiu, sprzętów koślawych,  
szyby nieobecne zastąpiono wiechami słomy i gałganami, ściany okopcone, pułap czarny, podłoga  
niewidzialna pod warstwą błota.

To była pierwsza izba, za nią był alkierz, skąd na widok osobliwego gościa wypełzło troje bachorów  
i Żydówka. Moszko coś z nią pogargotał, zakrzatnęła się tedy około eleganckiego przyjęcia. Spódnicą  
otarła jeden róg stołu i postawiła przed Zośką szabasową bułkę na fajansowym talerzu i śledzia.

Ale Zośce jeść się odechciało, wzięła z rąk Moszki kontrakt i zobaczyła czarno na białym, że Żyd  
istotnie ratę dzierżawną z góry zapłacił, że mogła tedy upomnieć się u Karola o 500 rubli, ale do



Czaharów przed upłynięciem roku prawa nie miała i osiąść w nich nie mogła — nawet w tej chałupie. Złożyła papier i czuła, że bezmierna gorycz i słabość ją ogarnia. Zamyśliła się tedy chwilę bezradnie.

Kasjan za nią do izby wszedł i zrazu zajęty był tylko sobą. Zaczął myszkować po kątach, zwiedził alkierz, sień, komorę, zajrzał do szafy i pieca, uczynił popłoch wśród kur, rozpędził

bachory, wyгнаł chłopów i po chwili zdobył garnek krupniku, trzy bułki, butelkę wódki i pęk obwarzanków. Zasiadł wśród tego na ławie, opodał Zośki, i począł zajadać jak „wilk, rozglądając się i nadśluchując. Gdy głód zaspokoił, resztę zostawił Maksymowi, sam zapalił papierosa i zmrużywszy oczy, zdawał się drzemać, o ścianę oparty. Ale oczy jego widziały wszystko, ale uszy słyszały każde słowo, a mózg zbója i awanturnika kombinował.

— Macie rację, Moszku — rzekła spokojnie Zośka. — Zapłaciliście, Czahary do roku wasze.

Odtąd zaś oznajmiam wam, żebyście nie płacili za nie w Woronem. Należą teraz do mnie.

— Winszuję, jasne panienkie. Dobry kawałek grunt, tylko że w nim to tylko Żydek wytrzyma

— między takie sąsiady. Te chłopcy z Ługów, a te flisaki, to czyste rozbójniki.

— Już wy, Moszku, lat dziesięć tu siedzicie.

— Co robić? Nasza taka żydowska natura, gdzie stracisz, tam odbieraj. Aj! co ja już tu potracił!

Chciał zacząć długą opowieść swych nieszczęść, gdy wtem młynarz przez drzwi huknął:

— Moszku, płyty!

Na tę groźbę rozbicia grobli, nadzieję targu od flisaków i okazję gadania i kłótni wyległo z izby, co żyło. Została tylko Zośka i Kasjan, który po chwili splunął i rzekł:

— No, to i co będzie? Podaruje panienka ten rok Żydowi?

— Chyba — odparła. — Zapłacił, ma prawo.

— A niedoczekanie! Jak zapłacił, to niech idzie po pieniądze do Woronnego. Ja jego jeszcze dziś do wieczora stąd wymiotę.

Uśmiechnęła się.

— Wiesz, Kasjan, że ja wcale nie mam ochoty siedzieć z tobą w więzieniu za samowolę.

— Uh, kto by tam siedział? A ja taki uparł się odsłużyć panience za tamto — pamięta panienka. Już by ja dawno zgnił, żeby nie wy! A tak i widzę, że panienkę krzywdzą, i żeby do sądu pójść, toby Żyd przegrał. Ale co sąd — nie rok wlec można i tyle wydać grosza, co i wygrawszy przegrasz. Na to w głowie chytróść jest, żeby po swojemu obstać. Już niech panienka nie sumuje, będzie po naszymu!

— Et, Kasjan, rozboju ci nie dam robić, nie pozwalam. Pomyśl raczej, gdzie by zanocować, bo w każdym razie chciałabym objechać granice, obejrzeć wszystko, a tu w izbie trudno wrytrzymać.

— Wiadomo. Już ja panience wyścielę wygodnie, a gdzie by, jak nie w młynie? Tam czysto.

Tutejszego chłopca na jutro do łodzi dostanę — wszystko nam pokaże. A rozbój? Jak można przemyśleć, to po co kułakiem? Czestne słowo daję, że Moszko sam ustąpi, do pustej chaty panienska zjedzie — panować. Aj, jak tam krzyczą, pewnie się pobili, pójdę, podrażnię.

Wyszedł, a Zośka, mało zważając na te obietnice pijaka, rozmyślała, co by za radę dać. Nie chciała nadużywać uprzejmości Motolda, więc postanowiła wpłynąć na Karola przez Spendowskiego, aby jej przynajmniej zwrócił pobrane nieprawnie 500 rubli za dzierżawę. Żeby miała te pieniądze, mogłaby skleić jaką taką chatynę na swym gruncie i rok przeżyć suchym chlebem. Byle się ziemi ucześć, zejść ludziom z oczu, wynieść się z miasteczka, byle o niej zapomniano.

Powoli zdawało się jej, że byle Spendowski wiedział o sprawie, to już będzie pomyślnie załatwiona, i otrząsnąwszy się z chwilowego osłabienia, wyszła, by jeszcze się po swej osadzie rozejrzeć.

Nad rzeką zbili się chłopcy, płyty szły długim sznurem. „Łasicka kolej” — jak ją któryś objaśnił. Motolda drzewo — dębina na pomostach sosnowych — przeprowione przez młynową gardziel, uczepiono w zatoce i flisacy wysiadali na brzeg, zabierali się do noclegu, bo „pasy” niektóre się porozłączały, należało „ładzie”. Coraz gwarniej uczyniło się i coraz barwniej, bo rozpalono ognisko, ozwały się tony skrzypiec — raut chłopski zapowiadał się świetnie. Kasjan był w tłumie, już dokazywał po swojemu, bo go pojono i ugaszczano, nie tyle z serca, co ze strachu. Na najdalszy cypel ładu zaszła Zośka i w ostatnich łunach zachodu widziała olbrzymi kawał tego płaskiego kraju. Usiadła nad nurtem i roiała plany na życie dalsze i tak się tym zajęła, że zgasł zachód, sierp nowiu oświetlił rzekę, a ona wciąż siedziała, obojętna na chłód, wilgoć, głód i zmęczenie.

Wtem Kasjan się ukazał niosąc miskę pełną gorącego mleka i kromkę chleba. Nie bardzo był jeszcze pijany, ale już głos miał zmieniony.

— Ot, kolacja panienska i we młynie posłano. Chłopca z Sydorów już na jutro, czut świt, zamówiłem, a Maksyma puściłem do domu. Niech panienska zje, to spać zaprowadzę, bo mnie czeka zabawa, że he! A zanim panienska nie ułożę, to nijak mi pić.

Roześmiała się.

— Tyś mnie nie na żarty w opiekę wziął. Może i na rządcę do Czahar się zgodzisz?

— Myśli panienska, nie potrafiłby! Oj oj! A co by to za komedia była! Jak by ja muzykami orał, a Żydami bronował. A jak by u nas wszystkiego było w bród! Panienska się śmieje, oj oj, żeby ja zechciał pod dachem żyć, ale mnie duszno! Ale zawszeć ja w druźbie dla panienska będę.

Podczas gdy jadła, usiadł opodal i objąwszy rękami kolana prawiał, podniecony wódką.

— Ja tylko ten czaharski młyn znał, a teraz, jak się rozpytał i rozszłuchał, to węszę, że to kąt taki tajny

i bezpieczny, że gdyby tu z dziesiątek chłopów zebrać, toby królować było można. Nikt tu nie dogoni — zakonu czytać nie będzie. A coś mi się zdaje, że ten Moszko to nie z mąki żyje i chleba z niej nie piecze. Niech no się lepiej flisaki popijają, to ja się reszty dowiem.

Chłopa z Sydorów też za język pociągnę, jedna ta wioska tu na taki szmat kraju, a i to w wodzie i olszynie siedzi i oprócz Filipowa innego miasta nie widzieli. Bogaty naród, bo nic nie kupuje.

Można się u nich pożywić. Podjadła panienka, no, to chodźmy.

Ruszył przodem i zaprowadził ją do młyna. Tam już zniósł sporo siana na posłanie i ulokowawszy ją, drzwi zamknął i znikł.

Zośkę czas jakiś trapiły szczury, hałas hulającej czeredy chłopskiej, potem ją do snu ukołysał monotony szum rzeki i zapomniała swych trosk w kamiennym śnie zdrowej młodości.

— Panienko, jedziem! — zbudził ją chrypliwy, przepity głos przygodnego opiekuna.

Zerwała się. Słońce już jasno biło przez rozwarte drzwi, w których stał Kasjan, z podbitym okiem, z krwawą szramą przez nos, w bardziej jeszcze podartym kożuchu, ale jak zawsze z czapką na tyle głowy i zuchwalstwem w zaognionych od bezsenności i przepicia oczach.

Wyszła na boży świat, przeciągnęła się, rozejrzała. Pasy, flisaki już odpłynęli. Siady ogniska, zdeptany piasek, okruchy jada, trochę trzasek i słomy — tyle tylko po nich zostało. Żyd z robotnikami pracowali na grobli, a u brzegu była tylko jedna łódka, w której siedział chłop i jadł suszoną rybę popijając te okopcone drzazgi wodą z rzeki.

— Jedźmy, śniadanie dla panienki mam! — rzekł Kasjan. — Z Żydem nie ma co gadać! Niech mu się zdaje, że on tu pan.

Wsiedli do czółna i Zośka zagadnęła chłopa.

— Dobrze granice znasz?

— Ojoj! — była cała odpowiedź.

— Do południa opłyniesz?

— Ojoj!

— Jak ci na imię?

— Imię?

— No, jak cię wołają?

— Naum.

— A żonkę masz? — spytała śmiejąc się, bo wyglądał na lat kilkanaście.

— Jest — odparł i splunął.

— Ożenili durnia — dopowiedział Kasjan. — Gadał mi, jak było. Wdowę starą mu dali, ich było sześciu w chacie, więc bracia i ojciec w prystupy go wyparli. Rybacka chata i on rybak, to zna każdy kąt. Wokoło nas granicą obwiedzie.

Płynęli z falą, więc szybko, i chłop po chwili rzekł:

— To Małaszowa sianożęc.

Ale sianożęc była pod wodą — sterczały z niej tylko czuby łoży i olszyny.

— Nie bardzo ją Moszko czyści — mruknęła Zośka.

— A po co mu trzebić! Ma on dobrze i bez siana. To wasze sydorce koszą? Na trzeciak?

— Na połowę. A toe hat Semki!

— Płaci Moszce?

— Bodajże! Oni kompany. Ze Semką nikt się nie doprze ni do ryby, ni do siana.

— To ten wasz starosta?

— Aha! — i chłop znowu splunął. Snadź jednakie miał wrażenie na wspomnienie żony i Semki.

Po kolei wymieniał nazwy uroczysk; granica wiła się fantastycznie z biegiem rzeczki, której koryto chłop znał i prowadził nią czołno, chociaż w obecnej porze wszystko było pod wodą.

Zbliżyli się wreszcie do szarej wioski, uczeptionej do piaszczystej wydmy, i chłop mruknął:

— Nasze Sydory.

W wiosce ruch już panował. Spotkali parę łodzi z sieciami i stado bydła, które pasło się już po grzbiety w wodzie, ogryzając łożowe kotki i wyciągając snujący się po wodzie czarnogłów.

Czołno przesuwało się bliźutko i widać było wilgotne nozdrza i łagodne oczy rogaczów. Zapach dymu szedł od wsi i słyhać było stukot praczów bab piorących świeżo wytkane płótna. Stało ich kilkanaście w wodzie i nagle z tej gromadki podniosło się wołanie:

— Naum, Naum!

Chłop nie przestał wiosłować, tylko odpowiedział uprzejmie:

— Nu, czego?

— Hospody! Biednyż ty! — zaśmiał się Kasjan patrząc na wołającą kobietę.

— Kogo ty wiesz? Gdzie? Do Filipowa? A gdzie mąka? — wrzeszczała przeraźliwym dyszkantem baba chuda, czarna, z głową okręconą brudną chustą.

— Młyn spuszczone, nie ma mąki — odparł chłop.

— Postójże. Kiedy wrócisz? A soli z Filipowa przywieź.

Sieczkę trzeba rznąć. Gdzie ciebie nosi lichy. Starosta goni do grafskiej grobli. Wróc się!

— Aha, zaraz! — odkrzyknął Kasjan. — Napiecz, babo, na podwieczerek greczaników, przyjedziemy do ciebie w gości. Oddamy go tobie na noc, nie bój się.

Baba coś jeszcze krzyczała, ale jej już nikt nie słuchał, a najmniej małżonek. Kasjan począł mu dogadywać, słuchał apatycznie, wreszcie splunął i mruknął: „Chworoba”.

Za wsią rzeczka się zwęziła; oba brzegi porośłe były olszyną, łożą, gąszczem krzewów.

Rozbiegała się w tysiące wodnych żył, tworzyła rybne tonie; zatoki, lesiste głębie. W jednym miejscu ujrzeli duże jakby jezioro — na nim resztki tamy i grobli.

— Stare młynisko. Na dziwo tu ryba bywa!

— Ot, by tu chatę postawić — rzekła Zośka, zachwycona ustroniem.

— A cóż, nawet i drzewo na chatę byłoby — odparł Kasjan. — A w Olchowej żyć nie można.

— Tu Semko ziemiankę gdzieś ci ma — rzekł chłop.

— Jak to gdzieś ci? To jego!

— Nie. Ryb pilnuje. Nikogo nie dopuszcza.

— Gadają, że ziemianka jest, ale tam grzęsko, trzeba znać, gdzie stąpić. Tam już rzeki nie ma ani sianożęci — taki k r e k o t bez dna, a idzie to daleko, na kraj świata. Tam nikt nie chodzi. Nie ma po co, ani jak.

Minęli — zatoka zniknęła — znowu łoży, olchy, czarna toń, las coraz bardziej drobny — i znowu tylko sianożęci — znowu zakręt — grunt się podniósł i co bardzo dziwne w tym dzikim i pustym kraju, ukazał się wśród drzew, na tle czarnego ostępu domek w szwajcarskim stylu, parę budowli gospodarskich, wszystko porządnie płotem opasane.

— A to co? — zdziwił się nawet Kasjan.

— To grafaska straż, Szafranka! — rzekł chłop jakoś uroczyście i z poszanowaniem.

„Grafem” nazywał hr. Motolda, który tytułu sam nigdy nie używał.

I aż się chłop rozgadał.

— To już dalej — het, het — grafski cały świat i woda, i lasy, i ziemia — gdzie spojrzysz, gdzie stąpisz. W Szafrance leśnik żyje, panowie wiosną na toki przyjeżdżają, a jesienią to cały nasz naród na obławy tam gonią. A lasu to tak pilnują, że i różgi nie ukradniesz.

— A niedoczekanie ich, jeśli ja im nie ukradnę! A leśnik kto? Tutejszy?

— Nie, cudzy — Niemiec! Nie wiadomo kiedy śpi i je, tak pilnuje. I trzech synów ma jak sumy wielkie, jak szczuki sprawne.

Oczy Kasjana pałały, zapatrzone w las i w leśniczówkę. Nozdrza już węszyły, błyskały w uśmiechu zęby. Aż się odwrócił i zaklął.

— Aj, zaraz by spróbował, ale co insze z początku. Nu, zwracaj, trzeba nam jeszcze skrócić na stare młynisko.

— Nie pojedę ja tam — rzekł chłop spokojnie, ale czuć było, że nie pojedzie.

— Durny ty, truś! Nie mówił ja tobie, że za mymi plecami Semko cię nie pojmie. Jedź.

Chłop więcej słowa nie rzekł, skrzęcił łódź. Płynęli. Te same mijali sianożęcie, łozy, olchowe gąszcza, tonie, zakąty — aż nagle wynurzyli się tuż koło Sydorów.

— Coś ty, zdurzał? A gdzież młynisko — huknął Kasjan. — Zawracaj, słyszysz?

Chłop skrzęcił trochę pod łozy, czegoś upatrywał, wreszcie powoli rzekł:

— Raz powiedział, raz pokazał — więcej nie będę! I nagle zsunął się w wodę, wpadł w krzak łozy i przepadł.

Gałęzie się zasunęły, rozległo się pluśnięcie, łódź się zachybotła — i tylko Zośka się roześmiała z miny Kasjana, a wreszcie i on śmiechem parsknął.

— Bacz, i zakpiła ze mnie ta błotna gadzina. Nu, nic, wiem do woli. Naum, wróc się, nie będę cię musiał.

Ale chłop nie dał znaku życia. A Zośka rzekła:

— Do wsi przybijem. Trzeba co zjeść.

Kasjan grzmotnął się pięścią w czoło.

— Czy ja zdurzał? A toć śniadanie panienki u mnie za pazuchą.

I wydobył w czystą szmatkę owinięty kawałek słoniny i chleba.

— Pewnieś ukradł. Nie chcę! — zaśmiała się.

— Dalibóg nie. Wiernik ze skarbówki mi dał. Jednakże do wsi zajedziem. Nie byłem tu nigdy.

Trzeba naród poznać. Hospody, widziała panienka kiedy taki cud!

Spojrzała za jego ręką. Z piorących kobiet u brzegu została tylko jedna, ale istotnie mogła zwrócić uwagę. Olbrzymia, stosownie do wzrostu pleczysta, czerwona na twarzy, zwijała uprane płótno i gdy przybyli, ciężar ten, kilkopudowy zapewne, zarzuciła sobie łątwo na ramię i rękę o biodro podparłszy, wpólnaga, wodą cała oblana, patrzyła na czarno ubraną panią, zapewne też jak na чудо.

— Ot, gdzie dziewczki, jak harmaty, czort pochował, ot, gdzie człowiek cudów się napatrzy —

w takich podłych Sydorach, gdzie nawet karczmy nie ma! — mówił, cmokając, Kasjan i wnet zagaił rozmowę:

— Dziewczyno, postój no, pokaż, gdzie Naumowa chata.

— A Nauma gdzie wy podzieli? — odparła.

— Utopił się.

— Ale, to i kaczka się utopi — zaśmiała się. — Kto wy? Skąd?

— Toć nasza pani z Woronnego, a o mnie ty może słyszała? Kasjan!

— Nie słyszała. Nam do Woronnego nie droga.

— A ty czyja? Dużo was takich w chacie?

— Nie, ja jedna, Naumowa siostra, Likta.

— Wychowałaś się jak stóg. Toć z ciebie skóry by na trzy krowy wystarczyło. Toć ciebie nie rękoma, a liną od promu chyba obejmować. Ot, gładkaś — nu, nu!

Dziewczyna śmiała się, rada z pochwał, i poszła naprzód, nie uginając się pod ciężarem, prosta, potężna, a Kasjan, idąc za nią, mówił do Zośki:

— Widzi panienka, jak stąpi, co za ślad. Taka musi ważyć siedm pudów. Ot, dziewczki! Z rodu ja takiej nie widział. Toć w naszej gorzelni kufy takiej nie ma. Już ja z tych Sydorów nie wyleżę chyba, aż nią się nacieszę.

Szli między chatami bezładnie rozrzuconymi nad wodą. Chłopi wychodzili na ulicę, porzucali roboty,

gapili się na dziwo, na „panią”. Stado dzieci biegło za nimi, cała wieś się poruszyła.

Wreszcie dziewczyna otworzyła wrotka do jednej z zagród, zastukała w okienko.

— Hrypa... goście do was. Czy Naum doma?

— Nie ma — odparła baba ukazując się w progu.

— Sława Bogu! — pozdrowiła wedle obyczaju Zośka. — Porzucił twój Naum nas na rzece.

Odprowadziliśmy czółno i wstąpili zapłacić. Dajcie spocząć trochę.

— Proszę panienki, proszę. A oto hycel! Czy on zdurzał, blekotu się najadł? Niech no on mi się na oczy pokaże! — wołała uprzejmie baba wprowadzając gości do izby.

Chata była bez komina, czarna, ale przestronna i widocznie zamożna. Zośka знаła obyczaje, umiała mowę, bywała często po chatach. Usiadła pod oknem u stołu, a wtem Kasjan zaśmiał się.

— Aj, jak ty, babo, łąć umiesz! A toć postoły Nauma już się suszą, a on pewnie w komorze schowany.

— Dalibóg nie! A mnie po co łąć?

— Ze strachu przed Semką, głupie wy. A nie wiecie, że jak ja rzekł, że jemu koniec będzie — to i będzie!

— Cyt, cyt — szepnęła baba. — Toć jego chata obok naszej. Uchowaj Boże, posłyszysz!

— Nie posłyszysz, już więcej nic nie powiem, ale niech Naum się nie chowa. My tu z panienką przyjechali wszystko poznać i rozsluchać, bo panienka teraz tu nad wami panować będzie, dwór postawi, gospodarować zacznie.

— Może to być? A Moszko?

— Na lichy koniec mu idzie, ja mówię. Ty wiesz, kto ja.

— Wiem, trochę słyszała od ludzi, trochę Naum gadał.

— Aha, gadał, no to niechże się nie chowa. A jeść nam co dacie, młodyco?

Musiał już dawno nikt tego wyrazu jej nie mówić, bo baba rozpromieniła się, zakrzętała i wnet znosić jęła, wedle swego pojęcia, najlepsze specjały. Po chwili też, milczkiem, wsunął się Naum, za nim kilka bab, sąsiadek, ciekawych a smutnych, potem dwóch czy trzech chłopów niby za interesem. Zrazu nieśmiało patrzali tylko na Zośkę, wreszcie zjawił się jeden, co w Woronnem był — i ją znał, więc przywitał, pokornie w rękę pocałował, a na koniec, zachęceni jej pytaniem, zaczęli rozmawiać. W głowach im się nie mieściło, żeby zamiast Żyda mogli zależeć i służyć innemu panu. Lud był to



dziki, ale dobry, spokojny, łagodny — rybacy wszyscy, żyjący z rzeki i bydła. Zboża siali niewiele — kosili łąki, hodowali byki, resztę czasu spędzając na wodzie z sieciami. Wioszczyzna miała chat dwadzieścia, „dusz” było około stu. Po chwili oswoili się z panienką, mówiła ich językiem, i bardzo składnie, pytała o żywotne kwestie ich bytu, więc poczęli śmiało opowiadać, a ona notowała sobie wszystko w pamięci: ilość stogów siana, cenę zajmisk, odróbki, prawa rybnych połowów, warunki trzebienia łozy — i wyrachowała, że Moszko, płacąc pięćset rubli dzierżawy, brał trzy razy tyle, nie licząc dochodu z młyna.

Zrozumiała też, że masę tę poczciwą i dobroduszną Żyd, jak chciał, wyzyskiwał, a trzymał ją zaś w grozie i poddaństwie starosta Semko.

Podczas tej całej rozmowy Kasjan też nie próżnował. Z wielką misą jadła wyniósł się do sieni, otoczyli go wnet chłopci i tym śmieiej szły rozhowory. Znalazła się w kieszeni zbója flaszka wódki i zapas tytoniu. Traktował, przepijali znajomość i po godzinie wiedział już dzieje i stosunki każdej chaty. Dowiedział się też, że Likta „hańbowwała” swatom, wybijała zalotnikom zęby, bo kroila na bogacza Daniła, Sem—kowego jedynaka. W ogóle, o ile starsi biernie się poddawali władzy starosty, o tyle młodzież rada by się zbuntowała, ale „trusy” byli i ojcowie ich mocno trzymali. Sykali, ale przez zęby, odgrażali się, ale oglądając trwożnie, czy kto nie podsłuchuje.

Kasjan jadł, wódką traktował, tytoniu nie żałował, a dusza mu się radowała, po twarzy latały śmiechy, oczy nabierały kocich, zielonych błysków. Czuł w powietrzu awanturę, wilczą wyprawę po zdobycz, nowe pola dla swego zbójnictwa, zaloty z dziewczką jak harmata, co „wybija zęby”, i już mu pilno było panienkę odwieźć, i tu wrócić swobodnie, samemu, używać po swojemu — do krwi, do śmierci!

Nagle chłopci umilkli, obejrzeni się, zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia. Do sieni wszedł człek nieokreślonego wieku, kulawy, kołtunowaty, o twarzy idioty, w łachmany ubrany.

Wszedł, słowa nie rzekł, zezem po ludziach spojrzął i cofnął się za próg — na przyzbę.

— Kto to, znachor? — spytał Kasjan.

— Nie, toć Semków brat starszy, niemowa. Tak żyje, trochę zebrze, po świecie chodzi, nic nie robi, kaleka i rozumu niespełna. Z chaty go dawno wygnali. Dawniej im było pasał, ale potem i tego nie zechciał.

— Bo mocy nie ma — ktoś rzekł.

— Oho, ma on i moc, i chytróść, tylko przytajoną — drugi mruknął. — Taki, co nie gada, lepiej słucha i pamięta.

Kasjan wstał.

— Trzeba nam jechać! — rzekł. — Dajcie, chłopcy, sprawną czajkę, odwieziemy panienkę!

Amatorów było wielu. Wybrał najtęższego i po chwili, przeprowadzeni przez całą ludność wsi, zeszli nad rzekę. Wyprzedzali się ludziska z usługą, wysłano czółno sianem i kozuchami, a na

pożegnanie Naumowa, odmówiwszy stanowczo przyjęcia pieniędzy za męża fatygę i swoją gościnność, ofiarowała Zośce parę suszonych jaziów.

Dawano sternikowi tysiąc rad co do drogi, bo Kasjan nie chciał pod młynem płynąć, Żydowi się na oczy narzucać, więc zdecydowano wreszcie, że przecisną się na Szczebry — przez huty —

i z tym czółno ruszyło.

— Ostańcie szczęśliwie! — pożegnała Zośka.

— Z Bogiem jedźcie, do zobaczenia — odkrzyknęła gromada i stali jeszcze, nawołując do sternika, aż czółno zabiegło za olchy i Sydory znikły.

— Będziem tu żyć, panienko! — rzekł Kasjan ochoczo, zsuwając czapkę na tył głowy.

— Choć nie zaraz, a będziemy — potwierdziła.

— To panienka myśli czekać do roku?

— Nie wiem, popróbuję pierwiej, ale chyba nic z tego nie będzie. Rok nie wiek, doczekam się.

— Aj, panienka młoda, a gada jak stara! Stary, jak trzeba podważyć, za kołkiem się ogląda, a młody na kułak rachuje! A już panience poprzysięgnę — tu się zatrzymał i spytał chłopca — to jakie uroczysko?

— Szczebry właśnie. Sianożęć, tam dalej, het!

— No, to ja poprzysięgnę, że paniencyne stogi tej jesieni na tych Szczebkach będą stały. I ot, mój kułak to zrobi!

Tu się zaśmiał i począł gwizdać.

## IV

Spendowski, do którego się Zośka udała z prośbą o pośrednictwo w sprawie dzierżawy Czaharów, obiecał najsolenniejsz „wpłynąć” na pana Karola o zwrot pobranych nieprawnie 500

rubli, ale dni i tygodnie mijały bez odpowiedzi. Dziewczynę żarła nuda i troska, mieszkała jeszcze u Bajkowskiej, ale któregoś wieczora Emilka oznajmiła jej, że Wilbik się oświadczył, a zatem kształcić się dalej nie ma racji, a stara Bajkowska poczęła napomykać, że na salkę trafia się lokator, urzędnik z policji, osoba bardzo godna i przy traktierni użyteczna. Czuła Zośka, że odejść musi, ale gdzie? Poszła tedy raz jeszcze do Spendowskiego, ale ten, strapiony i zażenowany, wyznał, że pan Karol o zwrocie pieniędzy dobrowolnie nie myśli i że mu ostro odpowiedział: „Zaczęła się sądzić, niech się sądzi o wszystko”.

Pomimo dyplomacji Spendowskiego poczuła też Zośka, że jurysta jest jej niechętny, ponieważ wskutek jej protestu ominęło go honorarium za dział, więc pożegnawszy go, rzekła do siebie, wychodząc:

— Już tu nigdy nie będę. Ale dokąd, do kogo się udać, jak i gdzie ten rok przebyć?

Zamyślona poszła nad rzekę.

Wody wiosenne opadły już znacznie, zielone obszary łąk wynurzyły się z topieli i cały ten płaski kraj, aż do czarnych lasów na widnokręgu, mał się w całej krasie.

Napiszę do Stefy i na rok do Warszawy wyjadę, żeby na to nie patrzeć — pomyślała z rozpaczą.

Przechodziła koło przystani. Jedno czółno tylko było, a w nim poznała Nauma z Sydorów.

Wpółleżąc na garści szuwaru, ćmił fajkę. Gdy ją ujrział, twarz jego, bezmyślna pozornie, typowa twarz dzikiego człowieka, skurczyła się w grymas uradowania i zdjął czapkę.

Przystanąła.

— Takeś daleko się odbił, Naum. Pierwszy raz chyba? — rzekła z uśmiechem.

— Już raz, w święto.

— Z rybą przyjechałeś?

— Nie, z Kasjanem. Na noc będziemy wracać.

— A Kasjan gdzie?

— Za „dziełem” poszedł.

— To on tam u was bawi?

— Ale, z Liktą się wodzą.

— Naprawdę, może się pobiorą?

— Kto ich wie? Biją się mocno!

— A młyn idzie?

— Ojoj!

— Pozdrów tam wszystkich ode mnie. Szczęśliwej ci drogi.

— Do zobaczenia. Czekają nasze ludziska panienki. Uśmiechnęła się gorzko. — Długo czekać będą. — Nie pomyślała nawet, żeby ten chłop, ta łódka miała jej los rozstrzygnąć.

A tymczasem Kasjan był niedaleko przystani w szynku i pił. Ale pił niewiele, powoli i siedział

długo, burdy nie wszczynając, jakby na coś czekał. Czekał zmroku. Gdy słońce zajrzało w karczemne okna, wbrew swemu zwyczajowi bez łajania i kłótni za wódkę zapłacił i poszedł na miasto. Ludzi rozpytawszy, znalazł mieszkanie akcyźnego urzędnika i do kuchni wszedł.

— Czego? — spytała go opryskliwie kucharka.

— A jakby w swaty do ciebie! Po co szumisz? Do pana pomocnika z ważnym interesem. Idź, poproś, żeby wyszedł. Będzie rad.

— Ukradniesz jeszcze co tymczasem.

— Toć by wolał ciebie jak twoje rondle wziąć. Rondle odbiorą i do ostrogu jeszcze wsadzą, a ty gładsza i za ciebie sądu nie ma. Nie marudź, idź, bo pilno!

Kucharka się roześmiała z dowcipu i poszła.

Po chwili urzędnik się ukazał, spojrzał na draba.

— Aha, Kasjan, a ty tu czego?

— Ot, ja znaczny, kiedy mnie pan pamięta. Ja przyniósł panu gościńca.

— No, co takiego?

— Trzeba po niego daleko płynąć, jeszcze dziś w nocy. A co mnie pan za ten gościńiec da?

— Co to? Szynk tajny?

— Oj, lepsze.

— Ej, samowarek? — ożywił się urzędnik.

— I dobry. Wiader dziesięć dziennie.

— Gdzie? Na pewno?

— Już ja doprowadzę. Po północy będziemy na samą robotę. Na domysły by ja tu nie był.

— Trzeba ludzi z sobą brać, policję?

— Ludzie będą gotowi. Ja urządził pułapkę dobrą. Dla bezpieczeństwa rewolwer niech pan weźmie, kozuch prosty na mundur, czapkę bez znaczka, więcej nic nie trzeba. Nakryjem ptaszki.

— Nie łzesz ty, nie kręcisz, bo pamiętaj, jak mnie okłamiesz, to cię znajdę i odsiedzisz! Złość masz może na jakiego Żyda i chcesz mu dokuczyć.

— Złość mam, prawda. Było mu z drogi mi ustąpić, jakem łaską prosił. Uparł się, bardzo pewny, że jego trefny interes dobrze schowany. Myślał — i czort nie znajdzie. Ja znalazł. Łgać i kraść umiem ja, ale, ot, przyszło się prawdą iść. Lepiej by było spirytus trefny darmo pić; czy ja by do pana z gościńcem tym głupi był przychodzić, żeby nie żydowski upór. Mnie żal prowadzić pana, ale trzeba. Zawszeć setkę mi pan da za to.

— Setkę? Oszalałeś! Dziesięć rubli dostaniesz. Kasjan się roześmiał.

— Żeby tam pana na spacer czólnem zawiózł, tobym trzy ruble dostał. Toć koniec świata.

— No, zresztą zobaczymy, jak się uda!

— Niech się pan ze mną nie targuje. Dalibóg nie warto. Da mi pan setkę, to i powracać będziemy razem, i wszystko panu pokażę. Skrzywdzi mnie pan, to tylko doprowadzę na miejsce,

— Więcej mi nie potrzeba! — roześmiał się urzędnik. — Na miejscu zresztą dam ci dwadzieścia pięć rubli. Ale niech no się nie uda.

— To moja rzecz. Więc pan mojego słowa nie słucha — niech będzie pańskie na wierzchu. Ja się i na to zgodzę.

Błysnął złowieszczo oczami, zaśmiał się.

— To i ruszajmy. Pan się ubierze, ja poczekam.

— Dajże mu jeść i pić, Katarzyno!

— Dziękuję pokornie, panie. To i pieniądze dostanę.

— No, zaryzykuję! — roześmiał się podniecony łakomą gratką akcyźnik.

Odliczył dwadzieścia pięć rubli, które Kasjan owinął w szmatę i na sznurku zawiesił na szyi.

Potem zasiadł do jedzenia i zalotów z kucharką, a że mu pomyślnie szło, tego dowodem była potłuczona lampa i przewrócone wiadro z wodą. Na hałas stąd wynikły wpadła pani domu z łajaniem, ale w kuchni panowała ciemność, a winowajcy jakby nie istnieli. Wróciła tedy po światło, a kiedy z nim weszła znowu, kucharka klęła kota, Kasjan siedział u drzwi z czapką na kolanach i czekał na „pana”. Kot uciekł wybiwszy szybko na domiar szkodności.

Po chwili urzędnik był gotów, uzbrojony, przebrany, i poszli boczną uliczką ku rzece.

Śpiącego Nauma zbudził Kasjan szturchnięciem i nie zamieniwszy słowa, odbili i przepadli w zmroku. Noc była „na starym miesiącu”, ciemna, i opary słały się nad wodą. Naum sterował, Kasjan łódź pędził, że aż woda warczała. Urzędnik próbował zorientować się w kierunku, ale wnet się zgubił — próbował wybadać chłopą, ale Poleszuk, jak nie chce mówić, drwi z najlepszego sędziego śledczego, a Naum mówić nie chciał. Kasjan zaś, zamiast odpowiadać, począł prawić o jakimś akcyźnym kontrolerze, którego w Woronem znał i różne jego nieprawości wiedział. Te sztuczki kolegi tak zajęły urzędnika, że do reszty na drogę nie uważał.

Tak płynęli godzin parę, chłopom od potu poczerniały na plecach koszule — zamieniali czasem parę słów, nie ustawali w pracy ani na chwilę, spoglądali czasem z niepokojem na gwiazdy.

Nareszcie zwolnili, poczęli nasłuchiwać, kocie ich oczy wierciły ćmę mgły. Byli wśród czarnych olch, w jakimś ciasnym, wodnym przejściu.

— Ja mówił, że niemy „projawa” — mruknął Naum.

— A ja mówię, że ty „durbało” — odparł Kasjan — ot, jest, przybijaj.

W ciemności ktoś uderzył stalą o krzemień. Błysnął snop iskierek. W to miejsce, w krzak łozy wepchnął Naum łódkę i zaraz ją o gałęzie uczepił.

— To tu? — zdumiał się urzędnik.

— Jeszcze szmat na piechotę. Niech pan ląduje. Wyskoczył sam, podał wiosło, akcyźnik znalazł się na grząskim gruncie, w zupełnej ciemności.

— A gdzie pomoc? Ludzie?

— Będzie nas dosyć. Ich tam tylko dwóch.

Nie bardzo to było zachęcające, ale cofać się nie była pora.

— No, to prowadź.

— Zaraz, niech no się rozmówię z wartą. Może się spóźnili.

Tedy urzędnik, wyteżywszy oczy, dostrzegł tego, co ogień krzesił, garbatego karła.

Kasjan go za rękę wziął i spytał:

— Są oni tu? Ilu?

Karzeł dwa palce podniósł.

— Pilnowałeś? Nie poszli?

Potrząsnął głową, uczynił kilka ruchów, które Kasjan zrozumiał, bo głową kiwnął i rzekł:

— Przy robocie są, no to i dobrze. Ruszaj naprzód. Daj koniec pasa i prowadź.

Wszyscy trzej ujęli za wełnianą chłopską krajkę i poszli.

Grząsko było, miejscami zapadali w wodę, potem przebrnęli dłuższą przestrzeń wodną, poczuli pod nogami oślizgłe kładki. Chłopi szli po nich lekko, w łapciach z łyka, urzędnik potykał się i gdyby nie ramię Kasjana, byłby co krok leżał. Zresztą we mgle o krok nic widać nie było, tylko niekiedy spod nóg umykały jak nocne ptaki smugi błotnych świateł, ptactwo zaś błotne, którego chór grał im w drodze, ucichło. Byli snadź na dzikich bagnach, gdzie się nic nie lęgnie i nie żeruje. Szlak kładek wił się zygzakiem wśród kęp, sięgających pasa.

Nareszcie wydostali się na grunt wyższy; zamajaczyły drzewa, a w dali, nisko na ziemi, światło. Przystanęli, niemy zaczął na migi z Kasjanem coś tłumaczyć, odsapnęli chwilę, zapatrzeni wszyscy w ten ogień tajemniczy. Potem ruszyli dalej. Była ścieżka wśród zarośli, ale niemy w gąszcz skręcił, kołował, coraz zacieśniając kręgi, widzieli ogień na prawo i lewo, ginął

zupełnie, nagle znaleźli się przy nim.

Wychodził z otworu tuż przy ziemi, a była nad nim usypana ziemia, z wierzchu dymiło. Była to tak zwana ziemianka. Wewnątrz było cicho, żaden głos nie dochodził, tylko trzaskanie ognia.

Drzwi, wkopane w ziemię, były zamknięte.

Wszyscy czterej stali tamując oddech. Urzędnika trochę lęk oblatywał, wiedział, że ludzie, co pędzą tajemnie wódkę, wiedzą, co ich czeka w razie złapania, i drogo sprzedają swobodę. Nie mógł sobie darować, że nie wziął policji.

Chłopi stali spokojnie, węsząc z lubością zapach spirytusu, Kasjan, patrząc na drzwi, pewny, że mocno zaryglowane, trącił niemego pokazując na migi siekierę. Karzeł wydobył ją zza pasa, podał, sam wyjął z kieszeni odłamek kosy, w drewno oprawny, pod okienko się przysunął i na ziemi przykucnął. Naum miał w ręku tylko pas.

— No, czego czekać! — szepnął Kasjan.

— Wołaj, niech otworzą! — odparł urzędnik cofając się za jego potężne plecy.

— Aha, uczyńcie łaskę, otwórzcie! — warknął zbój. — Ot, jak poproszę.

Przysunął się do drzwi, spojrział i w spojenie desek z ogromnym zamachem spuścił topór.

Łoskot sprawił wrażenie gromu. Wewnątrz zakotłowało, ktoś się rzucił do okienka, drugi ktoś do drzwi, a wtem Kasjan zamachnął ramieniem, ruszone deski pocisnął, wwałił się do wnętrza.

Błysło, rozległ się strzał, potem przekleństwo i dwa ciała zwały się z sobą, potoczyły na ziemię, dławiąc, szarpiąc, kopiając. Urzędnik upadł na nie, zerwał się, wpadł do izby, ujrzał w okienku tylko nogę, chwycił za nią, w garści but mu został, krzyknął tedy: „Trzymaj!” A nie widząc więcej nikogo, zawrócił do wyjścia. A wtem jeden z pasujących się wyrwał się przeciwnikowi, potrącił go, był już na swobodzie.

— Derży! — ryknął Kasjan, oślepiiony, ogłuszony uderzeniem w głowę, chwiejąc się na nogach.

W ciemności na zewnątrz słychać było dyszące oddechy pod oknem, dalej rozległ się ryk w gąszczu i cisza.

Urzędnik pospieszył pod okno. Ale tam było już wszystko skończone. Na plecach leżącego Żyda siedział konno Naum i krępował go swym pasem. Żyd zemdlony był.

Kasjan przyskoczył — spojrzał.

— A starosta gdzie? Uciekł? — wrzasnął, wściekły bólem i mściwością, i rzucił się w pogoń.

Ale mu krew zalewała oczy, nogi drżały, w głowie kołowało, czuł, że nie dogoni ani zatrzyma.

— Wódki! — pomyślał i wpadł do chaty, porwał stojącą na ziemi baryłkę, odszpuntował, wypił, aż mu ogień poszedł po czole.

— Pijanice! Łapcie tamtego — wrzasnął akcyźnik.

Ale chłopci pogłuchli. Pili, śmieli się.

— A co, panie, mój gościniec! — zawołał Kasjan lejąc na rozbity łeb spirytusu, myjąc nim zakrwawione ręce. — Zaraz i drugiego panu dostawimy. Aha, a gdzie niemy?

— Braciszka pilnuje! — roześmiał się Naum.

I zaczął śpiewać, potem tańczyć, wreszcie zwałił się na ziemię i zasnął.

Kasjan bardziej był do wódki nawykły. Jeszcze się trzymał na nogach, jeszcze coś bełkotał, jeszcze niby wyszedł na poszukiwanie zbiega, ale ledwie odszedł parę kroków, ogarnęło go powietrze, wyciągnął się na ziemi i rzekł:

— Człowiek nie maszyna. Wiosłował, gościniec panu dał, noc się przemordował. Będę spać, swoją rzecz zrobiłem!

Urzędnik został sam.

Słońce weszło — oświetliło całą kryjówkę. Żyd skrępowany nie dawał znaku życia, obaj socjusze



mogli też śmiało za trupy uchodzić.

Urządник obejrzał fabrykę; spirytus pędzono z mąki, której worów było pełno w ziemiance, urządzenie było pierwotne, ale mogło wydać parę wiader na dobę. Jednakże oprócz baryłki, z której się chłopci uraczyli, i tego, który pędzono w chwili wejścia, nigdzie zapasu nie było.

Należało teraz spisać protokół, ale ku temu nie wiedział akcyźnik, ani gdzie jest, ani jak się Żyd nazywa. Należało więźnia dostawić do miasta, ale chłopci pijani spali. Głód, niewczas zaczął

dokuczać, więc urzędnik wypił parę kropel fabrykatu, splunął i owinąwszy się w burkę, zasnął.

Gdy się obudził, słońce stało wysoko. Zerwał się, zaczął budzić Kasjana, wołać, łajać, ale niewiele więcej było skutku, jakby chciał obudzić kłodę drzewa, toż samo było z drugim chłopem. Tedy, znudzony, głodny, zniecierpliwiony, postanowił odszukać kładki — iść sam, szukać ludzkiej pomocy. Ścieżka w gąszczu była widoczna, więc ruszył naprzód, rad, że ma przynajmniej ślad kierunku.

Uszedł kroków kilkanaście, gdy wtem gruntu zabrakło pod nim, zapadł wraz z ziemią i gałęźmi w jakąś studnię, zda się, bez dna. Krzyknął — i w tej chwili zrozumiał, dlaczego niemy kołował w gąszczu: na ścieżkach były urządzone pułapki. Na dnie, w błocie, przyduszony ziemią i drzewem, zaczął wniebogłoso wzywać ratunku.

Kasjan podniósł głowę. Chwilę walczył jeszcze z przepiciem, ziewnął, przeciągnął się i usiadł.

Akcyźnik krzyczał z całych sił, a obok rozległ się zduszony szept Żyda.

— Kasjan, puść mnie. Ile chcesz, dam!

Drab zupełnie oprzytomniał, ale się nie kwapił. Śmiał się, zrozumiał wypadek akcyźnika, bawiło go to niezmiernie.

— Odsiedź moją setkę, wilcze mięso! — burknął złośliwie.

Potem do Żyda się zwrócił:

— Było dawać, jak ja chciałem. Mówiłem, ustąp z młyna, ot, już twoje oczy Czaharów nie zobaczą. Znaj mnie! Ciekawość jednak, gdzie niemy?

Wstał.

Straszny był — z zakrzepłą krwią rany na głowie, z podbitym okiem, ze śladami zębów starosty na policzkach; ból obudził w nim wściekłość i żal, że mu przeciwnik umknął.

— Popadniesz w moje ręce, pójdiesz ty na dno! — mruczał idąc w gąszcz.

Nagle stanął, skamieniał, otworzył usta jak do krzyku i milczał patrząc pod nogi. Na ziemi, zwinięci w dziki jakiś kłęb splątanych członków, leżeli dwaj ludzie: karzeł i starosta. Dwa trupy, wśród zrytej nogami ziemi i kałuży krwi.

Uciekającego musiał niemy schwycić za nogę i obalić, wtedy tamten za gardło go uchwycił, chciał od siebie oderwać — i dostał cios w brzuch, pchnięcie kosa odłamka, wyostrzonego jak brzytwa. Dławiony śmiertelnie karzeł pruć wnętrzności i tak się mordowali, aż śmierć rozprężyła ramiona. Leżeli jeszcze jeden na drugim, starosta przeżył, bo rękami odpychał tamtego — i już nie odepchnął.

Kasjan, oprzytomniawszy, poruszył się, pokręcił głową i zamyślił się.

— Ot, co może gadzina mała zrobić! — szepnął. — Taki robak plugawy. Nu, pogodzili się.

Gdzie ich teraz podziać? Lepiej schować! Lepiej — dodał stanowczo, po namyśle.

Urzędnik w jamie ochrypl, ryczał już, więc Kasjan spiesznie zawlókł trupy w gęstwiny, gałęzmi je nakrył, ślady krwi błotem zarzucił i wrócił do leżącego Żyda. Usiadł obok niego, zapalił papierosa i rzekł:

— Będziesz sobole paść, Moszku, będziesz! Kłaniaj się tam ode mnie Łomace Piotrowi. My z nim hulali, dobry druh był.

— Kasjan, puść mnie. Weź pugilares cały, jest w nim tysiąc rubli.

— Oho, od razu tyle, na co mnie! Jeszcze kto ukradnie. A więcej co u ciebie w pugilaresie jest?

— Weksle.

— A kontrakt na Czahary jest?

— Jest.

— Nu, to ja go sobie wezmę na papier do papierosów! Odwrócił Żyda na wznak, wyjął z kieszeni pugilares, otworzył, począł przeglądać.

— Czytać mnie w ostrogu nauczyli. Nie bój się, nie prosty ja muzyk. Ot, to jest.

— Kasjan, puść!

— A jak puszcze, to co?

— Ja ci powiem, gdzie spirytus schowany. Dużo jest.

— Eee, nie łzesz? A jak puszcze, co ci dobrego? Złapią znowu.

— Już mnie nikt nie złapie. Za granicę pójdę.

— A baba i bachory?

— Oni się tu tak schowają, że ich nikt nie znajdzie.

— Zadatki ty już pobrał za łaki? Ile?

— Sto rubli.

— To je zabiorę!

Odliczył z pieniędzy setkę. Popatrzył na resztę, zawahał się — i zaklął.

— Czort z tobą. Trzymaj sobie. No, i słuchaj. Ja ciebie puszczę, ale żebyś zginął z całym rodem twoim, żeby po tobie znaku i pamięci nie zostało na wieki wieków. Rozumiesz, do jutrzejszego zachodu słońca: ni baby, ni bachorów, ni śmiecia po tobie nie zostało w Czaharach.

— Czy ty zdurzał? Albo ja głupi siedzieć?

— Semko związany w ziemiance leży. On ciebie nie zatai, tobie nie czekać ani oglądać się.

Nu, pamiętaj, co ci każe, i idź szukać szubienicy! A spiesz się, bo po policję posłali niemego.

Szarpnął pas, zerwał 30.

— Mnie by takim utrzymali! — rzucił z pogardą.

Żyd zerwał się, dał jeden krok w gąszcze i przepadł. Kasjan poczekał jeszcze chwilę, schował pieniądze i papier i nagle za głowę się złapał.

— Ot, i nie powiedział, gdzie wódka schowana. Aj, jaki ja durny!

Ale że Żyd był już daleko, więc praktyczny Kasjan o pościgu nie myślał, spojrzął na słońce, położył się na ziemi i usnął czy udawał sen. Ocuciło go uderzenie kija po plecach. Nad nim stał

urzędnik, od stóp do głowy umorusany ziemią i błotem, podrapany, w podartej odzieży i blady ze wściekłości.

— Gdzie Żyd, pijanico, hyclu!

— Żyd? Toć leży związany!

— Gdzie? Uciekł. Ja was, gałgany, zapakuję w aresztanckie roty, pognijecie w turmie!

Kasjan się obejrzał, słońce stało nisko, mgły się podnosiły.

— Uciekł, oj, to źle, panie. Ja spał, ale że pan nie dopilnował, było jak psu w łeb strzelić.

Teraz my stąd uciekajmy, panie, obadwa uciekli, naprowadzą na nas szajkę. Oni tu nas żywych nie wypuszczą. Oj, źle!

— No, to się rusz. Aparat musimy zabrać. A oni kto, znasz ich?

— Jakżebym nie znał. Żyd, to Josiel z Pomian, a ten drugi, to Cygan, Marko ze Szczeppek.

— A my gdzie! Czyje to błota?

— Rządowe, od Szczepka, to ten klin, co do Owrucza idzie, wie pan! Aj, że też pan Żyda wypuścił, dawno uciekł?

— Czarł go wie. Marsz, rozbierajcie aparat i wracajmy, będziecie gadać przy protokóle w mieście, łajdaki, pijanice!

Kasjan nagle spokorniał, ucichł, obudził Nauma i zaczęli obydwu bardzo pilnie rozbijać rury aparatu, wynosić na zewnątrz budy, byli jakby zawstydzeni, zastraszeni odpowiedzialnością, słuchali pokornie komendy, grózb i wymysłów. Na rozkaz zagwoździli drzwi i okienko ziemianki, urzędnik je opieczętował, przyglądali się temu uroczystemu aktowi ze skupieniem, potem obładowali się zdobytymi rurami i baryłką spirytusu.

Kasjan szedł naprzód, Naum pochód zamykał, mrok gęstniał, urzędnik napędzał do pośpiechu, o nic już nie pytał odkładając śledztwo na potem, by co najrychlej wydostać się do ludzi. Zdało mu się, że kołują wśród tych kęp znacznie dłużej, ale przecież dotarli do wody, znaleźli czółno.

Ale i noc już była znowu głucha, niemożliwe zapamiętanie miejscowości, kierunku.

W czółnie wróciła mu też otucha i nadzieja, że dobrną do miasta. Położył się na szuwarze, ale nim zasnął, spytał jeszcze Nauma, żeby być pewnym, że Kasjan nie kłamał.

— To rządowe błota, Szczepki?

— Ale, tak! — odparł chłop.

— A ty ze Szczepka?

— Ale, tak.

— A jakże twoje imię i nazwisko?

— Moje? Ja Iwan.

— A nazwisko? Jak cię piszą?

— Piszą Czetyrbok.

— A Żyda znasz?

— Oj oj. Jaż jego związał.

— Ale kto on, wiesz?

— Ot, Josiela z Pomian by nie znał! — zaśmiał się Kasjan. — My jego panu jutro dostawimy.

— Nu, pamiętajcie, bo inaczej źle będzie z wami. A ruszajcie żwawo!

— Duchem zalecim. Wiemy, że pilno. Urzędnik, zmęczony, ułożył się wygodnie i zasnął.

Chłopi parli łódź co sił, nie mówili do siebie nic prawie, raz tylko Naum spytał:

— Może już?

— Nie, jak zaświeci w mieście, na wygonie — odparł Kasjan.

Z głębokiego snu zbudził nagle urzędnika krzyk. Zerwał się, poczuł, że leży w wodzie.

— Co to? — wrzasnął.

— Na pal czołno wpadło. Tonie. Do brzegu, Iwan, tu głębie! Do brzegu! Niech pan chwyta za łożę. Po nas!

Urzędnik poczuł gałęzie, chwycił za nie konwulsyjnie, wpadł do wody, ale się utrzymał, wygramolił się na brzeg. Zdało mu się, że słyszał krzyk, pluśnięcie, bicie rąk o wodę, a potem nic, ani ludzi, ani czołna — nurt tylko bił o brzeg, a ciemność wszystko kryła. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdował, bał się poruszyć, więc się skulił i dzwoniąc zębami z przerażenia i zimna, czekał pomocy i ratunku.

Na rzece było pusto, ale po pewnym czasie zaczęło bieleć niebo na wschodzie i urzędnik ujrzał na prawo, blisko, szare masy domostw, poznał, że był o kilkaset kroków od miasta, zerwał

się i poszedł żegnając się, jak po przebyciu zmory, czując, że to cud, że żyje. Był pewny, że chłopi potonęli, w tym miejscu głębina była okrutna, prąd wartki, do drugiego brzegu daleko. W

odzieniu nie mogli daleko płynąć. Co prawda, nie bardzo mu już o nich chodziło. Jutro ruszy z policją do Szczepiek, odnajdzie miejsce, puści pogoń za Żydem i Cyganem, w razie ich ucieczki zaaresztuje ich mienie. Tymczasem spocząć, przebrać się, jeść i spać. Nie czuł członków, tak był

złamany i potłuczony.

Gdy odszedł już kilka kroków spod krzaku łoży, dzięki któremu się uratował, wyciągnęła się z wody cała głowa i barki Kasjana. Obok wynurzył się Naum. Czepiając się krzaków, posunęli się dalej brzegiem, wlokąc za sobą sznur, aż gdy przebyli głębinię i zgruntowali, poczuli sznur na ląd ciągnąć, aż się z wody wynurzyło czołno. Puste było, nurt wypłukał rury, szuwary, wszystko, tylko wiosła się ciągnęły za nim, łykiem do brzegu umocowane. Natężywszy sił chłopi wyciągnęli czołno na ląd, kołkiem zabili otwór w dnie, spuścili na powrót na wodę, chwycili wiosła, usiedli i pod osłoną zwieszających się krzaków pomknęli nie oglądając się za siebie, myśląc o jednym, by zanim słońce wejdzie, zaszyć się w jedną z tysięcznych tajni, tam czołno schować w szuwary, samym się ukryć w krzakach i przeleżeć do zmroku. O zmroku już nie dbali o nic i o nikogo.

— Udało się — rzekł Naum.

— Nie całkiem... Żyd nie wygadał, gdzie wódka schowana.

— Wódka? Byle ich nie było, już my ją znajdziemy. Chyba po nią przyjadą i wykradną nam.

— Nie bój się, nie przyjadą oni.

— Żyd nie, ale starosta. Aj, że ty jego puścił!

— Nie przyjdzie i on. Spokojny ja o to. Skręcaj wprość! Oj, leżeć mi się chce. Krzepko się zmachali. Niechże nas teraz szukają.

I zaśmiał się z triumfem.

Zośka tymczasem napisała do Stefy, a że pieniędzy nie miała na drogę, poniosła wieczorem do złotnika parę klejnotów, co miała po matce, i sprzedała je za pół ceny.

Tegoż wieczora odbywały się u Bajkowskiej uroczyste zaręczyny Emilki, z muzyką, winem i tańcami, dom cały był oświetlony, bawiono się hałaśliwie. Nie chcąc przechodzić wśród hulającego grona, weszła od podwórza i pod parkanem spotkała Kasjana, który jakby na nią czatował.

— Czemu to panienka do Czaharów nie jedzie? — rzekł. — Toć tam flisaki wszystko rozniosą.

— Dlaczego? A gdzież Moszko?

— Nie ma ani żywego ducha w chacie ani we młynie. Ja tam przypadkiem wstąpił — pustki!

Młynarz, szelma, młyn okradł, a że woda groblę zniosła i młyn zerwało, więc uciekł. To ja sydorców zwołał, kazał młyn łapać, a sam tu po panienkę skoczył. Niech panienka zabierze się stąd całkiem i jedzie tam zaraz. Czółno czeka, ja rzeczy zaniosę. Trzeba się do roboty brać. Toć wiosna!

— Co ty pleciesz?

— Zobaczy panienka sama. Co będziem gadać? Zbierajmy się. Świtaniem już tam będziemy.

— To wstąp po rzeczy — rzekła nie chcąc wierzyć jeszcze, a już pełna radości i otuchy.

Wszedł za nią na salkę, zaczęła się pakować, on pomagał i opowiadał:

— Ja tam nawet już kazał chatę po Żydach oczyścić. Dobry naród te sydorce. Jak krzyknąłem rano: „Nasz młyn uciekł”, to kto żył, poleciał szukać, a ja w czółno zabrał kilka bab i Nauma i do chaty zawiózł, żeby żydowskie śmieci wymietli. Taki tam rejwach i ochota się wzięła, że ha!

Kogóż panienka tam za komisarza postawi?

— A ty nie pomożesz mnie? Zaśmiał się tylko.

— A jak ja panienkę okradnę? Komisarze zawsze kradną. Zakon ich taki.

— A na cóż ci kraść, kiedy przed tobą nic zamykać nie będę. Jak weźmiesz, to nie ukradniesz, a już by co warte były Czahary, żeby nie wystarczyły na moją wygodę i twoje potrzeby.

— To my, i panienka i ja, durne by byli — zdecydował biorąc na plecy jej kuferek i pościel.

— To i wszystko. Chodźmy! Idź naprzód; gdzie czółno? Muszę jeszcze się pożegnać.

— Czółno nie w przystani, a tu wprost, pod mostem, koło zbożowego kramu. Wie panienka?

— Wiem, trafię. Za chwilę będę.

Poszedł; ona wywołała Bajkowską, podziękowała za gościnę. Stara była tak uroczystością zajęta, że nawet nie spytała, gdzie wyjeżdża. Myślała, że na kolej, i Zośka, jak ptak wypuszczony z klatki, poleciała do rzeki.

Odjazd odbył się bez świadków. Gdy się lokowała w czółnie, zauważyła, że zapchane było różnymi gratami.

— Coś ty tu tyle naładował? — spytała.

— Toć tam tylko kot został i śmiecie. Sydorce mi dali zadatki na łąki, żeby panience oddać, tom kupić trochę czerepów na gospodarstwo. Nawet samowar dostał za rubla.

— Pewnie kradziony!

— Co mnie do tego? Ja rubla zapłacił. A jak on kradziony, to co? Czemu go nie pilnowali? U nas nie kradną.

— Sam przyjechałeś?

— A sam. Jest drugie wiosło. Myślał, panience pewnie za robotą nudno, a nie senliwa, to pomoże.

— Oj, dobrze. Ile zmożę, to będę wiosłować.

— Nieprędko już panienska miasto zobaczy.

— Bodaj nigdy, tak mi zbrzydło. Odbili.

Stała na przodzie, nawykła do tego ruchu, wiosłowała równo, bez wysiłku. Noc była ciepła i cicha, rozbrzmiewała chórem błotnego ptactwa, rzeźwy chłód szedł od wody. Zośce śpiewać się chciało z uciechy.

— Ale cóż się z Moszkiem stało?

— Gadają, że okradł kantorkę na pasach zeszłego jeszcze lata i że zaczęła policja coś przewąchiwać. W Filipowie jakieś rzeczy poznali czy co? Musiał Żyd strusie i przyczaił się. Ale to i starosta Semko gdzieś przepadł, może się utopił, bo go ostatni raz widzieli na rzece, do swego hatu płynął i już nie wrócił. Ten jego hat to trzeba Naumowi dać, służyć nam będzie lepiej jak starosta. Teraz i z tą rybą inszy ład trzeba zrobić.

— A jakże dotąd było?

— Moszko zabierał. Kto co złowił, musiał mu sprzedać po dziesiątce za funt. On do Filipowa dostawiał.

— Lepiej niech sami sprzedają, a nam za prawo połowu robociznę do folwarku dadzą.



— Oni tak i chcą. Podziękują panience. Już wczoraj pytali, czy zajechać z sochami na ług, bo pora siać — woda spadła — obeschło.

— Ale to my i nasienia nie mamy! A góry przy folwarku obsiał Moszko?

— Coś trochę kartofli rzucił. Nasienie trzeba jakoś wykręcić. Już ja pomyślę. A pieniędzy to panienska nic nie ma?

— Mam sześćdziesiąt rubli.

— A te sto, com od sydorców wziął na łąki, to i szmat mamy.

— Ale ja myślę pobudować sobie chałupę nie przy młynie tam — pamiętasz — stare młynisko. Tam bym sobie osadę założyła.

— Pamiętam — i bez Nauma już trafię. Tam lubo.

— Więc nam wiele pieniędzy trzeba? Nasienie, drzewo, statki przeróżne, parę krów, no, i żyć trzeba.

— Ot, żadna bieda. Żeby tak na mnie, tobym i bez grosza to wszystko dostał.

— Wierzę — roześmiała się. — Ale żeś teraz mój komisarz, to musisz płacić.

— Pański honor, to drogo kosztuje, co z niego!

— Trudno, musi ktoś na świecie nie kraść, żeby jego można było okradać.

— Ot, znaku by nie było w Szafrance, żeby my stamtąd wzięli trochę sosen na dom. Graf grafem by był jednaki.

— Pewnie, ale ja bym już nie była jednaka. Kupimy z pasów drzewa, nie będzie dosyć teraz, to skończymy na przyszły rok. Teraz pierwsze — młyn do porządku doprowadzić, żeby dochód z mąki mieć, ługi obsiać, krów kupić parę. No, a cóż, Kasjanie, o Likcie nic nie mówisz?

— Co o takiej bestii mówić! — mruknął. Snadź się niczym pochwalić nie mógł.

— Myślałam, że żenić się z nią będziesz?

— Żenić się? Jedną babę na całe życie mieć? A żeby ona kufą spirytusu była, toby mi obrzydło ciągle ten sam pić i ciągle na nią patrzeć. Jeszcze taka harmata! Jakby ją przewozić, toby towarowy wagon pod nią najmować trzeba. A gdzie ja ją osadzę, jakbym się ożenił, stodoły na nią trzeba, nie chaty.

— A tak ci się podobała!

— No, jużci, że zdechnie ona prędze. Jak ją kto weźmie, choćby nie wiedzieć jaki bogacz był.

Szelma, suka, powiada mi: „Co ty mnie, ty nie gospodarz, gdzie twoja rola, gdzie twoja chata i

chudoba? Ty sobie szukaj wołokity jak ty sam!” A ja jej powiadam: „Zobaczysz i ty swoje ucho prędeż, jak ja ci dam iść za kogo”. Oj, co ona mi za to dała, dała, a kułaki, to ma jak pracze. Nie babska moc i ryzyko. Jak zaczęła walić, to Naumowa od rzeki przyleciała, myślała, że to ja łomocę. Aj, co śmiechu było! — No i co będzie?

— A co? Swaty do niej nie przyjdą. Ja zapowiedział, nikt się nie ośmieli.

— No, Kasjan, a jeśli ona ciebie nie chce?

— Prosić to baby będę? Pokręci się, pokręci i sama przyjdzie. Takie uparte i hambitne to potem najlepsze do roboty — jak byki.

— Oj, Kasjan, żebyś to ty takim bykiem nie był. Żeby ona tobą nie orała!

— A niedoczekanie! — zaklął zbój i wyrwała mu się cała mściwość i wściekłość porażki, a zarazem cała moc żądy. — Ja jej do czasu narowić się daję, w rękę moim ona, ino jeszcze nie duszę. Czyżby ja jej bić siebie dał — ot, dla komedii pozwalam. A jakby się ośmieliła drugiego hołubić albo się z kim zadawać, toć ostateczna jej wtedy godzina. A moja ona będzie po woli czy po niewoli.

— Słuchaj, więc się żeń z nią. Daj sobie pokój z włóczęgą, usatkuje się. Będziecie sobie żyli w Czaharach i wieku dożyjecie. Co tobie za chwalba dręczyć dziewczynę — ona—ć zawsze słabsza od ciebie.

— Aha, kiedy ona mnie nie chce! W oczy pluje, że cierpieć nie może. A już mam ustąpić, a za nic! Ubiję, a mieć muszę!

Przestała nalegać ani chciała przekonywać szaleńca, on też jakby się zawstydził wybuchu, milczał długą chwilę. Ptactwo grało majową pieśń, myśl Zośki poszła daleko do brata, ukochanego Waclawa.

— Rządcę z Ługów znasz? — spytała Zośka.

— Toć mój swat i druh, Miron Szczerba.

— A komużeście to razem dokuczali?

— Ot, potem kiedyś powiem, jak on mnie słuchać nie zechce, bo kiedy ja teraz panienki komisarz, to on pode mną. Słyszałem w Czaharach onegdaj, że on z paniczem Lolkiem jakąś okazję miał — o jakieś konie.

— Zaraz jutro sprowadzisz mi go do raportu.

— Ciekawość, czy sydorce już nasz młyn złowili?

— Daleko jeszcze mamy?

— Zmęczyła się panienka. Jeszcze godzin parę jazdy, proszę zasnąć. Mnie głupstwo samemu

dopchać.

— To zasnę! — rzekła odkładając wiosło.

Ale sen nie przychodził. Nawał myśli nie dawał spokoju — do brata one szły, krążyły, szukały dla tego rozbitka odrodzenia.

Parę lat różnicy wieku było między nimi, najmłodszą z rodziny, on ją najbardziej lubił, najpodobniejsi byli ze sobą rysami twarzy i charakterem. Oboje — wiedzy żądni i swobody, duchy buntownicze i niesforne. On przechodził prawo w Warszawie, ona gimnazjum, mieszkali oboje u jakiejś dalekiej krewnej, żyli się ze sobą, było między nimi jakby koleżeństwo. On wcześniej nauki skończył, do domu wracać nie chciał, dostał posadę przy sądzie w gubernialnym mieście, wtedy dopiero rozeszli się, stracili siebie z oczu. Gdy Zośka z domu uciekła, od niego dostała na drogę pieniędzy i pomoc w przebyciu granicy; gdy ją bracia Karol i Lucjan, jak zbiegłego rekruta, odstawili do domu, od niego jednego miała słowo współczucia, ale nie widywali się ani pisywać mogli, bo ojciec cenzurował jej korespondencję. W drugim roku jej niewoli stał się skandal z weksłami. Ojciec otrzymał pozew, Żyd jakiś weksel jego do sądu podał, stary Janicki do miasta pojechał, dowiedział się, że weksle od syna jego pochodziły, przez drugie już ręce Żyd je dostał.

Stary weksle wykupił, Waclawa wezwał do siebie. Waclaw zrazu zaprzeczył, na widok weksli osłupiał, gdy postyszał, że je Żyd dostał od niejakiego Bronikowskiego, do winy się przyznał.

Spoliczkowany, wyklęty przez ojca, ani się nie korzył, ani tłumaczył, odszedł z domu i przepadł. Przed wyjazdem na Zośki błaganie obiecał, że jej da znać, jeśli żyć będzie, gdzie się znajduje. Umówili się, że uczyni to za pośrednictwem anonsu w gazecie, dla niej tylko zrozumiałego. Szukała i czekała rok na próżno, nareszcie znalazła adres. Na Kaukazie był, pracował jako wyrobnik. Odtąd pisywała do niego i tej zimy po śmierci ojca spotkali się po pięciu latach w tym samym gubernialnym mieście, gdzie on ongi pracował. Miała go dotąd w pamięci i ścisnęło się jej serce żalem na to — jego oczy zagaste i smutne, jego głos bezdźwięczny, zupełna apatia, a nade wszystko jego uśmiech gorzki i ironiczny, gdy go swą młodością, zapałem otrząsnąć chciała, namówić do życia. Chciała pełnomocnictwa, dał jej, słuchał obojętnie o śmierci ojca, o braciach, o Bronce, słuchał obojętnie i jej planów, i zamiarów.

— Mnie nie trzeba — rzekł, gdy pytała, co robić z dochodem z Ługów. — Użyj ich, na co chcesz, sobie weź, komu daj. Tylko te pięć tysięcy rubli oddaj rodzeństwu — pierwsze, co zbierzesz, niech się podzielą nimi, a potem o nic mi nie chodzi. Mam dość dla siebie.

Chciała rany tknąć, nie śmiała, ale przecie nie straciła nadziei, że on wróci — żyć musi.

Biegły myśli i łódź biegła. Słońce wschodziło, gdy Kasjan się odezwał:

— Panienko, zuchy sydorcy, już złapali młyn.

Zerwała się. Czaharskie wzgórze bieląło, zorzą ozłoczone, i roił się na nim tłum chłopów wokoło czarnej masy młyna. Panował gorączkowy ruch i głośnie rozhowy.

Chłopstwo, ociekające wodą, brudne, zmęczone, było jednak uradowane z dzieła. Rozpalili już ognie, radzili nad naprawą grobli, a na widok przybywającej dziedziczki poczęli się śmiać i hukać z uciechy. W mig znalazła się wśród nich, znieśli rzeczy, rozgościła się w opuszczonej chacie, którą Naum z grubszego oczyścił, a szczególnie, wedle chłopskiego pojęcia o wygodzie i dostatku, opalił tak, że upał panował nie do wytrzymania. Okien zaś nikt nie myślał otworzyć, zresztą nie posiadały nawet zawias, bo wentylacji i Moszko nie uznawał. Chłopi patrzyli ze zgrozą, jak na jej rozkaz Naum wyjął wszystkie okna i wypuścił „takie” ciepło, a baby ze zdumieniem usłyszały, że „jeszcze” jest brudno. Zaczęło się dopiero gruntowne szorowanie i skrobanie, które zajęło cały dzień. Ale Zośka jeszcze nie odważyła się nocować i wołała kazać sobie posłać w pustej obórce.

Przez ten czas chłopci jak mrówki wzięli się do narządzania grobli. Dziesiątki łodzi zwoziły łożę, setki rąk biło pale, zносиło darninę, piasek, borykało się z nurtem. W młynie została pustka; bat, na którym stał, przeciekał, sprawniejsi cieśle i majstry wzięli się do tej roboty; stukwały siekiery, komenderował nowo zgodzony młynarz, stary Sachar, a wszyscy zwijali się ochoczo i wesoło, jakby honorem całych Sydorów był ten „nasz młyn”. Wieczorem Kasjan, nie wiadomo skąd, dostał wódki, chłopci się rozłożyli koczowniczo na nocleg, zapłonęły ogniska i Zośka długo zasnąć nie mogła, taki gwar i wesołość ogarnęła zwykle milczących i sennych Poleszuków.

Nazajutrz robota poczęła się od świtu, ale wśród chłopów nie było już Kasjana. Spytała o niego, odpowiedziano: „Nie widzieli”, a gdy badała, gdzie się mógł podziać, Naum rzekł jej szeptem:

— Poprzysięglimy mówić „nie widzieli” i panienska niech to samo mówi, on tak przykazał.

Poszedł, a my „nie widzieli”. Musi, tak trzeba, on chytry. Kazał Mirpna z Ługów do panienki zwołać, pobiegł już chłopiec na kładki po owego, a my tu wiemy, co robić. Kasjana my nie widzieli, znać, nie znamy.

Pokręciła głową, ale że miała moc rzeczy do roboty i obmyślenia, więc nie rozwiązywała zagadki.

O południu zjawił się wielkorządca z Ługów. Ten się nosił z waszecia, żołnierską miał

postawę i ruchy, spryt i dworską ogładę na twarzy. W progu się jak struna wyprężył, w oczy patrzył, rozkazu czekał, sługa to był urobiony przez starego Janickiego, który despotą był, dużo wymagał, ostro trzymał, ale hojny był w nagrodzie — nieubłagany w karze. Miron służył w Ługach już piętnaście lat, co było dowodem, że umiał i znał służbę.

— Zawołałam cię, Mironie, żeby oznajmić, że Ługi należą teraz do panicza Waclawa, wraz ze wszystkim, co się w nich znajduje, i że panicz Waclaw pod mój nadzór i rząd je oddał, więc do mnie się masz we wszelkiej sprawie odnosić i mnie słuchać.

— Tak jest! Rozumiem! — odpowiedział w ukłonie.

— Zdaj ze mi raport z siewów i stanu inwentarza.

— Zasiano owies cały, sto morgów, ług dotąd pod wodą, kartofli sadzone pięćdziesiąt morgów. Bydła mam pięćdziesiąt siedm sztuk, same byki, koni w stadzie sześćdziesiąt ośm, na stajni pięć

ogierów. Żrebiąt tegorocznych osiemnaście.

— W spichlerzu masz co na sprzedaż?

— Trochę owsa, cały jęczmień.

— Nie zabrali do gorzelni?

— Chcieli, ale nie miałem przykazu od starego pana, bo umarł i nie kazał, kogo słuchać.

— Wieceś nic nie dał? Nie ciągal cię, nie wypędzili?

— Chcieli. Na sąd podali, ale potem do sędziego ja sam się tylko stawił. Powiedział swoje, od nich nikogo nie było, praw wróciłem.

— A kartofliś sprzedał resztę?

— Tak jest, sprzedałem do Łasicka, jeszcze za twardej drogi przez błota dostawił. Pieniądzy nie brałem, kwit mam na czterysta rubli.

— Pieniądzy ci nie trzeba?

— Nie. Najem ja raz w rok na Pokrowę obliczam.

— Masz ci tu na kwicie adnotację, odbierz w łasickiej kasie należność za kartofle i sprzedaj jęczmień. Pieniądze mi przyniesiesz, pojutrze będę w Ługach, pokażesz mi, co jest i co zrobiono.

Konie zapewne są na sprzedaż?

— Tak jest, piętnaście.

— Ocenimy je, postarasz się być także.

— Pan Karol był onegdaj, chciał cztery wziąć.

— Nie dałeś?

— Już mi graf łasicki przykazał tamtej niedzieli na promie, że Ługi w panienki ręku teraz.

Powiedziałem paniczowi, żeby od panienki kartkę wziął. Stał łajac, potem w zęby dał, więcej nic.

Koni taki nie wziął.

— Nie miał prawa, jesteście podzieleni.

— Panienka może przykaże sobie tu posłużyć?

— Jak będzie trzeba, to cię wezwę. Możesz wracać do domu teraz.

Miron w pas się uklonił i wyszedł wprost do chłopów po wieści i nowiny. Nie rozumiał, jakim cudem Moszko tak prędko ustąpił i gdzie się podział, ale i sydorce tego nie wiedzieli albo nie chcieli wiedzieć. Dowiedział się też, że Semki starosty od kilku dni nie ma, że go syn szukał, ale nigdzie nie znalazł, utopił się pewnie przy hacie, woda kiedyś wyrzuci. O Kasjanie naturalnie mowy nie było, bo jeśli go Miron i znał, nierad był wspominać.

Kasjan zaś tymczasem był już w Woronem i wkwaterował się do brata opowiadając, że na flisach był, febry dostał i wyleżeć się musi. Nie bardzo w febrę wierzono, bo miał po twarzy szramy i sińce, więc przeczuwano jakąś tęgą bitwę, ale — go nikt nie śmiał pytać, a że go się lękano jak ognia, więc karmiono, pojono, byle nie obrazić, byle ich nie pozabijał. On się zaś na pierzynie bratowej w komorze wylegiwał, spał, jadł, pił, znowu spał, jak wilk, co umknął

oblawie, postrzelony, rany liże, zmęczenie przesypia.

Trwało tak parę tygodni, już się pogoził, odpasł, już go korciło na swobodę, już zaczął zbytki po wsi, gdy pewnego dnia zajechał pod chatę uradnik i kazał mu z sobą jechać. Kasjan się zaśmiał po swojemu, drapieźnie, ale wnet ułożył minę zbiedzoną, zgarbił się i stękając, opowiedział, jak jest chory, że od miesiąca już w chacie leży.

— Miesiąc on tu u was, nie łże? — spytał policjant brata.

— Może i więcej. Szmat czasu choruje. Z flisów ledwie żywy przyszedł.

— Nu, zobaczym. Siadaj!

— A gdzie pojedziem?

— A gdzież by ciebie wozić? Do turmy!

— Oho! Ja pewny, że nie! Czyby ja tu siedział, żeby ja wiedział na siebie turmę? Nie taki ja durny wam w ręce leżeć!

I śmiejąc się na wóz siadł, i śpiewając pojechał.

Dostawiono go wprost w mieście do zarządu akcyzy. Na jego widok jeden z urzędników zza stołu wypadł, do niego przyskoczył i rzekł:

— A jesteś, gałganie! Teraz ja ci kiszki wymotam. Gdzieś się schował, wisielcze, łajdaku!

Kasjan spojrzał po wszystkich obecnych.

— Ja doma był, wasza wielmożność. Czego ja miał się chować? Czego wy ode mnie chcecie!

— Gdzie tajna gorzelnia? W Szczepkach, łotrze! Wyśpiewasz ty mi prawdę, kiedy cię mam w rękach. Zaraz gadaj i prowadź albo oddam sprawę sędziemu śledczemu, a ty marsz — do ostrogu!

— Jaka tajna gorzelnia? Ja o żadnej nie wiem.

— Dobrze, dobrze. Nie widziałeś mnie, nie wzięłeś 25 rubli?

— Ja waszej wielmożności w oczy nie widział od przeszłego roku, jak to studnię w Woronem kopał, a pański koń ponosił, to ja go złapał i pan mi dał złotówkę.

— Dobrze, dobrze. Nie byłeś u mnie wieczorem, temu cztery tygodnie? Cała bieda, że cię prócz mnie i kucharka widziała. Więc się zapierasz?

— Co się mam zapierać? Za mnie stu ludzi z Woronnego zaświadczy, że się stamtąd nie ruszałem już sześć tygodni. Jam chorzał, febry dostałem na flisach. Ja postawię świadków i na flisach, gdzie byłem i kiedy. Ja pana nigdzie nie widział. Hospody, to może kto inny za mnie się podał

albo pan uporem mojej zguby chce. Żebym z tego miejsca się nie ruszył, żeby mi ręce i nogi pokręciło, jeśli ja wiem, czego pan chce od mojej niewinnej duszy. Tajna gorzelnia, ja i nie słyszałem o żadnej, nie tylko do niej wodził.

— I Josiela z Pomian nie znasz ani Cygana, to prawda, bo ich na świecie nie ma! — szydził urzędnik.

— Tego ja nie wiem, może takie są, ja w Pomianach z rodu nie byłem.

— A twego kompana, Czetyrboka, też nie znasz?

— Czetyrboka Wasila? Ja znałem, był leśnik w Peretopie, ale zmarł w wielkim poście. I pan jego widział, tylko może nie pamięta. On do gorzelni naszej w Woronem drwa dostawiał. Taki rudy był, z suchą ręką. A na co on panu potrzebny? Jego syn żyje, młynarzem jest w Wydmuchach. Ale my z nim kompanowali do jednej dziewczki, tylko i to ją trzeci wziął, z Łubieńca gospodarz, jakże mu to, Czmiel, zdaje się, nie pomnę.

Podczas tej całej rozmowy urzędnik z pasji odchodził od zmysłów, a za jego plecami koledzy za stopy aktów i pulpity się kryli dusząc się ze złośliwego śmiechu. Kasjan nie patrzył, a widział

wszystko; twarz jego, zwykle zuchwała i bezczelna, była teraz na pół głupkowata, na pół

obrażona, potem zmieniała się nagle w grymas filuterny. Śmiechy audytorium dodawały mu humoru.

— Proszę waszej wielmożności, to jakaś sztuka ktoś urządził, ktoś kiepsko zrobił ze mną i z panem. Żeby pan, zamiast się złościć, rozpowiedział, jak co było, toby ja może zrozumiał, o co panu chodzi, i ja by tego franta znalazł. To i Czetyrbok w tym był? Jakże to? Ja jego za uszy panu dostawię, jak on śmie czekać, że ja pana gdzieś ci woził, kiedy ja w Woronem, nieszczęsny, chory leżałem. Woził ja pana” prawda, ale dawno, siedm lat temu, do tej wdowy, co to pod Peretopem w folwarku siedziała. Pamięta pan. Co to my nocowali.

Teraz już ktoś zza pulpitu nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Urzędnik też nie wytrzymał i dał Kasjanowi w ucho, a potem go za kark chwycił i wyrzucił go za drzwi, w ręce uradnika.

— Zamknąć do aresztu. Niech czeka na śledztwo.

Dla Kasjana nie było to nic strasznego, areszt znał i dozorców, i regulamin, i wikt, i lokal. Był

też pewny, że ani nudno, ani samotnie mu nie będzie. Jakoż znajomych znalazł, wesołą, przyjacielską paczkę, a że miał pieniądze i sławę, i moc uznaną, powitano go jak figurę znaczną.

Znalazł wyręczycieli do obowiązkowych posług, znalazł posłańców, którzy mu przygotowali świadków, znalazł sposób zdobycia wódki i kielbasy, słuchaczy swych życiowych wypadków, uczniów różnych sztuk, sam się zawsze czegoś nowego nauczył i w tej dobrej kompanii, śpiąc, jedząc, pijąc, spacerując i kształcąc się, czekał śledztwa. Czasami tylko, z boku na bok się przewracając, gdy ze zbytku snu trapiła go bezsenność, stękał i mamrotał.

— Trzymaj mnie, trzymaj, ale jak mi przez ten czas kto moją harmatę tknie, to popamiętasz.

Nareszcie przyszła na niego kolej. Wezwany na śledztwo, od poprzedniego opowiadania na słowo nie odstąpił. Zresztą nie potrzebował. Jego pobyt w Woronem zaświadczyła cała wieś.

Semen, właściciel wieprza, za ukradzenie którego Kasjan pokutę odsiedział, poprzysiągł, że właśnie w ową noc wyprawy do tajnej gorzelnii Kasjan do późna w noc siedział, bo się łądzili i pili na zgodę. Kucharka urzędnika wyparła się, żeby go znała, był jakiś chłop, ale jaki, nie pamięta. Sprowadzony Czetyrbok łatwo też dowiódł, że znajdował się wówczas w młynie. Żyda z Pomian i Cygana ze Szczepek nie dostawiono, bo tacy nie istnieli. Sprawa upadła i pewnego dnia Kasjan, jako nieszczęsna ofiara sądowej pomyłki, wyszedł z ostrogu po pożegnalnym bankiecie lokatorów.

Na świecie był już czerwiec, więc Kasjan przede wszystkim przepił kozuch, bo mu zawadzał, ściągnął zaś z wozu przed szynkiem czyjąś świtkę, ukradł czółno, trochę drobiazgow po kramikach na rynku i przepadł jak kamień w wodę. Nakazał tylko do Woronnego, że ze swojaków rad, a Semen może spać spokojnie.

— Napłoszyli go, pójdzie gdzie indziej, dzięki Bogu — mówili z ulgą woronczanie.

Kasjan zaszył się w tajnie błotne, bo miał jeszcze do uporządkowania sprawę ziemianki. Gdy do niej dotarł, rozgospodarował się. Przede wszystkim zakopał głęboko, bo w dół, w którym siedział urzędnik, zwłoki obu braci, przy czym znalazł przy staroście woreczek z pieniędzmi, całych pięćdziesiąt rubli, które wnet w wierzbową dziuplę schował. Potem pozabierał z ziemianki, jakie znalazł, narzędzia żelazne i także w różnych kryjówkach poumieszczał. Potem, wyteżywszy całą uwagę i spryt, zaczął szukać kryjówki z wódką i szukał jej cały tydzień.

Wreszcie znalazł jeziorko, nad nim wierzbę, rozebrał się, brodził, nurkował, węszył i namacał

w wodzie w pień powbijane haki, na nich łozowe wicie i pętle, zaczął je dobywać i dobył pięć beczulek pełnych — nie ogórków. Uraczył się zawartością jednej tak, że leżał dobę jak martwy, potem i tę zdobycz zakopał w dobrze obmyślanych miejscach.

Dobrze mu tu było. W ziemiance nie brakło mąki i suszonej ryby, beczułki mogły na długo starczyć, ale mu po tygodniu zabrakło tytoniu, soli i Likty, więc pewnego wieczora podpalił



ziemiankę, a gdy zgorzała, resztki częścią piaskiem przysypał, częścią rozniósł daleko i w błoto wdeptał, zatarł, jak umiał, ślady, zostawiając naturze ukończenie tej pracy, i nic z sobą nie biorąc, tylko gliniany bukłaszek spirytusu, poszedł.

Długo po bagnach majaczył, nim swe czółno odnalazł, i oto pewnego dnia znalazł się w Sydorach na odwieczerz, gdy chłopci wracali z sianożęci, i poszedł wprost do Naumowej chaty.

Trafił na scenę małżeńską. Hrypa łajała, że Naum mało kosi, pół dnia na rzece za rybą mitręży, że sąsiedzi już działą pokonczyli, a on swój zgnoi, bo na deszcz się zanosi, że bydło pomorzy zimą, że ona tylko wstyd ma i hańbę z takiego hultaja, że go wreszcie precz wygoni z chaty i z roli.

— Byle nie z komory, zozulko, serdeńko! — zaśmiał się Kasjan, a obejmując ją wpół i odwracając do pieca, dodał: — Jest co dla mnie zjeść?

— Ach, ty świstunie! — rozpogodziła się natychmiast baba. — Wrócił ty, nu, siadaj, zaraz ci co dobrego dam, jajeczniczy z mlekiem.

Naum, który na progu kosę klepał, rzucił wnet robotę i mruknął:

— W porę ty przyszedł. Już chciałem wiedźmę przekłócić kijem, ot, sokocze!

— Nie rusz, rozsypie się jak stary garnek. Nu, co u was słychać?

— Wszystko dobrze. Ługi sławnie porosły, ryba się ieco bierze.

— Zajął ty hat starosty?

— Nie, pobojał się!

— To i dobrze. Widział ty wczoraj ogień?

— Widział. Mówili, że łozy palą na rządowych.

— Bajki, to ona się paliła. Wiesz co?

— Czy może być?

— Ja widział, ja tam był i starostę widział.

— A co? Ja myślał, że on się utopił.

— Bodajże. W dzicz poszedł, tam siedzi i tak nad nami wisieć będzie i pilnować skarbów.

Musi tam duży zapas być, póki nie wywiezie po cichu, to nie ustąpi.

— A potem? Wieś spali.

— Będzie się bał. Potem do Moszki umknie. Zawszeć w oczy jemu leżć nie trzeba —

wściekły pies.

— Kto by tam lażł. A ty jego gdzie widział?

— Myślał schowanie znaleźć, popełznął, aż tu ogień buchnął, przyczał się ja, to on o krok ode mnie poszedł, jakiś pokazuje większy, czarniejszy, oczy świecą! Licho wie czy już wilkołak.

Naum nieznacznie się przeżegnał i splunął.

— A panienska nasza jak gospodaruje?

— Na schwał. Już i ług posiali, i łąki sama rozdała, i we młynie pilnuje, i chorego opatrzy, i sama wszędzie dojedzie, i dopłynie.

— A z rybą jak?

— Dwa grosze drożej płaci jak Moszko, ludzie radzi, bo i waga sprawiedliwa. Każdy, co złowi, oddaje. Zrobili skrzynkę w zatoce, tam ją trzymają do niedzieli, a w niedzielę to we dwie czajki płyniemy do Filipowa, Sachar z mąką, ja z rybą. To ja za to już innego odrobku za łąki nie mam. Nawet baba rada, bo to i ona się wlecze ze mną i na ludzi popatrzy, a co się z Żydem nałaje!

— Oj, dureń! Sprzedałby to beze mnie? Potrafiłby zważyć albo dorachował się szóstaków? —

wyzwierzła się baba. — Sama panienska mi przykazała: „Pomóźcie, Hrypo, mężowi!” Aha, panienska nasza wie, kto rozum ma! Siadajże, Kasjan, jedz!

— Naści, mołodyco, pić za to! — rzekł dając jej bukłaszek. — A Likta moja szanuje się? A wspomina mnie?

— Aha, wczoraj u nas była i powiada: „Gdzieś czart, chwała Bogu, uchwycił Kasjana!”

— Oho, taki wspomniała! — zaśmiał się zadowolony. — Nu, to ty, Hrypo, ją zawołaj.

Powiedz, że ja jej chustkę jedwabną przyniosł i pierścień z czerwonym oczkiem, i jeszcze coś —

na koniec. Niech się nie boi, bić nie będę. Ot, niech przyjdzie, wypije czarę.

— Zaraz pójdę, a ty, Naum, odstaw garnek, jak zakipi, i wieprzowi zanieś ceber.

— Ale, odstawię, zaniosę — zamruczał Naum, gdy wrota za nią skrzypnęły.

Popili wódki, zabrali się do jajecznicy, ale gdy woda zabulgotała, Naum garnek odsunął i potem zaczął czegoś szukać po sieni.

— Gdzie ta czartowska baba ceber podziała? — mruczał.

Kasjan niespokojnie okienkiem wyzierał. Długą chwilę bawiła Hrypa, wreszcie wróciła, ale sama.

— No co? Idzie? — zagadnął.

— Oho, tak się postawiła jak szczuka zębami. „Po co mam iść, na licha mnie jego chustki, pierścienie? Mnie już nie takie dawali. W żarnach miele, nie porzucę! A bić, to i ja potrafię, żaden mi strach. Niech wódkę tu przyśle, to wypiję”.

— Oho, rozumna! Będę jej wódkę posyłać! — zaprotestował Naum. — Przyjdzie bestia i sama.

— Niechby nie przyszła — warknął Kasjan.

Ale przyszła, tylko kazała czekać na siebie godzinę — i przyszła wprost od żaren, ubielona, z zatoczonymi rękawami, niby po rzadkie sito do bratowej. W chacie tymczasem zeszło się paru chłopów i sąsiadów na gawędę. Naturalnie zniknięcie Żyda i starosty było niewyczerpanym tematem, a tyle było przypuszczeń, bajek, plotek, że przechodziło w legendę. Ostatecznie przekonał się Kasjan, że nikt bardzo pilnie, nawet rodzony syn, starosty nie szukał, bo kat był dla rodziny, a tyran dla wsi. Zniknięcie zaś Żyda łączyło się z przybyciem Zośki, więc chłopci byli przekonani, że panienki prawo było lepsze i Żyd ustąpić musiał. Zresztą zmiana była na lepsze, więc wszyscy siedzieli cicho.

Gdy Likta weszła, mówiono właśnie o starostowym jedynaku, że do ojca niepodobny, spokojny, pracowity, cichy.

— Doskonały chłopiec — dodała ona do pochwał — ni lichego słowa, ni kułaka pewnie żoncy nie da.

— Ot, powiedziała — zaśmiał się Kasjan. — Ty myślisz, że to przyjemność: kułaki na babskich gnatach zbijać, to jak kota łupić; każdy by Żydowi tę robotę ustąpił, ale pokaż no taką, której bić nie trzeba? Taka się jeszcze nie urodziła. Językiem jej nie zawojujesz, więc czym?

— Są znachory i na to! — zaśmiał się któryś chłop. — U Prokopa w chacie była taka swarka, że ludzie się zbiegali rozbrajać. Prokop tak babę stłukł, że chodzić nie zdużała, a nic się nie poprawiła. Potem pić zaczął, do Żyda wszystko wynosił. Baba widzi, że źle, poszła do znachora

— ten pyta, jak? co? Wszystko opowiada: „Tak ciebie bez «daj racji» bije?” „Ale, łajac zaczął, potem bije!” „No, a jak on łaje, to ty co?” „A łaję także!” „Aha — powiada znachor — to ja tobie pomogę”. I dał jej wody z trzech krynic — w butelce, co w spodzie miała odbity kant, tamtędy pić trzeba było, i mówi: „Jak twój człowiek łajac zaczął, pijany czy trzeźwy, tak ty tej wody jeden łyk wypij, a drugi w gębie trzymaj, aż on nie ścieknie, a potem za próg wypłuj trzy razy”.

No, i, ot, Prokop przychodzi na drugi dzień do domu z pola i zaczyna łajac, że kartofle dotąd nie obrobione, a tu baba zamiast co rzec, do komory wyszła i wraca, i milczy — łajał, łajał, a potem siadł jeść i uciekł. To, wiecie, jak tę butelkę dopiła, to już i po tłusciała, i śmiać się nauczyła, i Prokop począł w domu nocować — tak się wszystko odmieniło.

— Mądry znachor był! — potwierdzili mężczyźni. — Ale krynice by wyschły, żeby tak każdą ratował.

— Ale już też taki, co baby nie trzyma ostro, to albo hultaj sam, albo ona taki łom, że o nią nie dba!  
— rzekł Kasjan.

— Albo ona mocniejsza! — zaśmiała się Likta. — Żeby mnie uderzył, toby mu było ostatni raz.

— Nie mądruj! — zaśmiała się Hrypa — dostaniesz takiego, że ci do pasa będzie, a nie piśniesz, jak cię stłucze.

— Nie bój się, bez „daj racji” bić nie będę! — rzekł Kasjan — chodź bliżej, czarka nalana, pij!

Lubo na ciebie popatrzeć.

— Może, ale mnie nie lubo — na ciebie ani wódki nie łakoma! Daj, Hrypo, sito.

— Likta, wypij, nie kręć się! — mruknął Naum i podał jej kieliszek.

— Jak twój traktament, to nie wyleję! Wypiła jednym tchem i poczerwieniała.

— Sprawiedliwy spirt — zaśmiała się.

— Ot, dziewczka, ot, zuch! — zaśmieli się chłopci,

— Dlategoż moja, że taka! — rzekł Kasjan.

— Taka ja twoja będę, jak i jaskółka twoja. Cyganki są dla hałajów, wołokitów, a nie gospodarskie córki.

— To ty Cyganką będziesz!

— Ale! Będę, jak ty kniaziem.

— A jaż nie kniaź? U każdego gospodarza zagonów kilka, a mój cały świat.

— I turma twoja.

— A twój będzie dół w piasku albo ja! Likte podniecał alkohol, oczy jej pałały.

— Ej, Likta, nie żartuj, bo ci każę przeprosić.

— Każesz, oj oj, każ, spróbuj!

Założyła ręce na piersiach i dyszała złością. Kasjan się śmiał.

— Likta, za toś mi miła, żeś taka honorna. Na, wypij jeszcze czarkę. Toć nie zapoiny, nie bój się. A może ty już pijana. Babska głowa słaba.

— Mocniejsza za twoja. Wypiję dziesięć czarek — ani twoją nie będę, ni cię nie przeproszę, ni ty

mnie zwojujesz.

— Ni za jaką cenę moją nie chcesz być?

— Chybabyś mi dał kota, co jaja niesie! — zaśmiała się po drugiej czarce.

— Jest taki! — zaśmiał się Naum. — U Niemca w Szafrance na łańcuchu pod daszkiem stoi.

— Aha, puchacz! Prawda, istny kot! — potwierdzili chłopci ubawieni.

— No, to ja ci go dostarczę.

— Dostaniesz, aha, spróbuj! To może mi i z dziesięć dębów dostaniesz z Szafranki.

— Czemu nie, dostanę.

— Nu, to i mnie wtedy dostaniesz!

— Słyszeli wy! — zawołał Kasjan do świadków.

— Oj oj, gotowi ją tobie sami przyprowadzić! — odpowiedzieli chórem wśród ogólnej wesołości.

Kasjan zbliżył się do dziewczyny.

— No, daj gęby na zadatek!

Dostał pięścią między oczy, że aż się zachwiał

— Dalibóg, byka by położyła! — pochwalił i sięgnął w zanadrze — naści gościńca.

Zamigotała w oczach dziewczyny jaskrawa jedwabna chustka, zawahała się chwilę, wzięła do ręki, wszystkie baby poczęły oglądać, podziwiać.

Pokusa była wielka, ale Likta się przemogła. Cisnęła mu ją w oczy.

— Idź do diabła z twoją chustką.

— Durna ty! — oburzyła się Hrypa.

— Nie chce, to ty weź — rzekł Kasjan niby obojętnie. Dziewczyna odwróciła się, żal ją porwał. W całych Sydorach nikt nie tylko nie posiadał, ale nie widział takiej śliczności. Porwała sito i wyszła prędko z chaty, bo jej się raptem płakać zachciało. A Kasjan, jakby zapomniał

epizodu ze swą lubą, zaczął z chłopami pić i bajać.

Nazajutrz wziął pławicę Nauma i pojechał rewidować kosze po hatach. Wybrał najpiękniejsze szczupaki i popłynął do Szafranki. Zbadał wybrzeże, zanotował ścieżki i przejścia i nie kwapiąc się, wstąpił do zagrody gajowego. Dwa buldogi, na łańcuchach u bramy uwięzione, przywitały go

wściekłym ujadaniem. Na to hasło wyrzał przez okno łeb tak rudy, jak tylko Niemiec go posiadać może, i głos równie nieprzyjacielski, jak buldogów, krzyknął łamaną chłopską mową:

— Za czym łazisz?

— Ryby przyniósł. Może robota jaka jest?

Niemcy wszyscy czterej obiadowali właśnie, gospodyni, żona i matka tej czeredy rudej, wyszła obejrzyć rybę i spytała o cenę.

— Gościńca przyniosłem. Ja jej nie kupowałem, a sobie ugotować nie mam gdzie. Da mi pani ciepłej strawy zjeść, to i dosyć za fatygę będzie.

— A ty skąd? Nietutejszy?

— Na flisach byłem, dostałem febry, partia mnie rzuciła. Z Filipowa idę, wstyd do domu wracać z próżnymi rękami — może co zarobię tutaj.

Niemcy wszyscy słuchali przez otwarte okno, coś poszwargotali i stary spytał:

— A kosić umiesz?

— Czy ja Żyd–cyrulik, żebym kosić nie umiał?

— No, to wezmę cię do kosy na parę dni. A ile chcesz?

— Da pan dwa złote i strawę?

— Dam. Idź do kuchni, zjedz i zaraz do roboty pójdziesz. A jak się nazywasz?

— Roman Kozar,

Kto by zobaczył Kasjana przez te parę dni, toby go nie poznał. Pokorny, cichy, skromny, milczący, pracował pilnie, z roboty wracał ostatni, żadnych brewerii w kuchni nie wyprawiał, zaraz po wieczery szedł spać pod szopkę, z psami się zaprzyjaźnił, dla gospodyni był usłużny, drwa rąbał, wodę nosił, robił za trzech, posłuszny był na skinienie. Kosił z synami gajowego łąki wśród lasu, znalazł jeszcze czas i do rzeki dobiec, ryby się postarać i tak się wszystkim spodobał, że gdy po tygodniu prosił o zapłatę i uwolnienie, gajowy dał mu pół rubla gratyfikacji i namawiał, żeby dłużej został. Ale Kasjan wiedział już wszystko, co mu było potrzeba, więc podziękował i po wieczery odszedł. Przeleżał w łozach do północy, a potem wrócił i po cichutku, jak był zwykł to czynić co nocy, począł gwizdać piosenkę. Psy go poznały, przybiegły i poszły za nim do poddaszka przy stajence, gdzie, na łańcuchu do słupa przykuty za nogę, mieszkał ogromny puchacz. Niemiec go trzymał do polowania na jastrzębie i wrony, okaz to był

bardzo rzadki, tak że go Motold i myśliwi, co do Łasicka przyjeżdżali, oglądali z ciekawością, i Niemiec się nim bardzo szczyił. Ptak był drapieżny i złośliwy, rzucał się na ludzi, dziobał i bił

skrzydłami.

Kasjan łańcuszek zerwał i począł się ze straszędłem szamotać, ale pokaleczony, świtkę swą ściągnął, obmotał nią zdobycz i tak uniósł. Psy nie protestowały, owszem, przeprowadziły w honorowej eskorcie do pławicy.

Rano powstał sądny dzień w leśniczówce, gdy stratę spostrzeżono. Ale nikomu nie przyszła kradzież na myśl, myślano, że puchacz sam łańcuszek zerwał i uleciał. Szukano go po lesie, Niemiec desperował, ale puchacz przepadł.

Kilka dni tym była cała rodzina zajęta, gdy wydarzył się nowy, niesłychany wypadek. Nad rzeką ścięto trzy dęby. Niemcy znaleźli świeże pnie, skrzesane gałęzie, drzew ani śladu.

Naturalnie wszyscy czterej udali się na nocną obławę na złodzieja i następnej nocy zastali nad rzeką Kasjana, gdy najspokojniej w świetle spiło wy wał czwarty pień dębowy. Gdy osaczywszy go, wypadli wszyscy czterej z gąszczy i obstąpili ze strzelbami i okrzykiem wściekłości i triumfu, chłop roboty zaprzestał, wyprostował się i rzekł:

— Nu, co to nowego? Niemiecka wojna — po nocy bieganie z fuzjami.

— Aha, to ty! Takiś ptaszek! — krzyknął stary.

— Żaden ja ptaszek, ale człowiek!

I Kasjan z najzimniejszą krwią wziął się na powrót do piły. Rzucili się na niego.

— Co ty tu robisz? Jak śmiesz, złodzieju?

— Nie widzicie, co robię, to włożcie okulary. A śmiem, bo mi wasz graf pozwolił.

— Pozwolił! A gdzie kwit? Łżesz. Marsz!

— Żebym kradł, tobym uciekał, trzy kroki do rzeki. Nie wierzycie, chodźmy do grafa. I owszem, jeszcze mnie ugości. My z nim znajomi. Chodźmy.

Zabrał swe narzędzia, schował pod gałęzie, zapalił papierosa i był gotów. Niemcy stropieni byli tą pewnością i spokojem. Wzięli go między siebie i poprowadzili do leśniczówki. Ranek się tymczasem uczynił, więc po naradzie dwóch zostało w domu, dwóch udało się z Kasjanem do Łasicka. Wsadzili go na wóz i powieźli, bo wiorst dziesięć było do stolicy Motoldowego państwa. W drodze zaś turbowali się, czy grafa zastaną, bo rzadko bywał w biurze.

— No, to co? Poczekam. Jeszcze mi siedem dębów potrzeba. Nie będę się o każdy z wami użerał! — mówił Kasjan nie tracąc rezonu.

Dwór w Łasicku był prawie miasteczkiem — stosownie do wielkości fortuny. Pałac stał

opodal wśród cienistego parku, rzeka płynęła wśród wysokich brzegów, ruch na wodzie i ziemi był

żywy. Niemcy ze swą zdobyczą wysiedli przed zarządem leśnym i weszli do dużej sali, gdzie pracowało z dziesiątek urzędników.

Szczęśliwym trafem Motold był w domu i pomimo wczesnej pory już pracował w swym gabinecie. Jeden z Niemców się zameldował i poszedł z raportem, a Kasjan tymczasem gapił się, przejęty uszanowaniem wobec takiej dekoracji funduszu. Po chwili Niemiec wrócił i zakomenderował:

— Marsz. Pokaże się twoje łgarstwo.

Drab wszedł do gabinetu. Motold zza biura spojrział nań bystro, sekundę sobie przypominał tę twarz i wreszcie rzekł:

— Toś ty nie Roman, ty ten, coś to starowierom dokuczał.

— Co ja mam pierwszemu lepszemu durniowi moje imię gadać! Dla Niemców ja Roman, dla pana Kasjan. Nie dziw, że pan wielki pan, kiedy u pana taka pamięć mocna. Ja myślał, że przypomnieć trzeba będzie, a pan tylko spojrział, już wie.

— Ale nie wiem, po coś kradł moje dęby.

— Proszę pana, już jak Kasjan kradnie, to nie takie ryże woły go pojną. Żeby ja kradł, toby ja tu nie był. Ja dęby wziął, bo mi pan wtedy pozwolił. Powiedział pan: „Jak myślisz, że ja co więcej mam jak ty, to sobie weź”. Ja wziął trzy, jeszcze mi siedm trzeba.

— Na co ci potrzeba? Żydowi sprzedales?

— Ja teraz bogaty. U czaharskiej panienki za komisarza jestem. Na diabła mi dęby, u nas swoje są. Panienka by mi nie pożalowała.

— No, więc po coś je brał? Kasjan za uchem się podrapał.

— Kiedy srom powiedzieć. Niech ten ryży wyjdzie, to ja panu rzeknę.

Na skinienie Motolda Niemiec wyszedł.

— Proszę pana. Ja dziewczce obiecał z Szafranki dziesięć dębów, to i musiał dostać. Ja je panu potem odstawię, ale bestii pokażę, że dostał.

Motold się uśmiechnął i spytał:

— Więc służysz w Czaharach? Panienka już tam mieszka?

— Ojoj! I mieszka, i gospodaruje sławnie.

— Sama jest?

— A na co jej kto? Jeszcze mieszka przy młynie, ale na jesieni osobny dwór założymy, dom



postawim.

— A nie brak jej, nie bieda?

— Skąd bieda? Kiedy młyn jest, to i chleb! Jak ta jagoda na kalinie, tak wykraśniała w robocie, na słońcu. Oj, robocza i mądra, i dobra. Już jak Kasjan jej służy — to warta!

— Pana Waclawa nie ma w Ługach?

— Dom kazała panienka wyporządzić, musi przyjedzie. Tymczasem panienka i tam dysponuje.

— Jakby wam jaki kłopot czy niedostatek, to tu mi donieś, pamiętaj.

— Ja i bez pańskiego słowa gdzie indziej by nie poszedł. Ja wiem, że pan panienkę ratował i bronił. I panu od nas krzywda się nigdy nie stanie ani szkoda najmniejsza. Te dęby, to inna sprawa. Pan to i sam wie, że trafi się czasem taka baba, co jak kolka w bok wlezie, ni jej dostać, ni się odczepić. Trzeba dogodzić!

— To może i panienka o tych dębach wie?

— Wstydział się powiedzieć! Panienka na to rozumu nie ma. Zaraz by napadła: kradniesz!

— No, więc weź je sobie i zatrzymaj. Może wam się na nowe gospodarstwo zdadzą.

Pocisnął dzwonek. Niemiec wszedł.

— Wydać mu dziesięć dębów! — rozkazał krótko Motold.

Niemiec się skłonił i rzekł:

— Melduję zarazem, że nam zginął puchacz, a że ten chłop był u nas na robocie pod cudzym imieniem, posądzam, że może on i ptaka ukradł albo przez złość wypuścił.

— Może on, może on! — przedrzeźniał Kasjan. — Może ja tobie łeb w łupinach cebuli wygotowałem i twojej matce olej wykradłem, co ci miała w głowę nalać. Ty mnie złap, a potem melduj!

— Szkoda puchacza — rzekł Motold.

— To pański był? Nu, to ja panu takiego samego złapię i przyniosę, a jak pan mnie go da do pilnowania, to ja go nie wypuszczę.

Tu się wyprostował i dodał salutując po wojskowemu:

— Rad się starać i służyć!

Zaledwie byli za drzwiami, rzekł do Niemca:

— Nu, drugi raz nie ty mnie, a ja ciebie tu przyprowadzę. Przekonał się ty, jak ja łzę! Zapłać mi teraz

ty za dzień i nie zaczepiaj więcej.

— Żebyś wiedział na pewno, żeś ty puchacza ukradł! — warknął wściekle Niemiec.

— Otóż bo to! Żebyś wiedział! — zaśmiał się drab zuchwale. — Tobys ty nie ryży Niemiec był, ale Poleszko Kasjan.

I gwizdząc poszedł obejrzyć wszystkie świetności Łasicka.

# VI

Karol Janicki przebolewał dział i stratę Ługów i Czaharów. Pożyczkę dostał łatwo i ekwipował się. Lucjan, przyduszony przez wierzycieli, za pół ceny las sprzedał, trochę długów spłacił, resztę kapitału użył na rolne melioracje, obadwaj byli tak zajęci wydawaniem pieniędzy, że nawet o Zośce zapomnieli. Zniknęła ludziom z oczu, nie dawała więcej tematu do plotek i nowin, więc ludzie poczęli mówić o innych bliźnich. Małżeństwo każde jest dla całej okolicy przedmiotem gawęd nieskończonych, używano tedy do syta na Janickim i Sterdyńskiej.

A przecie Karol zachowywał wszelkie tradycje zakładając nowe gniazdo obywatelskie. W niczym od zwyczaju nie odstąpił. Więc przede wszystkim stary dom w Woronem na nowo urządził. Stare meble wyrzucił, dodał dwa salony więcej i kilka gościnnych pokojów, kupił powóz i karekę, postawił sześć koni na stajni, sprawił liberię dla służby, co tydzień jeździł do narzeczonej, sprowadzał dla niej kwiaty i cukierki z Warszawy. U Sterdyńskich też zachowywano tradycję — wszystkie myśli, słowa i czyny poświęcone były wyprawie. Wiedziała cała okolica, że będzie miała młoda pani aż siedem szlafroczków i dwanaście wieczorowych sukien, że zastawy stołowe obrachowane były na cztery tuziny gości, że ponure Woronne stało się ogniskiem zabawy na całą okolicę i że wesele będzie huczne i liczne, bo zaproszonych liczono kilkadziesiąt osób.

Kto żył i miał panny lub sam się bawić chciał, składał tam wizyty, pochlebiał i świadczył, żeby nie zostać pominiętym.

Poza plecami obgadywano na potęgę i żeby połowa tego, co mówiono, była prawdą, to Janiccy i Sterdyńscy powinni byli siedzieć w kryminale lub od dawna być pod kluczem u Bonifratrów. Narieczona była to typowa panna z obywatelskiego domu. Miała od dziecka bony, potem nauczycielki, płatne bardzo drogo, wedle pojęć papy Sterdyńskiego, bo aż 400 rubli rocznie, potem została wywieziona na jeden rok do Warszawy dla „talentów”. Przez ten rok posiadała śpiew (muzykę uprawiała od dziecka w domu), malarstwo, tańce, salonową ogładę —

nawet podobno brała jakieś lekcje literatury — i wróciła do domu jako wykwalifikowana już do wydania za mąż. W domu zajmowała się ścieraniem kurzu w salonie, doglądaniem kwiatków w ogrodzie, robieniem herbaty, czytaniem powieści, bawieniem gości i odwiedzaniem sąsiadów.

Wymalowała ekran na atłasie i drewniany stolik upiększyła wypalonym jeleniem, wyszyła na kanwie kilka pasów na meble, bardzo długo proszona, umiała zaśpiewać „salonowy kawalek”, tańczyła z gracją, w poważnych kwestiach nie zabierała głosu, miała mnóstwo przyjaciółek, z którymi na zabawach w przerwach tańców chodziła szeregiem po salonie i szeptała z ożywieniem zwierzenia i wrażenia, no i to wszystko czyniąc — czekała amatora. Zrazu posunął się jeden i drugi z kawalerów, ale to powodzenie uczyniło ją wybredną, zresztą nie były to „dobre partie”.

Jeden był mały i brzydki, drugi student bez żadnej pozycji, trzeci nie umiał się „znaleźć” w salonie i nie tańczył, czwarty — stary wdowiec. Po tych amatorach nastąpiła pauza. Minęło trzy lata, nikt się nie posunął. Młodsze dwie siostry podraستاły, strach obleciał mamę Sterdyńską, wywiozła Ninę na

karnawał do Warszawy; kosztowało to parę tysięcy, ale oprócz jakiegoś zbankrutowanego, łysego kandydata spod Kalisza nikt panny nie zatargował, a młodsza, Wanda, gwałtownie już potrzebowała długiej sukni. Wtedy mama Sterdyńską spuściła z tonu, zaczęła być coraz słodsza dla różnych ciotek i wujaszków, zaczęła bywać z córką szerzej i niżej — i oto na jakimś baliku u Lucjanów Janickich kumoszki ośmieliły Karola, namówiły pannę i ani się obejrżeli, jak ich zeswatano, jak im wmówiono, że są w sobie zakochani.

Odtąd szło wszystko zwykłym trybem. Karol robił świetny interes, pilnował więc go sumiennie, zaprzestał gry w karty i rozpusty, bojąc się, aby nie doniesiono o tym do Sterdyńskich, narzeczonej asystował pilnie, spełniał jej wszelkie życzenia i fantazje, zgadzał się z nią we wszystkim, dla Sterdyńskich był z czołobitnością i uszanowaniem, służbę ich przepłacał, o posagu nie wspominał, był na wysługi całej rodziny.

Z narzeczoną mówili, gdzie i u kogo będą bywać, kogo przyjmować, jakie upiększenia zaprowadzą w domu i w ogrodzie, mówili też zapewne i o miłości. Ślub odłożono do końca żałoby, miał się odbyć w karnawale, a tymczasem widywali się co parę dni i Karol więcej czasu spędzał u narzeczonej niż w domu, zostawiając gospodarstwo na ręce i głowę nowo przyjętego rządcy.

Co się w polu i gumnie działo, Karol nie wiedział, nie miał na to czasu. Gdy wpadł do domu, oblegali go rzemieślnicy, musiał jeździć do Warszawy, był zapracowany ekwipowaniem się.

Woronne zresztą było mu równie nie znane, jak wnętrze Afryki.

Za życia ojca mieszkał w oficynie, żył po kawalersku, pożyczał na karty i kochanki, bawił się, jeździł na baliki do miasteczka; do rządów stary go nie dopuszczał, ale też w jego życie nie wglądał. Rządziła Zośka. Rodzeństwo nie kłóciło się, ale i nie godziło ze sobą. Karol przez politykę, bojąc się jej wpływu na ojca, był z nią grzeczny. Zośka zdawała się nie zwracać na niego żadnej uwagi, jakby nic nie widziała. Od chwili gdy bracia zabrali ją z Paryża, nie przemówiła do nich inaczej jak z potrzeby interesu lub w potocznej rozmowie.

Przez siedem lat nie zmieniła się w swej zaciętości, ale też ani razu ze spokojnego taktu nie wyszła.

Karol drwił z gospodarstwa ojca, babskie jej rządy lekceważył i rezonował, że jeśli Woronne nie zginęło przy takiej administracji, to fachowy rządcą potrafi zaprowadzić inny ład, da dopiero dobry dochód. Postanawiał też po ślubie zająć się do gruntu zmianami, a tymczasem musiał

narzeczonej asystować i ekwipować się.

Najbliższym sąsiadem Woronnego był Wilszyc, szwagier Janickiego. Przed laty, jako młody chłopak, daleki powinowaty, przybył do Woronnego za chlebem. Pochodził z Białorusi; było ich pięciu braci na małej folwarczynie, więc się po świecie rozeszli. Janicki dał mu u siebie robotę, chleb, chłopak był obrotny, pracowity, przemyślny, więc po kilku latach uciułał trochę grosza, ze schedy od braci dostał kilka tysięcy złotych, poszedł na dzierżawę, potem kupił folwarczek i ożenił się z siostrą Janickiego, trochę „brakowną”, bo garbatą, panną Barbarą. Janicki dał w posagu pięć tysięcy złotych, dziesięć krów, cztery konie i najtyczankę i Wilszyc został

obywatelem osiadłym i skoligaconym w okolicy.

Małżonkowie stanowili wyśmienicie dobraną parę. Za młodu pracowici, skromnych wymagań, skrzętni i gospodarni, ku starości stali się skąpi, chciwi i samolubni. Nie mieli dzieci, nie bywali nigdzie, gość napełniał ich strachem wydatku i ambarasu, nie czuli potrzeby ludzi i zabawy, oddani całą duszą ciułaniu grosza, drobnym troskom i pociechom gospodarstwa.

Wilszyc wiecznie narzekał na biedę i niedostatek, ona stękała na niedbalstwo i próżniactwo służby, a oboje mieli jedną zasadę: wziąć, co się da, a nie dawać nic bez musu. Po trosze korzystali ze szwagra. Każde odwiedziny w Woronem kończyły się czy handlem konika, czy kupnem tanim byka, czy wreszcie dostaniem jakiegoś prezentu: owoców, oczeretu na pokrycie dachu, beczułki wódki na starkę, paszy dla źrebiąt, różne dogodności, które Janicki dawał

mówiąc potem z niesmakiem:

— Wilszyc, to muzyk-pogorzelec całe życie!

Po śmierci Janickiego Wilszyc stanął po stronie Karola, pragnąc nadal utrzymać wygodne z Woronem stosunki i zaraz z wiosną dostał pozwolenie na paszę dla „źrebiątek” i „cielątek”, a Wilszycowa rozporządzenie do ogrodnika i szafarki, żeby wszelkie jej żądania były święcie spełniane. Gardłował też Wilszyc przeciw Zośce, pod niebiosa wysławiał Karola.

Po nieudanej próbie dostania z Ługów czwórki koni Karol udał się do wuja ze skargą; chciał

czynić gwałt, zuchwałego Mirona związać i do policji dostawić, ledwie go Wilszyc umitygował, a że miał do zbycia czwórkę domorosłych kasztanów, te mu zaproponował. Karol się krępował

brakiem na razie gotówki, ale gdy się zgodzili na cenę, Wilszyc konie dał obiecując wspaniałomyślnie na pieniądze do jesieni zaczekać. Że zaś zarobił na tej transakcji dwieście rubli, więc o procencie nie wspomniał, tylko wymówił dla „Basiuni” parę angielskich prosiąt na chów.

Wilszycowie latem i zimą wstawali o godzinie czwartej, kładli się spać o dziewiątej. Cały dzień ona dreptała po podwórzu i domu, on po gumnie i polu, gdy się spotkali, lamentowali na niepowodzenia lub opowiadali sobie plotki pozbierane od chłopów, bab i Żydów.

Wilszyc czytywał czasami gazetę, pożyczoną w Woronem, ona w przerwach zajęć robiła pończochy, o zmroku drzemali oboje, siedząc naprzeciw siebie w czystym, pustym pokoju, gdzie meble stały sztywnie pod ścianami, gdzie przedmiot każdy miał swoje stałe miejsce i gdzie panował chłód domu bez duszy i bez serca.

Co się rano stało w Woronem, o tym wiedziano wieczorem u Wilszyców i od czasu objęcia rządów przez Karola wieści te napełniały starych sknerów zgrozą i paniką.

I nowy rządca, i nowy dziedzic nie rachowali pieniędzy, sypały się jak plewa, i koło jesieni zaczął Wilszyca oblatywać strach o należność za kasztany. Pojechał do Woronnego, ale Karola nigdy w domu nie było, zaczął więc pisać listy, równie bezskutecznie. Nareszcie Karol odpisał

dość lekko, że wobec wielkich wydatków odkłada uregulowanie rachunków aż po ślubie. To ogromnie ochłodziło starych w sympatii dla siostrzeńca i wtedy to po raz pierwszy Wilszyc wspomniał Zośkę.

— Jednakże ona miała rozum, że nie zechciała być na łasce Karola.

— Ciekawam, co też ona porabia? — dodała Wilszycowa. — W całej okolicy nie ma takiej ryby, jak w Czaharach. Pamiętasz, w Woronem zawsześmy stamtąd na Wilię dostawali. Jakie to były szczupaki!

— Już to mogłaby i teraz o nas pamiętać, jaż ją do chrztu trzymałem — rzekł Wilszyc.

— Alboż ona ma jakie zasady, poczuwa się do jakichkolwiek obowiązków! Awanturnica!

— Ani się opamięta, ani się odezwie, ani się pokaże. Nawet nie wiadomo, czy tam siedzi.

Może w świat uciekła.

Ale Czahary były dla plotek chłopskich za daleko i dopiero już późną jesienią trafił się Żyd, handlarz bydła, który targując u Wilszyca woły, wspomniał, że w Ługach była do sprzedania duża partia, ale że przybył za późno do „panienki”, bo już były sprzedane.

— Aj, aj, to były woły jak bójki, dwadzieścia sztuk, pańskie naprzeciw tamtych, to cieleta.

— To widziałeś panienkę? — zaciekawił się Wilszyc.

— Widziałem, była właśnie w Ługach. Kartofle tam na komedię urodziły. Oj, nabiorą tam w tym roku pieniędzy, a co już za konie nabrali!

— No, jakże panienka? Co ci mówiła? Nie pytała, co tu słyhać? O Woronne?

— Una, jak wiadomo, nie gadająca. Ja spytał o woły, po czemu sprzedane, ja chciał dać trzydzieści rubli drożej, to tak na mnie paskudnie popatrzyła; potem ja spytał, czy kartofle do Woronki pójda, powiedziała, że do Łasicka bliżej. Spytała mnie, czy nie kupię siana, to ja powiedział, że się dowiem, jak rzeki staną, i więcej gawędy nie było.

— W Ługach mieszka?

— Nie, w Czaharach, mówili, że dwór sobie nowy stroi. Ja tam nie był.

Więcej się Wilszyc nie dowiedział, ale poczęła go trapić ciekawość, a może bardziej jeszcze chęć skorzystania. Miała siano na sprzedaż, a on co roku trochę dokupić potrzebował, może by mu taniej ustąpiła, może ją sumienie ruszy, że przecie bez rodziny żyć nie można. Czekał tedy, że przyjdzie do Kanosy.

Ale czas biegł, zima stanęła. Wilszycowie dla rozrywki w długie wieczory łuszczili fasolę, drogi były złe, nawet plotki żydowskie ustały; roboty w gospodarstwie było niewiele, ceny złe, omłoty

nieszczęśliwe, humor Wilszyców był jeszcze bardziej żółciowy. Więc wielkim wypadkiem i wrażeniem było, gdy pewnego wieczora lokaj, który zarazem był gumiennym, przyniósł list i oznajmił, że jest posłaniec z Czahar i prosi o odpowiedź.

Wilszyc zapalił świecę — zwykle dla oszczędności oczu i nafty łuszczyli fasolę przy kominie

— i ogromnie zaciekawiony, jął głośno list czytać. Pisała Zośka, że otrzymała polecenie od Waclawa, aby z Ługów spłaciła rodzinie owe 5000 rubli, które ojciec niegdyś za jego weksle zapłacił. Otóż złożyła u rejenta połowę tej sumy i prosi wuja, aby przyjął to do wiadomości i zakomunikował braciom, że mogą tę sumę w każdej chwili podnieść pokwitowawszy z odbioru.

Wilszycowi z podziwu głos na chwilę zamarł.

— Opatrzność nad nami, uważasz, Basiuniu — zawołał wreszcie. — Bóg zrządził, abyśmy te tysiąc rubli odebrać mogli za konie. Patrzajcie, jaki jednakże ten Waclaw honorowy!

— Sumienie się odzywa. Cóż więcej ona pisze?

— Nic więcej. Trzeba posłańca rozpytać.

— Spytaj o rybę. Powiadają, że będzie bardzo droga, a tu święta za pasem.

Wilszyc kazał przyprowadzić posłańca. Po chwili stanął w progu chłop w czarnym kozuchu, z torbą przez plecy, na widok którego starzy jednym głosem zawołali tonem oburzenia i przest్రachu:

— Kasjan! A ty tu czego?

— Pan kazał przyjść. Ja z Czahar.

— A cóż ty tam robisz?

— Panience służę. List przyniosłem.

— Jak to? Ty służysz? Dawno? Myślałem, że gdzie w ostrogu siedzisz.

Nozdrza chłopu się poruszyły i oczy błysnęły, ale odparł spokojnie:

— To pan myślał płocho.

— No, no, cuda się dzieją! Cóż tam u was słychać?

— Wiadomo, wicher słychać, taj wodę na kole młyńskim. Jesienią tyle muzyki.

— Ja się pytam, jak żyje panienka, co porabia?

— Nie mogę wiedzieć, bo wyjechała.

— Dokąd?

— Nie moje dzieło. Onegdaj przywiozłem ją do miasta, zabawiła do pociągu, mnie dała listy do Woronnego i do pana i kazała wracać.

— W Woronnem już list oddałeś?

— Wczoraj.

Wilszycowie spojrzeli na siebie z niepokojem, że Karol miał już czas pieniądze u rejenta zabrać.

— Był pan Karol?

— Był, do miasta pojechał.

— Jutro rano za nim pogonię — szepnął stary, a Wilszycowa rzekła do Kasjana:

— Rybę macie w Czaharach?

— Mamy. To nasze bydło. U państwa konie i krowy, u nas czółno i ryba.

— Zostawcie dla nas na Wilię z pięć ładnych sztuk i trochę drobnej dla czeladzi.

— Postaram się, ale znowu nam trzeba słoniny i kielbas na święta, to może pani dla nas zostawi.

Wilszycowej nie podobała się taka transakcja.

— Możecie sami wieprza ukarmić przy młynie. Cóż to, myślicie darowanym żyć?

— Ej, nie, rybę sprzedamy, to okrasę kupimy. Na Wilię zlecą się do nas Żydy po rybę z całego świata.

— To panienska przy młynie mieszka?

— Tymczasem jeszcze zimuje, ale od wiosny do nowego dworu się przeniesie.

— A na święta wróci?

— Nie mogę wiedzieć.

— Dostaniesz list. Pewnie zanocujesz?

— Nie, zaraz wracam, bo jutro siano u nas dzielą.

— Sprzedajecie siano? Po czemu?

— Trzy ruble fura.

— Ho, ho, drogo! Po dwa ruble ja bym kupił.



— To dziwo! — zaśmiał się Kasjan. — Znać po pańskich krowach, że tanie siano jedzą, bardzo gładkie.

Wilszyc szedł list pisać, Wilszycowa dalej rozpytywała chłopa o sprawy gospodarsko-

spizarniane, ale Kasjan odpowiadał lakonicznie. Dowiedziała się tylko, że mają dwie krowy, że Zośka mieszka w dwóch izbach, że ma za całą służbę jedną babę i jego, Kasjana, że założyli przy nowym dworze ogród i że mają wszystkiego dostatek. Tymczasem Wilszyc list skończył, oddał

chłopu i na pożegnanie mu rzekł:

— No, możesz już iść, a nie ukradnij no czego! Kasjanowi znowu zapalały oczy, ale słowa nie rzekł i dopiero za domem splunął na drzwi i grubo zaklął:

— Ugościli, potraktowali, dobrym słowem pożegnali! Nu, pokosztujecie wy smoły prędzej jak naszej ryby.

Nazajutrz Wilszyc pojechał do miasteczka, ale już poniewczasie. Karol i Lucjan już pieniądze od rejenta zabrali i stary tylko swą bezsilną złość i zawód wylał Spendowskiemu w łaskawe ucho. Jurysta bynajmniej mu otuchy nie dodał, przeciwnie, w czarnych kolorach widział

przyszłość obu Janickich. Lucjan stawiał parowy młyn i tartak. Karol pożyczał pieniądze na wysokie procenty.

— Ja bym radził panu konie odebrać, bo pieniądze za nie bardzo wątpliwe.

Wilszyc, przerażony, napisał do Karola ostry list, żądając natychmiastowej spłaty należności.

W odpowiedzi otrzymał 800 rubli, a na 200 rachunek nowego rządcy. Było tam wszystko: i pasza

„cielątek” i „żrebiątek”, i stara wódka, i ogrodowe specjały, i korzystanie z dworskiej kuźni, i materiały brane w lesie, wszystko, co Wilszyc przywykł uważać za wspólne z Woronem.

Starzy odchorowali ten dzień i drugi, następnie wyczerpawszy oburzenie i narzekania, poczęli wspominać czasy starego Janickiego i rządów Zośki, a potem Wilszyc rozniósł swoje żale po całej rodzinie i sąsiedztwie, zebrał po krewnych i znajomych krytyki na Karola i Lucjana, i OzbęDmł sprawę na cały powiat. Poczęli wszyscy powoli przyznawać rację Zośce, że na łasce takich braci zostać nie chciała ani z nimi solidaryzować pragnęła. Obudziła się też ciekawość, co ona tam w swej pustelni porabia, i wreszcie Wilszycowa zdecydowała:

— Harda jest, ambitna, nie śmie się odezwać! Jak by nie było, młoda, nierozważna, wypada jednakże zobaczyć, jak się urządziła, co porabia. Zawsze odpowiedzialność za nią — naszym obowiązkiem.

I po kilku dniach namysłu, gdy lody stanęły, sanna się ustaliła, a siana Wilszycom zabrakło i ostatni był czas upewnić się o ryby na Wilię, oboje ruszyli do Czahar. Stanęli na miejscu późno, bo zbłądzili parę razy, noc już była, w chacie przy młynie błyszczało światło, a na dźwięk dzwonek opadły ich jakieś zajadle psy rzucając się do nozdrzy końskich, szczekając i chrapiąc.

Młyn był w ruchu, woda szumiała, w chacie rozlegały się tony fortepianu, ale ludzi nigdzie nie było.

Wilszyc począł wołać i wtedy z młyna ktoś wyjrzał i rozległ się głos Kasjana:

— Kogo czort nosi na ludzkie utrapienie?

— Chodź tu, odpędź psy! Czy jest panienka?

Drab poskoczył do domu, drzwi za sobą zamknął. Muzyka w tej chwili ucichła, ruch się uczynił i stanęła w progu Zośka ze świecą w ręku. Przypadły do niej psy i ścichły, a zza niej wynurzył się Kasjan, pomógł Wilszycom wysiąść i poprowadził furmana z końmi na nocleg.

— Jedziemy do Jedlińskich i po drodze wstąpiliśmy do ciebie dowiedzieć się, co porabiasz —

skłamał Wilszyc, trochę urażony, że ich wita bez wdzięczności za łaskę i bez zapachu. — To ty tu mieszkasz? — dodał oglądając się po sieni bielonej, dużej, jakie bywają w chatach, tylko bardzo czystej i przystrojonej oryginalnie sieciami, koszami na ryby i łosimi rogami.

— Tymczasem tutaj. Proszę wujostwa do izby, tu chłodno.

Weszli za nią przez wysoki próg, ogarnęło ich ciepło, światło, żywiczna woń i jakieś dziwne wrażenie tej izby. Była duża i niska, z wielkim w głębi kominem, na którym smolne karpy trzaskały wesoło, ściany, czysto bielone, otaczały ławy proste, a nad nimi wisały całe snopv, wiezie zeschniętych kit, ziół i oczeretów, przeplatane gronami kaliny i gwiazdami nieśmiertelników.

Tworzyły wypukłą, żywą makatę, oplatały belki pułapu, robiły wrażenie gniazda ptasiego. Na środku stał długi stół, prosty, z desek zbity, zarzucony książkami, pismami, rysunkami, ktoś widocznie przed chwilą przy nim siedział i rysował model gotyckiej szafy. Leżały cyrkle i ołówki, linie i tusz rozpuszczony w miseczce, i stołek odsunięty zdradzał że zerwano się spieszenie. W

kacie pod oknem rozwarte pianino, na nim skrzypce, Podłogę całą pokrywało szare sukno miejscowego wyrobu i także portiera przysłaniała drzwi do następnego pokoju, sypialnego Zośki Dziewczyna, wprowadziwszy gości, spojrzała na te drzwi, potem zsunęła na bok rysunek i poprawiła zydel. Starzy oglądali się bardzo ciekawie i Wilszyc rzekł:

— Tak tu u ciebie jakoś dziwnie. Co to można z chaty zrobić? A jak ciepło! Ale my ci ambaras zrobimy z noclegiem. Gdzie nas położysz?

— Pomieścimy się. Nie będzie wujostwu bardzo wygodnie i miękko. Mam tylko siano za pierzynę. Przede wszystkim zajmę się posiłkiem.

Wyszła do sypialni, która snadź łączyła się z sienią i drugą stroną chałupy, gdzie z komory uczyniono kuchnię. Starzy tymczasem rozgościli się, obejrzeni każdy sprzęt i kąć, zwiedzili sypialnię i nie mogli z podziwu ochłonać, jak tu dziwnie, a schludnie.

Zośka gospodarzyła odpowiadając w przelocie na ich pytania. Oprzątnęła stół, zastawiła go do wieczery. Kasjan podał samowar. Wilszycowie, zgłodniali, napadli na jajecznicę i smażoną rybę,

smakowało im wszystko i zarzucali przy tym Zośkę gradem zapytań.

Opowiedziała, że ma kucharkę, praczkę i gospodynię w jednej osobie, babę wdowę, bezdzietną, i parobka, który dozoruje krów, wozi i rąbie drwa, spełnia wszelkie cięższe roboty.

— A Kasjan? — zagadnął ze śmiechem Wilszyc.

— Ten rządzi wszystkim.

— To jest: okrada ciebie.

— Pewnie mniej niż każdy inny rządcą, bo ma mniejsze wymagania i potrzeby. Czy wuj ma iluzję, że u wuja nie kradną? Ten sam Kasjan mi opowiadał, że gdy u was był, spotkał za stodołą dwóch parobków obładowanych workami zboża.

— Nie może być? Może ich zna? Niech powie.

Zośka zawołała do sieni i po chwili Kasjan wszedł.

— Widziałeś u mnie złodziei? Dlaczegoś mi nie powiedział?

— Pan mnie od słowa złodziejem nazwał, to ja pomyślał: „kiedy ja złodziej, to tamto moje druhy, nie pan” — i milczał. A przy tym głodny był, zdrożony, spieszył zjeść w karczmie i spocząć.

— Którzy to parobcy byli? Poznałeś ich?

— Zapomniał już.

— To może i listu panience zapomniał oddać?

— Owszem, otrzymałam go, ale za ledwie zawczoraj, za powrotem do domu. Byłam parę tygodni w drodze. Miałam właśnie odpisać, rybę posłać i zawiadomić, że siano już sprzedane, nie mogę wujowi ustąpić. Ale pod bokiem, w Woronnem, jest tyle.

— W Woronnem! To nie wiesz, jak Karol ze mną bez sumienia postąpił?

I opowiedział szeroko i długo krzywdę i wyzysk. Zośkę w duchu śmiech ogarniał, ale odpowiedziała poważnie:

— Karol musi się rachować. Nie ma ojcowskiej fortuny, a ma długi.

— On się rachuje! — wybuchnął Wilszyc i jął opowiadać o bezrządzie, o łotrostwach rządcy, o wydatkach szalonych, o lichwiarskich pożyczkach, życiu nad stan. — On myśli, że ma fortunę Motolda, on go naśladuje. Tylko że nie ma tej głowy, no i te kilkadziesiąt tysięcy Sterdyńskiej, to nie miliony Motoldowej.

— Z Motoldową podobno źle — wtrąciła Wilszycowa. — Powiózł ją mąż na Południe, mówią, że

suchoty, broń Boże co na nią, to i Motold się nie utrzyma na Łasicku, jak trzeba będzie miliony zwrócić tym Niemcom.

Potem z kolei opowiadali sprawy i stosunki całej okolicy. Zośka słuchała znudzona i zmęczona. Mało знаła ludzi tych, a jeszcze mniej zajmowały ją małości życia domowego, plotki i stan finansowy. Więc po chwili ją sprzątała i przygotowywała nocleg gościom, a Wilszycowa jej pomagała przymawiając się o rybę i grzyby. Potem, poszeptawszy z mężem, raczyli zaprosić ją na Wilię do siebie. Zośka podziękowała, ale odmówiła, i starzy, tym urażeni, nie nalegali. Sen ich zmorzył, więc rychło zabrali się do spoczynku w sypialni Zośki, a ona usłała sobie w pierwszej stancji na ławie.

Nazajutrz po wczesnej herbacie odjechali upewniwszy się co do ryby na święta, dość zadowoleni z odwiedzin, bo i grzybów dostała Wilszycowa, i stary wycygał stożek siana.

Święta zaś nadchodziły i stało się, co zwykle bywa, że na trzy dni przed Wilią przyszła zupełna odwilż, deszcz, drogi zupełnie się popsęły, lody stały się niepewne. Jednakże Zośka, pamiętna obietnicy, zawołała Kasjana i spytała:

— Jak myślisz, można posłać kogo z rybą do Wilszyców? Trzeba by dzisiaj.

— To ja zaraz pójdę — ofiarował się.

— Piechotę? Nie zdążysz wrócić na kutię. Nie chcę, żebyś nie miał porządnej wieszery w taki dzień. Weź sanie i konie z Ługów.

— Ot, dziwo! I wrócę, i jeszcze panience gościńca przyniosę.

Wnet się też zebrał, ozuł w chodaki, wziął siekiere, piesznę do próbowania lodu, worek z rybami i poszedł. Rad był wycieczce, bo Poleszuk każdy lubi ryzykowną wędrówkę po swych błotach i lodach, a przy tym Kasjan postanowił w drodze powrotnej skręcić do ziemianki i zabrać na święta zapas spirytusu z jednej ze schowanych tam beczek. Szedł lekko i bezpiecznie przez znane sobie przesmyki i prostki i przemachawszy pewnie mil siedem, wieczorem przystawił się do Wilszyców. Został przyjęty radośnie, bo z powodu bezdroża wątpili, czy rybę dostaną. Więc go ugościli, nakarmili i nawet po naradzie i długim wahaniu Wilszycowa dała dla Zośki kilka par kiełbas.

W nocy począł sypać mokry śnieg, uczyniła się zadymka, niepogoda taka, że wilk by się nie ruszył głodny, ale Kasjan, zadrzemawszy trochę, z północy poszedł do domu. Jemu ta ćma i śnieg była na rękę. Żywej duszy nie spotkał w drodze, do ziemianki trafił, beczkę odkopał, napełnił

spirytusem baryłkę, którą ukradł w kuchni Wilszyców, i rad z rezultatu wyprawy, zabrał się do domu. Głodny był, więc rozmyślał o rybie na oleju, o kluskach z makiem i pierogach, a potem o wyprawie do Sydor na świąteczne uciechy i szedł gwizdząc, daleko kołując, zęby niebezpieczne trzęsawiska ominąć,

Zmierzch był, śnieg wciąż sypał i wichur hulał po łożach. Wtem Kasjan posłyszał ludzkie wołania, przystanął, począł uszu nadstawiać. Wołał ktoś, hukał, krzyczał kędyś w krekotach, w bezdrożu i trzęsawiskach. Inny chłop by uciekł, ale Kasjan w „złe” nie wierzył i zaraz zrozumiał:

— Ktoś się z drogi zbił i zawałił — mruknął i począł, odhukując, iść w stronę wołania.

I doszedł do halizny zdradnej, pokrytej lodem, na brzegu której szamotały się splątane w uprząż cztery konie, podczas gdy dwóch ludzi starało się na próżno dać jakiś ratunek. Lód się łamał, konie zapadały w odmęt torfu, nie było sposobu do nich dostąpić.

— A was co za licho w ten Pohybelnik zanioło? — zawołał Kasjan podchodząc. — Kto wy?

Skąd? — A wtem poznał Motolda i innym tonem dodał: — Oho, jak pan, to trzeba rady dać!

— A to cię Bóg zesłał! — rzekł Motold. — Powiedz no, gdzie my jesteśmy? Blisko Szafranka?

— Szafranka tam, het. Całkiem w innej stronie. Pan zbłądził. Już pan kuta nie będzie w domu jeść, a u nas w Czaharach. Żeby choć konie wyratować.

Po saniach wszedł na dyszel i począł ostrym nożem przecinać rzemienie i pasy, po szyję był w czarnym błocie. Konie się rzucały, biły go, zawziął się, jak on to umiał, obmotał jednemu lejcami tułów, zaprzęgli się z furmanem, wyciągnęli na brzeg, lejcowe, uwolnione z pasów, same wyrwały się na grunt, połapano je. Czwarty nie dawał znaku życia, opadał martwym ciężarem w czarną topiel. Kasjan jeszcze chciał go ciągnąć, dzwigać, ale Motold rzekł:

— Ten już przepadł, daj pokój. Życie położysz, zuchu — dla skóry. To nie warto. Ratujmy się teraz sami, bo pokostniejemy na śmierć.

— Ja taki skóry nie daruję, ja go wyciągnę po świętach, ale teraz święty wieczór zachodzi.

Chodźmy, panie, sanki zostawimy, nikt ich nie ruszy. Korne w rękę prowadźcie, ja pójdę naprzód, ino z mojego siadu nie schodźcie. A na początek niech pan wypije!

Podał mu baryłkę, potem napoił furmana, sam wypił i zabrawszy swój ładunek, ruszył.

Posuwali się powoli, kołując po niebezpiecznych przesmykach, i wreszcie wyszli z łoż i zarośli na szeroką płaszczyznę rzeki i ujrzeli przed sobą światła w Czaharach. Konie zarżały, do nozdrzy ludzi zaleciał zapach dymu i chleba.

— Oj, jak pachnie olej i pierogi! Czuje pan? — zawołał wesoło Kasjan.

Nagle stanął, zamyślił się i obyczajem chłopskim za uchem się podrapał.

— Proszę pana — rzekł wahająco — jak my na tamtym brzegu będziemy, to pan poczeka. U

nas jeden taki sekret, to ja muszę panience oznajmić, że goście będą na wieczerzę.

— Jeśli mogę zawadzać, to mnie wprost do Sydorów prowadź. Znajdę tam może furmankę do Łasicka.

— W Sydorach? A toć tam na całą wieś nie ma jednego konia, a woły po lodzie nie pójdą. Nie ma

rady, musi pan u nas nocować. W taki wieczór nie godzi się nawet wroga nie przyjmając, a panże panienczyny druh. Ja wiem! Chodźmy.

Na lodzie wody było pełno, ale rzeka stała mocno i przeszli bez wypadku. Kasjan skoczył do chaty i po chwili wrócił zdyszany.

— Proszę pana w gościnę! — zawołał. — Prosto do chaty, my konie umieścimy. Na samą wieczerzę my trafili, chwała Bogu! Oj, będziemy jedli jak wilki!

Motold poszedł na światło, na pół drogi wyszedł ktoś na jego spotkanie z latarnią. Spojrzeli na siebie i Motold zdumiony zawołał tonem radosnego podziwu:

— Waclaw! Ty tutaj?

— Dobrą masz pamięć, kiedyś mnie poznał. Ano, jestem tutaj, sam sobie nie wierzę. Skusiła mnie Zośka, przyjechała, namówiła, obiecała, że żywego ducha znajomego nie zobaczę. Jestem już dwa tygodnie.

— Widzisz, los cię ukarał, żeś i mnie do wszystkich zaliczył. Spadam wam na kark w taki wieczór.

— Snadź tak przeznaczone, byśmy byli razem po tylu latach i zmianach. Mówiliśmy o tobie przed chwilą, ale dlaczego się błąkasz w taki dzień i porę? Muszą być w śmiertelnym strachu o ciebie twoi w domu.

— Nikt mnie w domu nie czeka. Żona w Meranie od miesiąca, ja miałem interesy w Warszawie. Wracałem do domu także dla interesów. Obojętny był mi dzień i wieczór. Zbłądził

furman i żeby nie Kasjan, przesiedzielibyśmy do rana i wszystkie konie by przepadły.

— Przeznaczenie było — powtórzył Waclaw — byś miał tradycyjną wieczerzę i sam nie był.

— Pozwól mi dodać: i wśród swoich był. Podali sobie ręce i uścisnęli się w milczeniu.

Na progu ze światłem w ręku stanęła Zośka. Nie pytała o nic ani okazywała ciekawości i zdziwienia czy hałaśliwej gościnności. Uśmiechnęła się serdecznie, podała mu rękę i jakby był

jakimś bliskim, oczekiwanym, rzekła:

— Będzie panu miły u nas wczas i posiłek, bośmy panu bardzo radzi. Wacku, zaprowadź pana do swej klitki, niech się przebierze w twoje suche szatki — i proszę panów do stołu.

Motold z rozkoszą zmienił przemokłe i obłocone odzienie i przeszli do głównej izby. I on się rozejrzał po oryginalnym przystrojeniu, ale ani się dziwił, ani zachwycił. Czuł, że mu było dobrze, że coś w nim tajało. Stół był nakryty na troje. Nie było służby. Zośka podawała im potrawy, a gdy chciał ją wyręczyć, gdy się ceremoniował, rzekła:

— Zapomniał pan już naszą studencką równość i swobodę. Trzeba przypomnieć. Ja służę, bom

gospodyni, ale swoją część zjem razem z wami.

On kęs opłatka, którym się przełamali, zanim usiedli do wieczerzy, zatrzymał przed swym talerzem i rzekł do Waclawa:

— Wiesz, że to pierwszy raz od śmierci ojca spełniam ten tradycyjny obowiązek. Tyś pewnie także odwykł.

— Jadałem na Wilię baraninę z ryżem.

— A ja pieczoną gęś,

— Nie przechwalajcie się zbyt — zaśmiała się Zośka. — Zeszłego roku, żeby nie spędzać Wilii z Bajkowską, udałam febrę, a że mi się bardzo jeść chciało, gryzłam obwarzanki.

— Ale ledwie masz własny dach — wprowadzasz tradycję. Jesteś typowa kobieta.

— Nie wiem, dlaczego bym być miała typowym mężczyzną. Zresztą, żeby wam ta wieczerza nie była czymś ważnym w roku, nie wspominalibyście owej baraniny i gęsi. To jest drobiazg, ale zadaniem kobiety jest pamiętanie o drobiazgach. One stanowią o spokoju lub niepokoju domu, a dom to jest państwo.

— Zośka, ty prawisz, jak dobrze wymusztrowana panna na wydaniu. Wołasz na puszczy — on żonaty, a mojego zdania o kobietach już nie zmienisz.

— Kto wie — rzekła spokojnie. — Jeśli przeznaczone, to zmienię. To twoja zasada przecie.

Wyszła na chwilę do kuchni, Waclaw rzekł:

— To chyba nie bardzo zdrowa twoja żona, jeśli w Mera—nie zimuje.

— Zdrowa nigdy nie była, a w domu spędza ledwie parę letnich miesięcy. Nie lubi tych stron.

— Więc ty sam zawsze jesteś?

— Nie, mam dwie domownice: pracę i troskę. Jedna mnie z drugą godzi. Zresztą tak mało w domu bywam, że nawet nie wiem, jak by tam wyglądało bez nich. Może lepiej! Czy ty już tu zostaniesz?

— Nie wiem. O ile bym ludzi spotkać nie był zmuszony, zostałbym z Zośką. Dobrze mi z nią.

Dziękuję ci serdecznie, żeś jej ukrzywdzić nie dał. Teraz bezpieczna. Ludzie ją potępili — *ergo* nie będą jej dokuczać, no i nie pożą z wielkiej przyjaźni. Takiej, jak ona, w stadzie nie żyć.

Zośka wróciła, sprzątnęła ze stołu zastawę, postawiła butelkę wina, bakalie, papierosy, za nią Kasjan wniósł zapas drew na komin i począł rozpalać ogień. Już był przebrany, czysty, syty — i stosownie do uroczystości wieczoru podpity.

— A to panienska wie, że dziś cuda się dzieją? Bydło gada i my dostali coś od wuja panienski.

— Bajesz, możeś chyba tam co ukradł?

— Dalibóg, nie. Ja lubię wziąć, ale o co kto najbardziej zazdrosny, to tam nie zdużałbym i ja wszystkiego zabrać. Dała mi sama pani kiełbasy. Na zdrowie to ona nikomu nie pójdzie pewnie

— ale jest.

— Ale gdzieś ty wódki dostał? — zagadnął Waclaw.

— Oho, jak dawność zajdzie, to ja paniczowi rozkażę bajkę. Teraz to tą wódką można się tylko upić. Dobra ona była, niech panicz graf a spyta. Żeby ten dyszlowy umiał ją pić, toby nie zdechł. Teraz ja już sobie pójdę, paniensko. Samowar podam, drwa są, konie dopatrzone, furmana spoilem, śpi jak drewno — wszystko w porządku.

— W tę noc i zamieć pójdiesz? Żebyś nie miał biedy jakiej. Poczekaj do rana.

— Nijak ja się z panienską poładzić nie mogę. Rozumna panienska w każdej sprawie, ale w lubieniu, to panienska gorzej małej detyny.

Wszyscy się roześmieli, nawet chmurny Motold.

— Dlaczego? — spytał Waclaw.

— A bo tak. Mam ja cholere — dziewczkę. Powiedzieć prawdę: nie dziewczka, ale czort.

— Aha, ta, co to dębów chciała? — wtrącił Motold.

— Ale, chciała! Choroba na nią! Dęby dostała, a myśli pan, że dotrzymała słowa?

Szelmostwo, ten babski naród, zrobisz to co z nim po dobroci? Tyłem miał po dębach, co przed dębami — kułaki!... Skręciła się, dur ma w głowie. Przyjdzie chyba śmierć sobie zrobić —

ożenić się — tfu! Żeby w złą porę nie powiedzieć.

— Ja ci to dawno radzę, Kasjan — wtrąciła Zośka.

— Aj, panienski radzenie, to jakby mi cyrulik radził, gdzie więcierze zastawiać. Co panienska o tym wie? Tego w książkach nie uczą. Jedną babę sobie uwiązać na całe życie. A jak obrzydnie, to co? Sprzedam ją komu? Żebym nie wiadomo jak durnia spoił, to go jeszcze takim towarem nie oszukam. Utopić? Zawszeć to baba, nędza, gdzie by człowiek taką robotą się paskudził? Uciec i ją porzucić? Wstyd od baby uciekać, śmiech przed ludźmi! Nijak ratunku nie ma.

— No, to ją rzuć teraz — zaśmiał się Waclaw. Kasjan popatrzał na niego z politowaniem.

— Oj, paniczu, żeby to panienska powiedziała, ale panicz, to dziw! Kopę lat chyba panicz ma na jeden



bok, a pół kopy na drugi. Ot, to ja po swojemu zrobię, pójdę zaraz. Już jak człowiek do dziewczki się wybiera, nos za próg wytknie, a zimno i straszno mu stanie i do chaty wróci ranka i pogody wyglądać, to niech go mnichy postrzygą, a ta jego dziewczka także niewarta zdeptanego postoja.

— Dobrześ rzekł, zuchu — rzekł Motold. — Zanieśże jej gościńca ode mnie i proś mnie na wesele, bo widzi mi się, że tej klęski nie unikniesz.

Podał mu złotą dziesięciorublówkę, ale Kasjan ramionami ruszył.

— Tyle mi będzie z tego gościńca, co z tamtych dębów. Rozbestwi się do reszty, choroba. Nie chcę ja groszy pańskich, u nas swoich jest dosyć. Ja panienczyny komisarz, obrzydły mi pieniądze, tyle ich przejdzie mi przez ręce. Ale jak już bieda do wesela dopcha, to taki panu słowo przypomnę i poproszę! Hospody! Boże! Wesele! To i kołyska po te: będzie. Kasjan dzieci hoduje. Tfu, jak ja wtedy wilkom oczy pokażę? Oj, i pomyśleć straszno! No, dobranoc, zostańcie zdrowi!

Skłonił się, Zośka mu dała kobiałkę jabłek i orzechów, jakiś zwitek jaskrawych szmat dla lubej. Oczy mu się zaśmiały radośnie i w progę już rzekł:

— Jak panienka kiedy jakiego panicza polubi i zmówią się ze sobą, a trza mu będzie pięć mil kartę zanieść, to ja w taką samą noc pójdę i ptakiem zalecę!

— Weź strzelbę, Kasjan, dla pewności i nie pij więcej — poradziła mu życzliwie.

— Zośka — zaśmiał się Wacław. — Tyś chybiła powołaniu. Powinnaś była wstąpić do menażerii jako poskromicielka dzikich zwierząt.

— Bardzo proszę memu Kasjanowi nie ubliżać.

— Ja mu nie ubliżam zestawiając z dzikim zwierzem ani tobie wielkiej chwały nie przyznaję.

Człowieka byś nie poskromiła. W tej sztuce mądrzejsi od ciebie przez wiele wieków nic nie uczynili.

— Jednakże — uśmiechnął się Motold — nauczyli go przynajmniej udawać dobro.

— A kryć się z prawdą i rzeczywistym dobrem jak ze słabością — wtrąciła Zośka, ale wnet dodała: — Lecz tu nie ma ludzi, ja nawet zaczynam zapominać, że w ogóle gdzieś są. Tu jest spokój.

— Tu się czuje duszę — szepnął Motold zamyślony, a potem jakby się otrząsnął, spytał: —

Jakże tu pani żyje? Nie nazbyt ciężko i trudno?

— Ależ wcale. Finansowo jest mi bardzo dobrze, a duchowo nie może być lepiej. Moi dwaj opiekunowie: Kasjan i Miron z Ługów, pomimo wielkiego posłuszeństwa, traktują mnie trochę jak swoje dziecko, otaczają aż wzruszającą starannością i opieką. Chłopi z Sydorów służą patriarchalnie, przecie co tydzień każda chata z kolei przysyła mi stróża, sami ułożyli ten porządek; na każde wezwanie stają ludzie do roboty i pomocy, nigdy się nie targują. Co prawda, błogosławiony to zakątek, nikomu nie braknie chleba i paszy, daleko do miasteczek, nie ma szynku, nie potrzeba

pieniędzy. Chłop syty, pola i paszy ma w bród, nie potrzebuje kraść. Moje warunki są tego rodzaju, że ani ich wyzyskiwać, ani obciążać nie mam potrzeby. Mam z młyna i ryby dostatek, oni za wypasy obrobią folwark, możemy utrzymać patriarchalny stosunek i żyć w zgodzie ze sobą. Takem tu w pierze porosła przez to lato, że założyłam sobie nowy dwór. Takam panu wdzięczna za opiekę w dziale, takam wdzięczna!

— Więc panią już nie kusi szeroki świat? Nie odejdzie stąd pani?

— Nie. Zostanę! — odparła podnosząc nań oczy.

Sekundę spotkali się wzrokiem.

— To dobrze — rzekł mimo woli. Zapanowała chwila milczenia.

— Zagraj co, Zośka — ozwał się Wacław nalewając wina w kieliszki i trącając się z Motoldem.

— Wypijmy, Kostek, za nieboszczkę młodość naszą. Pamiętasz ten wieczór u Bohdańskich, jakem egzaminy zdał, a ona gimnazjum skończyła! Świat się już chwiał, takeśmy go z posad ruszali.

— A myśmy się rozjeżdżali niby to na „tymczasem”. Ty na tę sądową praktykę, a ja na tę posadę do Łodzi, ona do domu, na wakacje! No, i dotąd trwa to „tymczasem”, do końca życia

„tylko”!

Wypił trochę wina i rzekł ciszej:

— Ciało dłużej żyje niż dusza.

Zośka musiała słuchać, z cicha dotykając klawiszy, bo obejrzała się i miała w oczach swój zwykły, promienny blask.

— Ale ciało idzie powoli, lecz nieubłaganie do zimy, a dusza ma listopady i znowu kwietne maje, nieśmiertelna i potężna jak przyroda.

Uderzyła akord, popłynęła melodia.

Obadwa podnieśli głowy i uśmiechnęli się. Słuchali jakby jakiejś dawnej pobudki i pierwszy Motold nucie począł.

— Zapomniał pan słów? — spytała.

— Nie.

— No, to śpiewajmy. Dalej, Wacek.

I zaczęła jedną z tych pieśni młodych, które tworzy każde pokolenie, które potem zostają wspomnieniem studenckiej ławy, zapisane tylko w pamięci.

*Przeminął maj — opadł kwiat,*

*Ale my, bracia, razem,*

*Wznój lata idziem, w czynu świat*

*Za myśli swych rozkazem.*

Śpiewali zwrotkę już wszyscy troje, rozchmurzyły się czoła, całe lata ujęła im pieśń młodości.

*Jednacy w myśli, byłe iść*

*Za słońca dusz obrazem.*

*Choć wicher zły omiecie liść,*

*Zostaniem, bracia, razem.*

Wypili do dna wino i podeszli do fortepianu. Motold wziął skrzypce, popróbowwał wtórować.

Zośka śpiewała dalej.

*Śnieżna zadymka drogę zamiecie,*

*Nie zbłądzim, póki razem*

*I nie zginiemy w boju na świecie.*

*Hej, bracia, byle razem!*

— Daj no, fuszerujesz! — rzekł Wacław odbierając skrzypce. — Musiałeś dawno nie grać.

— Nigdy, od studenckich czasów — odparł Motold.

— Słysząc to, pilnuj komina, bo przygasa. My z Zośką grywamy co dzień. Ja na Kaukazie żyłem ze skrzypiec, grywałem na weselach. Dużo mi lepiej służyły niż mój dyplom jurysty. Weź

no, Zośka, *Winterreise* Schuberta.

Zaczęli grać, a Motold podsyczał ognisko i słuchał patrząc w płomienie. Muzyka zagłuszała wycie wichru, a może i zgrzyty w jego duszy. Wcale się nie czuł na świecie, był w jakiejś ciszy pełnej harmonii, zupełnie od czasu, bytu, rzeczywistości oderwany. Po długiej chwili zadumy podniósł oczy na Zośkę i wpatrzył się w jej profil z takim zajęciem, jakby ją pierwszy raz widział

albo był jej bardzo ciekawy i miał w głowie pilne bardzo pytanie. Ona czuła ten wzrok, zawadzał

jej, zmarszczyła brwi skupiając uwagę na nuty, wreszcie przerwała grę, obejrzała się.

— Spocząć pan pewnie rad po przemęczeniu? — rzekła wstając.

— Ja to właśnie czynię — odparł oddychając głęboko. — Grajcie jeszcze! Tak tu dobrze.

Podawała im herbaty i wróciła do pianina. Oni zasiedli u ognia i Wacław spytał:

— Siedem lat tu działasz, myślisz i tworzysz. Nauczyłeś czegokolwiek, poruszyłeś te drzemiące masy, czujesz postęp?

— Czuję się przede wszystkim nie lubianym, następnie krytykowanym, wreszcie zupełnie odosobnionym. Nie rozumiemy się, ustąpić mi często muszą, przekonani nigdy nie są. Zresztą jest po temu pewna racja; nie mogę być apostołem, bo okoliczności tak się złożyły, że stałem się sprytnym aferzystą. Żeby tu przyniósł tylko pracę i zdolności, może bym więcej wpływu miał, a w każdym razie nawet w niedostatku silniejszy bym się czuł. Ale ze mną przyszły tysiące mojej żony, uczyniły mnie bez pracy magnatem, i to jedno będą ludzie tylko widzieli w mym życiu —

tym mnie pobiją.

Chwilę milczał, w żar zapatrzony, i powoli dodał:

— Mają rację, tym się zabiłem — i sam.

— Dzieci nie macie?

— Nie — ale to mniejsza. Ty myślisz, że w razie jej śmierci — stracę miliony? Zapewne, nie łudzę się, życie jej to rzecz nawet nie lat, miesięcy. Suchoty nie przebaczą, matka jej umarła w trzydziestym roku. Gdy brat jej odbierze jej posag, Łasick będą musiał sprzedać. A jednak nie żałuję, że nie mam dzieci, nie chciałbym ich mieć. Dobrze, może to jedno mnie cieszy.

Wacław popatrzył na niego, głową pokręcił.

— Toś ty, bracie, diabelnie ciężką drogę odbył, żeby do takiego celu i takiej pociechy dojść.

Motold się dziwnie uśmiechnął.

— To dobrze, że nikt o tym nie wie!

— No: i o dalej będzie?

— Dalej już nic.

— I tak myśląc, masz siłę jeszcze pracować?

— Czy się pytają trybu w maszynie, czy chce? Jest trybem, więc swoje robi — aż pęknie.

— Nie umiałbym tak. Na mnie, jak klęska przyszła, tom podruzgotał wszystko, całą maszynę diabli wzięli.

— Bo na ciebie złe przyszło nagle — udar, grom. Zmiażdżyło cię — moment! Mnie zło toczyło powoli, co dzień, co noc — ile godzin przez siedm lat. Odbierało złudzenie po złudzeniu, myśl po myśli, słowo po słowie, po trochu, stopniowo, nieznacznie. Zużywał się, ścierał tryb, ale szedł — i idzie! Zresztą tyś mógł druzgotać, ja musiałem cierpieć.

Zośka grać przestała, uklękła przy kominku, poprawiła ogień i rzekła:

— Ja mam prośbę do pana. Czy pan kiedy był w Filipowie?

— Nigdy.

— To pan i Kazimirki nie zna?

— Nie.

— To jest kościółek wśród lasu. Taki stary, taki biedny — i taki bez parafian. Dawniej cudami źródło tam słyneło, były pielgrzymki i odpusty, teraz w ruinę wszystko upada. Ksiądz ma lat więcej siedmdziesięciu — święty; do kościoła deszcz leje, dzwonnice bez dachu, źródło rzesą zarosło. Niech pan uczyni, by to można było naprawić.

— Dobrze, niech pani będzie pewna, że się zrobi. Daleko to stąd? Musiałbym być na miejscu, z księdzem się porozumieć,

— Pojedźmy razem. Gdy droga się poprawi, wstąp do nas — rzekł Waclaw. — Ona mi cuda opowiada o tej pustelni.

— Cudnie jest latem, byłam tam w sierpniu. Co za ksiądz! Takiegoście w życiu nie znali.

— Pojedziemy — ucieszył się Motold. — Ale tymczasem ja jeszcze nie wiem, jak się do domu dostanę. Sanki na błocie, koni brak, uprząż w strzępach.

— Ja się dziwię, że ciebie jeszcze z obławą nie szukają.

— Jeszcze nie jestem potrzebny — odparł. — Święta, nikt o mnie nie myśli.

— Kazałam rano memu stróżowi iść do Ługów. Tam są konie i zaprzęgi. Jak pan zechce wracać, to wszystko się znajdzie.

— Do czego on ma wracać? Niech siedzi! — zawołał Waclaw.

— Kiedym i tu niepotrzebny.

Zośka spojrzała nań bystro, zmarszczyła brwi.

— Oddał mi pan za to, com kiedyś rzekła na salce u Bajkowskiej. Nie godziło się karać, było mi i tak śmiertelnie przykro. Niepotrzebny pan tu tak samo, jak i on niepotrzebny. Myślał pan to, co powiedział?

— Nie myślał, ja ręczę. Chciało mu się zaprzeczenie posłyszeć i tyle — zaśmiał się Waclaw.

— No, a teraz, kiedyś komplementu się dopytał, chodź spać. Jeszcześ w takiej klitce nigdy nie nocował.

Klitka to była przerobiona ze spiżarni, akurat tyle miejsca, co w okrętowej kajucie. Zasnęli rychło kamiennym snem, aż się Motold zdumiał, gdy się ocknął i ujrzał, że wielki dzień już był.

Waclaw jeszcze chrapał, wokoło panowała cisza i słońce świeciło.

Drzwi się uchyliły od sieni, zajrzał furman Motolda.

— Proszę jaśnie pana, Miron z Ługów jest i ma właśnie taką klacz, jak nasza utopiona. Może ją pan obejrzy.

— Zaraz. Daj mi wody i daj ubranie, co się suszy w kuchni.

Waclaw się obudził, usłyszał.

— Co? Już jest cygan Miron. Pewnie ci chce wsadzić jakąś narowistą szkapę. Każ go wygnąć, najlepszy zrobisz interes.

Zaczęli się ubierać i wyszli przed chatę. Jasno było, cicho, ale odwilż trwała. Zadyмка obieliała ziemię — i wesoły był widok z góry na srebrny od słońca krajobraz.

Cała Zośki chudoba, dwie krowy i klacz, piła z przerębli wodę, a ona sama wracała od młyna z Mironem. Powitali się. Motold spytał o klacz i Miron ją wnet ze stajni wyprowadził. Podobała się Motoldowi, spytał o cenę, i w parę słów dobili targu.

— Umiesz konie chować, Mironie! — pochwalił dając mu pięć rubli oduzdnego — ale teraz jestem na waszej łasce. Albo pošlij kogo do Łasicka po inną uprząż, albo mnie jakoś do domu odstawcie.

— Odstawimy, jasny grafie. Na rękach zaniemiemy, kiedy nie będzie można inaczej. Na noc mróz weźmie niezawodnie, jutro można będzie jako tako jednym koniem przesunąć się.

— Chodźcie na śniadanie tymczasem — zawołała Zośka. Wrócili do izby i ani się spostrzegli, jak przegawędzili wesoło parę godzin. Pod wieczór się miało, gdy ukazał się Kasjan i z progu rzekł:

— A na co pan klacz z Ługów kupił, kiedy tamta pańska żyje.

— Żyje, skąd wiesz? Byłeś przy niej?

— A byłem. Tak sobie leży na środku chaty Nauma i tyle nad nią bab, jak nad położnicą.

— W chacie? Czyś ty w malignie? — spytał Waclaw, a Zośka dodała:

— Doprawdy, uratowaliście ją?

— Mnie dumka trapiła idąc dziś w nocy, że jak przez święta w błocie poleży, to skóra się zepsuje, więc jak ja tylko do Sydorów przyszedł, tak gwałt uczynił, zwołał całą wieś i mówię:

„Wiecie wy, w błocie naszym na Pohybelniku utopiła się grafska kobyła, a wiecie, ja miał ciotkę

— bardzo znająca była, wszystkowiedząca znachorka, słyszeli wy pewnie, ta sławna Pruska ze Szczepek, co to w sto lat umarła, a jak wiek długi się nie myła, jak, wiadomo, świątobliwe i uczone ludzie zwykli czynić”.

Słuchający wszyscy parsknęli śmiechem, ale Kasjan wcale nie żartował, ujął się za ciotką.

— Pany się śmieją, a to prawda jest. Nigdy się nie myła, a taki w czystości pomarła i sto lat wieku dożyła.

— Bardzo jednak dobrze, że jej nie naśladujesz, wyszorowany jesteś dokumentnie —

uśmiechnęła się Zośka.

— Taki też ze mnie dureń, co na jedną znarowioną dziewczkę sposobu nie mogę znaleźć, a ta Pruska na wszystkie zarazy sposób znalazła. Ona też nijaka moja ciotka nie była, ale co sydorcom do tego. Więc ja im mówię: „Słuchajcie, ludzie, z tej kobyły może być na was wielkie nieszczęście, ot, ja zaraz o pięć wiader spirytu w zakład idę, że do przyszłych kolęd nie zostanie w Sydorach ani jednej sztuki bydła”. Porozdziawiali gęby ze strachu, ani słowa nie wypuścili ze siebie. Tak ja mówię: „To tak kiedyś było w Szczerbie, znacie sioło za Łasickiem, zaczął mór mieść bydło jak muchy, do Jana zostało na całą wieś siedm wołów, a bywało sto! Poszli ludzie do Pruski, a ona od razu powiada: «Nie utopiło wam się co we wsi w kolędną noc?» Przypomnieli, prawda, kobyła się utopiła u jednego, co tej nocy z miasta jechał. Tak pyta: «A dobyli ją?»»,

«Nie» — powiadają. «No, to — powiada — sprzedajcie lepiej zaraz resztę bydła Żydom, bo u was pozdycha do ostatniego cielęcia, albo tę kobyłę doładźcie i pochowajcie jak człowieka, bo w kolędną noc wszelki zwierz duszę ma i jak wtedy przepadnie, to — jak człowiek nie pochowany

— chodzi i dusi żywioł w tej wsi, i nie podaruje nikomu». To te szczerbowce potem tydzień kości tej kobyły szukali, aż znaleźli, włożyli w trumnę i pochowali koło moglic ludzkich, i od tego dnia mór ustał”. Jak ja rozpowiedział, tak moje sydorce od razu: „A gdzie ta grafska leży?” Już im nie do zabawy ni do picia, ni do jedzenia, ni do spania. Krzyczą: „Prowadź, my nie durnie, zgubę do siebie dopuszcząć”. Polecili po sznury, po woły, po sanie, po drągi, jakbyś mrównik kopnął. Jak się zebrali, powiadam: „Cztery się topiło, ja trzy wyratowałem, a u nas tylko dwie krowy dobytku, wy w czterdziestu jednej nie wyciągniecie — tam i tam leży!”. Polecili hurmą, całą noc ich nie było, nad ranem wloką na saniach, a wszyscy czarni, obmazani błotem, z głowami pokapani, ale kobyła jest. Wyszedł ja do niej, macam, jeszcze nie całkiem zdrewniała.

Powiadam: „Dawajcie do chaty, grzejcie, rozcierajcie, jak odżyje, będą wam się krowy bliźnić”.

To jakbyś babom dał wódki z pieprzem i z miodem, takiego ruchu nabrały. Biły się, do której chaty wnieść, która pierzynę podścielę. No, i jak rozgrzali, roztarli, zaczęła kobyła stękać i będzie

jednakowa. Skóra mi przepadła, ale nic to, niech żyje stworzenie. Głupie, bo głupie nasze sydorce, ale warte łaski, o którą pana chcą prosić.

— Weź i daj im ode mnie sto rubli.

— Po co? Oni i tak pieniądź, jak dostaną, to chowają jak sroki po dziuplach, nigdy nie wydadzą. Niech im pan pozwoli ule zaciągnąć na dęby w Szafrance; przez sen o tym dumają, a Niemce nie puszczają. Da pan im kwit, to za pana w ogień i wodę pójdą.

— No, a cóż z twoją Liktą? — spytał Wacław.

— A cóż z taką bestią? Jabłka, co od panienki dostałem pojadła, orzechy pogryzła, w chustkę się ubrała, paciorki poczepiła i chodzi jak pawa po wsi. Tyle ze mi rano głowę w kwasie umyła i koszulę czystą oblekła; a dotknął się, to, ot!

Pokazał na siniak pod okiem i dodał zwracając się do Zośki:

— Parczewska na mnie złuje. Kiełbasy nie chce dać. Niech jej panienka co rzeknie, bo i do kuchni nie puszcza. Pakowali mnie do ostrogu, karali na różny sposób, a taki takiego nakarania, jak z babami się użerać, to chyba na Sachalinie — wyspie nie ma... Tej się znowu kwoki zachciało, bierz, skąd chcesz, dawaj na kolędy kwokę — słyszane rzeczy! Żeby na świecie była, toć by ja dostał — nie ma! A baba w kółko jedno — kwokę dawaj, bo do kuchni nie puszczę.

Zośka śmiejąc się wyprowadziła go i użyła swej protekcji u gospodyni, bo po chwili uciszyło się w kuchni.

Wieczorem, na saniach wysłanych suto słomą, sydorce przywieźli klacz. Zmęczona była, słaba, ale żyła i zaczęła jeść. Chłopi otrzymali cel swoich marzeń, kwit na prawo stawiania kłód pszczelich w Szafrance, uszczęśliwieni, przy wlekli w mig sanie Motolda i uczestowani przez Zośkę, odeszli, obiecując nazajutrz grafa przeprowadzić sobie tylko znanymi szlakami wśród bezdroży.

Jakoż nazajutrz zjawił się Miron z koniem i małutkimi sankami, dziesięciu chłopów z pieszniemi, Kasjan założył Zośki klacz i przeprowadzili Motolda kęs drogi oboje Janiccy, psy czaharskie, a już najdalej poszło za nim dobre wspomnienie tych dwóch dni, tak innych od jego zwykłego życia. Umówili się o wycieczkę do Kazimirki, ale odwilż trwała. Po paru dniach zerwała się wszelka komunikacja, jeszcze sydorcy z narażeniem życia odstawili do Łasicka sanie i konie grafskie. Potem Czahary stały się niedostępnym punktem i widocznie nie było ludzkiego sposobu wydostania się stamtąd, bo nawet Kasjan nie pokazywał się u Likty.



## VII

Niedzielne kwietniowe popołudnie było nad wyraz ciepłe i ciche. Najlżejszy powiew nie poruszał pławika wędki Wacława i widać było w czystej toni ciągi ryb koło haczyka, a głębiej zieloną łakę dna wodnego, a nad czółnem w zatoce zwieszały się kiście łożowych „kotków” i osypywały złotawym pyłem włosy Zośki.

Zatoczka była opodal od szlaku wodnego, utajona w gąszczach. Przy płynęli tu z nowego dworu, korzystając ze święta, na czytanie i marzenie. Zośka czytała *Życie pszczoł* Maeterlincka, Wacław bawił się wędką, wokoło nich rozmarzającą pieśń grała przyroda i nadmiar życia dyszał, zda się, w powietrzu.

Wacław roztargniony był, ryby zrywały przynętę, nie uważał, niewiele co słyszał z czytania, nasłuchiwał na dalekie strzały, wreszcie przerwał.

— Nie wiesz, gdzie to polują?

— Zapewne w Szafrance. Kasjan w niedzielę nie strzela. Wacław wędkę zwinął, wyciągnął się w łodzi na sianie i patrząc w niebo rzekł:

— Zośka, czy ty go zawsze kochasz?

— Kogo, Kasjana?

— Nie żartuj, wiesz, kogo. Milczała patrząc w książkę.

— Nie rozumiem twego pytania — odparła wreszcie. — Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek poruszali kwestię moich uczuć, więc doprawdy nie wiem, o kim myślisz. — Było więc kilku. Za naszych czasów był jeden, więc potem byli następcy. Wszystkie kobiety takie same.

— A tyś miał jedną?

— Myślisz, że więcej; dość jednego kata. Dla drugiej nie zostawiła nic prócz ohydy. Zabrała wszystko, splugawiła wszystko.

— Było przy niej zostać, bo to była prawdziwa miłość, taka, co daje życie lub śmierć.

— Żałuję też, że nie zdechł, bo i po co to trwanie.

— Czy ona cię zdradziła?

— Gorzej, bo udawała, kłamała, oszukiwała, krzywoprzysięgała, nie było podłości, której by nie uczyniła, i ja taką ubóstwiałem.

— I co się z nią dzieje? Możeś zabił? — spytała cicho.

— Znadtom czuł wstrętu, żeby zabić. Co się dzieje? prostytutką pewnie jest.

— Biedna — szepnęła Zośka.

— A ja? Mnie nic? — rzekł ponuro.

— Tyś wolny przynajmniej. Jeżeli zaś kłamała ci, może niedola ją tego nauczyła. Widzisz, człowiek wolny, niezależny, szczęśliwy nie kłamie nigdy. Dlatego mi jej żal. Tyś cierpiał — a ona, jeśli tym jest, co mówisz, cierpieć nigdy nie przestanie, bo wybaczyć, ale taka, którąś ty wybrał, z powołania prostytutką nie zostanie. Znam cię i pewną, że jeśliś kochał, to nie tylko zmysłami, i ona musiała mieć duszę.

— Miałem to złudzenie, poszło w to samo błoto, gdzie i wszystko. Kiedyś ci wszystko opowiem, dziś mi dość wstydu i wstrętu z tych wspomnień i niech się pogodzę z tą myślą, żeś i ty jak wszystkie. Kobieta będzie kochać sto razy i zawsze będzie przysięgać, że tak kocha pierwszy raz. — *A chaque amour la femme se croira devenir vierge* — jak ktoś powiedział.

— Pewnie autor, nie autorka — uśmiechnęła się. — Zresztą, kto by nie powiedział, znajduję bardzo śmiałym, a ciasnym wydawanie zdania o wszystkich kobietach na zasadzie doświadczenia osobistego na kilku egzemplarzach. To trochę znadto zoologicznie. Ja też nie jestem „jak wszystkie”, bo w kwestii długów uczuć i myśli nie ma „wszystkich”, każdy i każda jest inny.

— No, więc, Zośka, tyś się nie zmieniła? Przecie pamiętam cię wtedy w Warszawie. Zaprzyj się, żeś kochała.

— Nie potrzebuję się zapierać, bom ci zwierzeń nigdy nie czyniła.

— Ty i zwierzenia. Rozumieliśmy się i bez tego, Dziś mnie ogarnął taki smutek nad moją duszą, tak martwą i zimną wobec tej wiosny świata. Myślałem, że i w tobie żal znajdę, pożalimy się nawzajem. No, że ci też gorzko, to wiem, tylko z ciebie i tortury nie wyciągną skargi.

Zośka, zamiast odpowiedzi, podniosła głowę na daleką wrzawę. Krzyk słyhać było, szczekanie psa, potem strzał i znowu wrzaski.

— To już na naszym jakaś awantura! — rzekła. — Pewnie Kasjan z Niemcami z Szafranki się pobił. Trzeba wracać do domu.

Wzięła wiosło i odepchnęła czołno. Wacław ani się poruszył — jakby nic nie słyszał.

Wysunęli się z zatoczki. Wrzask trwał, zbliżał się, było w nim już jakieś wycie i zawodzenie.

Zośka skręciła na stare młyniszcze i spomiędzy olch i dębów wynurzyła się jej osada. Na wytrzebionej polanie stał nowy domek, już zamieszkały; wokoło sad był już założony. Drogą była rzeka, zajazdem wybrzeże ujęte w drewniany burt, z kilku stopniami do wody.

Łódka stanęła, umocowała ją Zośka łańcuchem do pala i wyskoczyła na ląd, patrząc z niepokojem na wejście do zatoki. Wsunęło się w nią właśnie chłopskie czołno, poznała Nauma i Likę nad leżącym

na dnie Kasjanem.

— Co tam? — zawołała Zośka.

— Zabili go Niemce, zabili! — jęczała Likta.

Jakoż Kasjan leżał okrwawiony i bez ducha. Na hałas wybiegła z domu Parczewska, chłop, parobek, psy, gromadka utworzyła się na brzegu i lament ogromny się podniósł. Chłopi wzięli na ręce Kasjana, wtedy począł głucho stękać i broczyć krwią z boku. Położono go w kuchni i Zośka z Wacławem zrobili pierwszy opatrunek.

— Nabój śrutu dostał, ale zdaje się, tylko w mięśnie poszło. W każdym razie posyłaj po doktora.

Ale Kasjan się ocknął z omdlenia i zajęczał:

— Nie chcę doktora. Zarżnie. Nie chcę, nie chcę! Jak od razu nie pomarł, to zostanę. Niech sprowadzą Mirona, on znający, i baba niech krew zamówi. Oj, teraz jak ja wstanę, nie będą oni chodzić po białym świecie.

Zośka wyprawiła parobka do Łasicka po doktora i zwróciła się do Nauma.

— Co to było? Gadaj!

— A, ot, pojechali my dziś z nim do hatu ryby zobaczyć, a Liktę mieli podwieźć do Szafranki, do Niemkini po zarobione pieniądze. Aż tu patrzym koło hatu, na naszym, Niemcy i jakiś pan w czółnie na kaczki polują. Kasjan zaraz do nich: „A to u was mało swoich kaczek”. Ja go trącam:

„Porzuć — pan jest”, a on ryzyka nabrał tylko: „Co mi pan, ja tu pan, a on złodziej!” — krzyczy.

„Taj — powiada — oddawajcie strzelby”, a Niemiec się drażni: „Chodź, weź!” Zaczęli się łącać, a ten pan krzyknął: „Won, chamie!” Tak się Kasjan zbiesił i wprost na nich płynie, a potem chlust w wodę, ich czółno chwycił i powiada: „Oddawać strzelby albo was tu z nimi potopię”.

Tak ten palnął, a Niemiec przez łeb mnie wiosłem machnął i uciekli. To żeby nie Likta, co za nim wlaźła w wodę, toby tam i został, bo ja tak zdurzał z bólu, że świata nie widział. Likta go złapała i ciągnęła do czółna, taj przywieźli. Już i ryby nie patrzali w koszach.

— Odniosą mi te strzelby, w zębach odniosą! — wtrącił zajadle Kasjan.

— Ale to nie graf przecie był? — spytał Wacław.

— Gdzie zaś, jakiś cudzy, cudacznie ubrany, może jaki swojak tych Niemców, bo też rudy jak wiewiórka.

— Po coś ich zaczepiał? — upomniała Zośka — ty żyć nie możesz spokojnie.

— Ja nie Żyd nauczny, żebym się kiwał w święto nad Biblią. A Niemce to nie wodzili mnie kiedyś,

jak aresztanta, do Łasicka, nie czepiają się o byle co? A taki cudzy jakie prawo ma do mnie: „Chamie” — mówi! On nie mój pan! Czarną łatę nałoży byle kto i pana udaje, hycel!

Łasicki pan niech mnie chamem woła, to racja, jego dziad mego dziada w skórę bił — pan był. A taka wywłoka cudza, może gdzie padlinę łupił, zabogacił się ze zdechłych końskich skór — i chamem mnie nazywa. Żeby on panem był, toby cudzych kaczek bez pytania nie strzelał!

— Kasjan, nie gadaj tyle i nie złość się. To ci niezdrowo, gorączki dostaniesz. Nie chce ci się pić?

— Nie, Niemców by chciał porozdzierać!

— No, na to musisz być zdrów przede wszystkim.

— Miałby zginąć z takich rąk — niedoczekanie! W taką porę leżeć trzeba. A tam co dzień płyty idą, groble nam rozbijają. Trzeba tobie, Naum, zaraz z Sydorów dwóch chłopów w pomoc młynarzom posłać, a zapowiedz, że jak szkoda jaka będzie, to niech no wstanę — pogadam z nimi.

Tak się rzucił i odgrażał, że musiała Zośka kazać wszystkim się oddalić i została tylko nad chorym stara Parczewska, której się trochę bał i szanował, jako karmicielkę.

Gdy wieczorem przybył doktor, zastał go w gorączce. Wacław opowiedział mu przypadek,

— Baron Nolten inaczej rzecz przedstawił — odparł lekarz. — Może mieć grubą nieprzyjemność, jeśli policja i sąd się w to wmiesza.

— Pan Motold jest w domu? — spytała Zośka.

— Nie. Ma wrócić jutro rano. Będzie rad z wybryku szwagierka.

Janiccy nie pytali o nic, ale lekarz, który w Łasicku stale mieszkał, zaczął ich zabawiać sprawami chlebowców. Naturalnie krytykował.

Okazało się, że w życiu domowym Motold najmniej miał głosu, prawie gościem i obcym był.

Dworem i domem trzęsła kuzynka Motoldowej — jej *dame de compagnie*, bezdzietna wdowa, pani Bartens. Młody Nolten przyjeżdżał co wiosny i jesieni na polowania, zwykle z kolegami, tym razem był sam. Motoldowa dogorywała w San Remo. Nolten uważał już Łasick za własny, wydawał rozkazy i rozporządzał się jak u siebie. Czuć było, że go doktor nienawidził, że cieszył

się z awantury, którą mieć będzie, radził już, jak sprawę rozpocząć.

Ale Zośka rzekła spokojnie:

— Przede wszystkim chodzi mi o życie i zdrowie tego człowieka. Sprawa sądowa nie moja rzecz — ani będę żałować pana barona Noltena, jak będzie miał słuszną karę. Jako człowiek kulturalny bardzo zawinił.

— Dlaczego pani przypuszcza, że on ma kulturę, po co mu to, gdy ma miliony? Zapłaci chłopu za krew.

— Ten chłop pieniędzy nie weźmie. Za tego ja ręczę, że drożej się będzie cenić.

— Jakże?

— Niech go pan Nolten spyta. To między nimi sprawa. Ucieszyło to doktora i odjechał rad nowinom, którymi dokuczy „panom”.

Nazajutrz zjawił się z Łasicka oficjalista i ustnie załatwił dane sobie polecenie, że pan baron przysyła chłopu sto rubli na kurację. Zośka ruszyła ramionami.

— Powiedźcie mu to, leży w kuchni,

Ale Kasjan na tę propozycję zgody od razu jęczeć przestał i o słabości zapomniał.

— Won, sobacze mięso! — krzyknął. — Skóra moja mu warta sto rubli, hyclowi! Myśli, że ja pies. To ty jemu powiedz, że on na moją nie „czymbar” (garbarz), ale on mnie swoją da. Ja go sam obłupię.

Dodał przy tym życzenie co do stu rubli — niegodne powtórzenia w piśmie — i tyle dosadnych epitetów pod adresem Noltena i posła, że tenże co rychlej zabrał się z powrotem.

Następnego dnia Waclaw popłynął do młyna, a Zośka doglądała chorego, gdy wyjrzawszy oknem na ujadanie psów, ujrzała czółno, w nim Motolda, i domyśliła się w drugim Noltena.

Wyszła wtedy przed dom i przywitała spokojnie. Motold przedstawił szwagra i zaraz rzekł;

— Domyśla się pani, dlaczego jesteśmy Wróciłem zaledwie dzisiaj i dowiedziałem się o niefortunnym wypadku. Jakże się ma mój przyjaciel i zbawca?

— Będzie żyw, dzięki Bogu, ale długo przecierpi.

— Nie uwierzy pani, jak mi przykro — rzekł Nolten. — Nie śmiałem zjawić się tu, jako nieznajomy, czekałem na szwagra, inaczej wprost tu bym po awanturze się stawił, wytłumaczył i przeprosił. Zresztą, żebym przypuszczał, że to pani służący, nigdy by coś podobnego się nie stało.

— To, proszę pana, bardzo wątła obrona — uśmiechnęła się. — Czy pan nie strzela tylko do czyichś służących?

— Nie, nie to miałem na myśli! Nie strzelam w ogóle do ludzi, ale wiedząc, na czyim gruncie poluję, sam bym osobiście odniósł strzelbę i oddał się na pani sąd.

— Czy pan pytał, na czyim gruncie poluje?

— Wyznaję, że nie, ale ten chłop nie dał mi przyjść do słowa i myślę, gdybym go był nie

obezwładnił, potopiłby nas bez ceremonii. Woda była zaś zbyt brudna, a mój garnitur za świeży, żeby mi się ta kąpiel miała podobać — dodał żartobliwie.

— Słyszałem — wtrącił Motold — że Kasjan bardzo niepolitycznie przyjął posła zgody. Może dla mnie będzie łaskawszy, przez wzgląd na bliższe stosunki.

— Niezawodnie. Tylko pan sam niech go odwiedzi, bo za całość pana Noltena nie ręczę — dodała z uśmiechem.

Wskazała Motoldowi drogę do kuchni, sama wprowadziła obcego gościa do domu. Rozejrzał się ciekawie po pokoju i rzekł:

— Dzisiejszy dzień robi na mnie wrażenie przeżytej bajki: odwiedziny u leśnej królowny.

Jakie fantastyczne, a urocze to całe pani królestwo, jakie przy tym stosowne otoczenie do pani postaci. Prawie rad jestem swemu wybuchowi, że mi dał poznać czary tych stron. I pani tu tak sama mieszka?

— Królowny z bajek zwykle bywają samotne.

— Miewają czasem straszne ciotki–ropuchy.

— Ja należę do zupełnie samotnych co do ciotki. Mam za to brata, ale ten także nie przypomina w niczym smoka–stroża, tak jak zresztą ja nie czuję się w roli zaklętej królowny.

Mieszkam sobie najbardziej po filistersku we własnym majątku i domu, a że posiadam w większej części wodę i z niej żyję, zbudowałam nad nią gniazdo — obyczajem błotnego ptactwa.

— Cudownie tu jest! — powtórzył zachwycony, patrząc to na nią, to na widok przez okno.

— Łasick ma pewnie tysiące podobnych zatok i zalewów, a pan, jako myśliwy, powinien się z tym krajem oswoić.

— Przybywa pani jeszcze jeden gość — rzekł wskazując na czółno w zatoce.

— To mój brat wraca.

Wacław nie zauważył łodzi u przystani. Wiosłował sam i śpiewał, i zaczął z daleka już wołać siostrę, a przybiwszy do lądu, dopiero spytał, czyja łódź. Rozmówił się z wiosłarzami i ruszył do domu już milcząc, obładowany strzelbą, zabitym nurkiem, pękiem ryb i torbą pocztową. Był to bowiem dzień, kiedy łodzie z mąką i rybą przywoziły w powrocie z Filipowa wieści ze świata.

Zośka przedstawiła go Noltenowi i zabity nurek był wstępem do rozmowy. Nolten zaczął z ciekawością oglądać wypchane ptaki zdobiące ściany pokoju, a Wacław, zapalony przyrodnik, rad był spotkaniu z amatorem myśliwym.

Tymczasem Kasjan na widok Motolda uśmiechnął się przyjaźnie i rzekł:

— Ot, panoczku, odemścili mi wasze Niemce puchacza. Powietrze morowe na nich — czut nie ubili.

— Do dziś rana nie wiedziałem o tym nieszczęściu. Jakże ci, zuchu, jeszcze bardzo boli?

Masz, zapal papierosa, opowiedz ty, jak to było.

— Ból, to bajki, ale nud, panie, tak leżeć i tylko baby mieć za całą kompanię, a na świecie taki czas luby nastał, a ty gnij w izbie! Ja wiedział, że pan się do mnie dowie, daj Pan Bóg panu zdrowie. Ja rozpowiem, jak było, ale taki muszę panu rzec, że nie wiem, gdzie pan oczy miał, jak pan sobie takiego szwagra dostał. Czy to tenczas mór na ludzi padł, czy na pana ślepotą. Taki on nie z panów jest, taki pan sobie ród opaskudził — takim cudzym!

— Słuchaj no, Kasjan, nie ma dziwu, że się na ciebie rozzłościł. Napadłeś obces, łajałeś, chciałeś gwałt czynić. Więc go pasja porwała i palnął.

— Wierzy pan! Ot, nie tak jest. Naprzód, ja nie łajał jego, ale Niemców, to żeby on pan z panów był, toby on kazał Niemcom milczeć, sam by ze mną się rozmówił, dowiedział się, że na cudze wlaźł, toby przeprosił i precz płynąć kazał, i jeszcze by mnie na wódkę dał. A on do mnie:

„Won, chamie!” Oho, to ja zrozumiał, że on tylko jakiś może czyn ma, może siłę — ale nie ma państwa. A to pan myśli, że jak ja czółno chciał wywrócić, to jego pasja porwała? Aha, prawda, nie szcerwieniał on — ale zzieleniał, bo strusił — tak zląkł się, że tołk stracił. Butem by pan chama kopnął albo kolbą — a on nie pan, kiedy strzelił, a potem uciekł. Ot — kto on jest!

— Szkaradna rzecz się stała i głupio, że ci płacić chciał, ale teraz, widzisz, sam przyjechał ze mną, żeby to zgodnie skończyć. Jemu bardzo przykro, on się kaja.

— Bajki! Jakby się kajał, sam by mnie tu przywiózł! Ja w ostrogu był, wszystkie zakony znam, on wie, co z tego dla niego będzie, jak ja zechcę, to on znowu strusił. Nie ubliżając panu, ale on taki chyba z Żydów jest? Aha, to on przyjechał, a strzelbę z sobą przywiózł, a Niemce są?

— Po cóż ci strzelba i Niemcy?

— Jak to: po co! To ja za te strzelby w wodę laźł, nabój kaczego śrutu w bok dostał, krwią spłynął, miesiąc w pościeli gniję i ma zostać ich racja! A, niedoczekanie. Jak nie chcą do turmy iść, to ja na taki mir przystanę. Na tamtą niedzielę popłynę do naszego młyna i czekać na nich będę.

Niech wszyscy trzej przyjadą i strzelby mi przywiozą i oddadzą. Zobaczą ludzie, że moja racja, to już ja im sąd podaruję. Roześmiał się Motold i mimo woli rzekł:

— Zuch jesteś. Powtórzę mu twój warunek. No, a cóż wesele? Będzie na Zielone Świąta?

— Chyba że będzie. Cholera dziewczka, ale w tę porę, jak ta okazja się stała, to strach, jak lamentowała, jednakże szkoduje mnie, a potem dwie nowiutkie koszule podarła na szmaty do rany. Baba, panie, co płótna nie żałuje dać, to już widać lubi. Chytra bestia, jak teraz bez mocy leżę, to to

dzień wpadnie i „sokolikiem” zwie, i po łbie gładzi, taka sobie bezpieczna gadzina.

— Może mój szwagier ciebie odwiedzić?

— Na czorta mi on? Po naszymu nie gada ni rozumie, jak o nim pomyślę, to jakbym dziegciu zjadł, pluć chce się.

— Ale do mnie żalu nie masz? Za moje sługi?

— Nijakiego. Dość pan sumu ma z takich sług i rodu. Pan panieczyny druh, a panienka mi tak jak matka i dęty na rodzona. Daj Boże zdrowie panu i proszę nakazać na swoją leśną kolej, żeby nam młyna nie roznieśli.

Zośka weszła i spytała wesoło:

— Pewnie o młyn kłopot? Sto razy na dzień to słyszę. Proszę pana na herbatę. — Poglaskała Kasjana po głowie i spytała serdecznie: — Bardzo dolega? Zaraz ci panicz opatrunek zmieni.

— Nie chcę! Poczekam na panienkę, bo panicz ciężką rękę ma, a panieczynych, to i nie czuć.

— No, to cierp, kiedyś taki delikatny! Zwróciła się do Motolda:

— Waclaw tak się rozgadał z baronem, jakby się znali od dawna. Mają wspólne amatorstwo polowania.

Motold na sekundę brwi zmarszczył, jakby czymś przykro dotknięty, i po chwili odparł powoli:

— Będą razem polować i tu przesiadywać. Mają czas i mogą.

— Dla Waclawa zdrowe to będzie. W ostatnich czasach nieznośny *spleen* go opadł. Bałam się, czy potrafię wytrzymać. Baron ma niewyczerpany dobry humor, dużo ochoty do życia.

— O, tak, wesoły towarzysz. Niech się bawią.

Wyszli. Motold nic więcej nie rzekł. Przy herbacie doniósł szwagrowi ultimatum Kasjana —

zostało żartobliwie chętnie przyjęte. Nolten był istotnie bardzo dowcipny, doskonałych światowych form i obycia, gość miły i łatwy, bo sam się bawił bawiąc drugich.

Wizyta się przeciągnęła do zmroku, miesiąc wszedł, wieczór był rozmarzająco ciepły. Janiccy przeprowadzili gości do „gondoli”, jak mówił Nolten, pożegnano się „do widzenia” i gdy łódź

odbiła, Nolten śpiewać począł, zapatrzony w stojącą na brzegu, miesiącem objętą, Zośkę: *O zejdziesz do gondoli, kochanko ma,*



*Noc cicha, jak cień, jak cień tylko lala drga.*

Ładny, silny miał głos i pieśń ślicznie szła po toni. Zośka, wsłuchana, patrzyła na łódź, a Wrocław głos swój połączył:

*Gdzie wiosłem poruszę, tam pali się toń.*

*I płynie łódź moja przez ognia błoń.*

Zośka zapatrzona, zasłuchana, z cicha nucić poczęła:

*Ta toń, to miłość, łódź serce się zwie,*

*Ach, wir ją porywa, ach, wir ją porywa,*

*Ach, ocal ty mnie.*

Tylko Motold nie śpiewał ni w miesiąc, ni w toń srebrną nie patrzył, ni na dziewczynę, ni zdawał się słuchać. Położył się w łodzi i oczy zamknął.

— Spisz, Kostuś — zagadnął go Nolten, gdy byli już daleko, w ciszy i pustce wodnej.

— Nie. Głowa mnie boli.

— Co za przepyszna dziewczyna. Co za formy, co za oczy, co za karnacja. A, toć upić się można tylko patrzeniem na nią. Uh, jaka smaczna, jaka bajecznie pociągająca tym pozornym spokojem i miarą przy takich oczach. Uważałeś jej oczy, ich zawrotną głębię! Mówię ci, nie pamiętam, żeby mnie jaka tak piorunem nerwy wzięła... Brr, jak mi się jej chce! Trzeba być tak dwunogą rachunkową księżką jak ty, żeby nie zwrócić na nią uwagi.

— Znam ją od dziecka.

— Żeś się z nią nie ożenił? Prawda, nie mogłeś z powodu interesów. Ale że dotąd jej nikt nie wziął. Oczu nie mają tu ludzie.

— Może była tobie przeznaczona.

— Kobieta przeznaczona jest temu, kto jej zechce — roześmiał się Nolten.

— Więc zapewne nie wyjedziesz w tym tygodniu?

— Ani w następnym. Mam tu ważniejsze zajęcie. Ty masz i tak jechać do Mili, wstąpisz po drodze do Łodzi i załatwisz bieżące sprawy. Jestem już w tym położeniu, że moje kapitały same się mnożą, a tego interesu przez prokurenta nie załatwię.

I zaczął gwizdać, a potem spytał:

— Nie mam pojęcia, jaki to *genie* takie panny ze wsi. Na co się je bierze?

— Jak to, na co? Na żony.

— Ho, ho, ho! Hołysze na żony, ale my!... Zresztą ja myślę na co, na jaką przynętę?

Wszystko i wszyscy są do kupienia, kwestia tylko ceny. Sobą płacą tacy, co nie mają nic lepszego do ofiarowania. Za tydzień będę wiedział cenę tej boginki. Gotówem grubo zapłacić. Co za śliczna noc, żeby nie komary. Co to za ptak?

— Puchacz żeruje — odparł Motold patrząc za czarnym cieniem ptaka, płynącego jak widmo nad wodami; krążył długą chwilę nad łodzią. Motold strzelbę wyjął, zmierzył i palnął.

— Za ciemno — rzekł Nolten — pójdzie!

Puchacz rzucił się w bok, ale po chwili począł się raptownie spuszczać, plusnęła toń — spadł.

— Dobry był strzał — nie sądziłem, żeś tej mocy.

— Traf, prawiem nie celował.

— Zawrócić po niego, jasny panie? — spytał wioślarz. — Nie. Niech przepada!

— Zły znak jego spotkać, a dobry ubić — mruknął chłop. — Paskudny zwierz, nie trzeba żywić.

Przybili do brzegu, gdzie czekały konie.

Motold w parę dni potem wyjechał na cały miesiąc do żony. W Warszawie i Łodzi załatwił

interesy szwagra i ruszył do Włoch. Zastał żonę względnie dobrze, zabawili dwa tygodnie razem, przewiózł ją do Cannes, bo jej się nudziło długo na jednym miejscu, i wzywany interesami i terminami wrócił. Cały ten miesiąc zeszedł mu na dogadzaniu rozgrymaszonej chorej, na służeniu jej, słuchaniu paplania i znoszeniu złego humoru i narzekań. W chwilach łaskawszych powtarzała: „Jak to dobrze, że się tu rozerwiesz i wypoczniesz. Jąkam rada, że ci daję możliwość użycia świata i dostatków”. Gdy oznajmił, że wyjeżdża, nie protestowała, bo zawiązała przy *table d'hôte* bardzo przyjemną znajomość z jakimiś Francuzami i bawiła się doskonale w ich towarzystwie.

Motold w powrocie wstąpił do Szwajcarii i spędził w jakimś górskim zakątku, zupełnie sam, trzy dni. Nie było tam nawet hotelu, mieszkał u chłopca, o świcie szedł w góry, leżał gdzieś nad potokiem cały dzień, czytał lub zamknawszy oczy, słuchał szumu wody, potem któregoś wieczora pojechał wprost do kraju i ledwie wysiadłszy z wagonu, już miał sesję bankową, potem sprawę w sądzie, zwykły tryb swego życia. Załatwiwszy sprawę w guberni, pojechał do powiatu, tam mu znowu zeszyły prawie trzy dni, i wreszcie ruszył do domu. Spytał stangreta, czy baron jest jeszcze w Łasicku, dowiedział się, że wyjeżdżał dwa razy do Warszawy i wrócił temu trzy dni.

Na promie w Ługach spotkał Mirona. Przeprowa była ciężka, bo właśnie reperowano groblę, Miron poskoczył, by pomóc konie przeprowadzić, więc Motold spytał:

— Cóż u was słyhać?

— Wszystko dobrze — odparł i dodał z uśmiechem: — A to z weselem na grafa czekają.

— Panienska wasza za mąż idzie?

— Panienska? — zdumiał się Miron.

— Czyjeż wesele?

— Kasjanowe. Zielone Święta za tydzień. Motold się roześmiał.

— Prawda. Powiedz mu, że czekam zaprosin. Noltena nie zastał w Łasicku, doczekał go się dopiero na drugi dzień. Był w kwaśnym humorze i rzekł zaraz na wstępie:

— Myślałem, że się ciebie nie doczekam. Jakże znalazłeś Milę?

— Dużo lepiej, niż było zimą.

— Jadę jutro do Paryża. Odwiedzę ją po drodze.

— Do Paryża? Teraz?

— Muszę odżyć wśród cywilizacji. Czuję, jak tu co dzień dziczeję i głupieję.

— Ależ tej cywilizacji, którą uprawiasz, nie ma o tej porze w Paryżu. Wyjechały do Trouville.

— Te, co zostały nawet, będą mi miłe i zajmujące po tutejszych kobiecych egzemplarzach.

Jestem tak zmęczony i wyczerpany, jak po najforsowniejszym polowaniu z chartami.

Motold na zwierzenia go nie wyciągał, ale Nolten musiał zawód jakoś ubarwić.

— Miałeś rację; tutejsze panny chowają się na żony. Nie rozumieją inaczej życia i użycia.

Przekonałem się, że to nie dla mnie zajęcie — cywilizowanie ich. Szkoda czasu i zachodu.

Pożegnałem dziś już na zawsze moją wodną idyllę.

— Ale to nie znaczy, byście wrogo się rozstali?

— Jak najprzyjaźniej. To właśnie jest dziwne w tej kobiecie, to zadaje kłam mojemu zdaniu o jej temperamencie i inteligencji. Nie jest głupią ani naiwną, nie udaje pruderii, nie unika niebezpieczeństwa, ale jest jakaś nieuchwytna. Wiesz, zem nie fryc, a z nią nie umiem gry prowadzić, nie ma na nią sposobu wytrącenia z równowagi. Nie spotkałem takiego typu, nie rozumiem jej.

— Bywałeś tam często?

— Prawie co dzień. Zawsze przyjaźnie witany! Ale wiesz: patrzeć na żer przez okno i na dworze marznąć i mieć wodę przez kratę i pragnąć, to nie dla mnie rzecz. Ostatecznie mogę mieć żer i wodę wszędzie.

Motold się uśmiechnął.

— Rozumie się, jedź. Ale teraz się nie dziw tutejszym kawalerom, może postąpili jak ty.

Jednakże nie każda kobieta jest dla każdego do zdobycia.

— To nie, bo żebym szedł na sakrament, tobym ją miał, ale przyznaj, że byłby to mezalians straszny, tego nawet próbować nie warto.

— W każdym razie miałaś rozrywkę. Muzykowaliście pewnie dużo, śpiewali chórem?

— Czy ona gra i śpiewa? Motold spojrzał na niego.

— Nie śpiewa? Nie wiem. Takem myślał.

— Nie, brat jej nieźle gra na skrzypcach.

Więcej o Janickich mowy nie było, bo Motolda porwały interesy, a Nolten się pakował.

Pozegnali się obojętnie nazajutrz i Motold po skończonej dziennej pracy znalazł się sam w domu wielkim i pustym. Wyjątkowo nie miał żadnych spraw ani terminów do wyjazdu za swymi lub sąsiedzkimi interesami i czas mu się dłużył; nie wiedział, co robić z wieczorem. Poszedł do ogrodu, nad rzekę i paląc cygaro, siedział zamyślony, wyczerpany. Czuł starość, brak ochoty do czynu i ogarnęła go smętna żalność, poczucie zmarnowanego życia, małość dorobku tych lat młodych, niechęć do przyszłości. Widział ją jasno przed sobą. Śmierć żony była tak nieunikniona, że mu już przestała być groźną; oswoił się z tą myślą. Zresztą nie przypominał

sobie, żeby ją kochał kiedykolwiek; ożenił się, bo był kochany, to go rozczuliło; złudzenie miał, że także kocha. Teraz po latach przypominał sobie, już bez bólu, mękę niedobranego pożycia, próbował zrazu nagiąć ją do siebie — nie rozumiała go. Tedy sam się chciał do niej zastosować

— nie mógł. Tak i ona, i jej wiara, i szczerp, i wychowanie, i poglądy różne były mu strasznie obce i rażące. Tedy przestał na nią rachować, myśleć, cierpieć — został sam z pracą. Ona nawet nie zauważyła zmiany, może była jej rada, choroba zerwała resztę węzłów, odwykli od siebie, chociaż pozornie byli ze sobą jak najzgodniej i uchodzili za najprzykładniejsze stadło.

Motold starzał tylko, nikt go do młodych nie rachował; nikt nie widział w nim ani zapału, ani wesołości, ani wybuchu. Trzeźwy był, pełen taktu, obowiązkowy, rad każdemu usłużyć, zdolny, świetny administrator, tęga głowa, wszystkie przymioty posiadał, był poważany, ale nie lubiany.

Z ludźmi wciąż obcując, nie uchylając się ani od towarzystw, ani od zebrań — nie miał

przyjaciół. Nie był on ani mruk, ani pyszałek, ani egoista; grywał z panami w karty, bawił panie na

wieczorach, przyznawano mu doskonale towarzyskie formy, ale właściwie żył ze wszystkimi i z nikim i czuli instynktem ludzie, że ten człowiek, choć nigdy nie kłamie, tego, co myśli i czuje, nigdy nie wyraża, i nie było takiego, który by posłyszał z jego ust cośkolwiek z jego domu i życia prócz oficjalnej odpowiedzi o zdrowiu żony.

Tak przeżył Motold w swej rodzinnej okolicy siedm pracowitych lat i wiedział, że drugich siedm już tu nie spędzi. Gdy wracał wtedy do ojcowizny, zrujnowany, z żoną i jej kapitałem, co wtedy marzył, nikt nie wiedział, ale zapewne nie na siedem lat rachował tu swój byt i czyn. Teraz przygotowany był odejść, o siedm lat i o całe życie ducha starszy — i już nawet nie cierpiał.

Zanadto zmęczony był bezowocnym trudem, całą jego siłą była tępa rezygnacja. „Nie miałem nic, nie mam nic i nic mieć nie będę — skończony jestem człowiek”. To tylko czuł. Zostać w Łasicku jako rządcą szwagra nie chciał, czekać śmierci w tym domu lękał się. Było za wiele pamiątek po ojcach, za wiele tradycji, za wiele kątów, które by mu przypominały, że jest ostatni, bał się starości fizycznej i niedołęstwa wśród tych ścian.

Daleko wyjedzie, zupełnie zerwie wszelką możliwość, nawet łączniki z tymi siedmiu latami.

Miał kolegę Szweda. Ten mu obiecał techniczną posadę w Finlandii w każdej chwili, gdy się do niego zgłosi. Daleko to było, tam go przeszłość nie znajdzie.

Wieczór był w porze najpiękniejszej naszego roku. Czerwiec się ledwie rozpoczął, ciepło było i bardzo cicho, na skłonie nad rzeką, wśród olszyn, błyskały świętojańskie robaczki i zawodziły w łożach słowiki, ryby pluskały w toni, kędyś z dala na wodzie słyhać było monotony, smętny ludowy śpiew. Chłop wracał z młyna czy połowu. Z początku tylko melodia wpadła w ucho Motolda, potem usłyszał i słowa.

*Dzwonią w mieście dzwony, oj, żałobną nutą,*

*A Kozaka wiodą na kaźń srogą, lutą.*

*Wiedzie go drużyna placem, ulicami,*

*Powiązali ręce dziewczyny włosami.*

*Pojmali go, wiodą — nie wrogi, nie katy,*

*Głowę jemu zdejmą — nie Turki, a swaty.*

Zanim łódź dobiegła, już i głos śpiewającego poznał Motold, i zeszedł nad rzekę wiedząc, że to jego szuka. W malutkiej pławicy sunął jeden chłop, a gdy się zrównał, Motold go zawołał:

— Kasjan, po mnie jedziesz?

— Po pana, a jakże! Jak Miron powiedział, to ja i nie obadał, taj poleciał.

Przybił, pławicę do łozy przyczepił i na brzeg wyskoczył.

— Ot, i przyszło na lichy koniec, panie. Oczepili jak czyrówka len. Tak żenić się zmusili!

— Kiedyż ślub, gdzie wesele?

— Ślub, to głupstwo, do Filipowa popłyniem i zwiążą. A potem dopiero sama ceremonia. Ja by pana prosił na wtorek do Sydorów, pod wieczór na godzinkę. Panienska kazała panu rzec, coby pan do nas na obiad przyjechał i z nimi się zabrał.

— Dobrze, będę. Weźże u mnie w magazynie wódki, a może ci na gospodarstwo braknie, to powiedz. Rad ci odpłacę za ratowanie.

— Jest wszystkiego zadosyć! Wódki tyle, że cała wieś będzie leżeć pokotem: dała panienska i krowy, i korowaje, i chatę przy młynie. Paskudztwo, to wszystko, te dostatki, dobytki — potem od nich ani odejść, ani rzucić. Jedno zdechnie, drugie ukradną, a ze wszystkim kłopot i dumka do tego uwiązana. Powietrze morowe na te baby. Myśli pan, uparł się ja, żeby była moja racja, chce, bestia, ślubu — będzie miała. Tak się spiję, żeby nie wiedzieć, co robić. A potem, jak już na swoim postawię, to zwalę szelmę za te wszystkie fanaberie, za moją wolę i dolę kozaczą, już ona dziesiątej zakaze!

— Jestem pewny, że ani tkniesz, bo to „paskudna” robota. Warto by było kazać, żeby ci po czepinach chomąt na głowę włożyli, a taką szanować warto.

— At, co robić! Zapoiny wypili, zapowiedzi idą, rubla za pacierz, com zapomniał, zapłaciłem, skacz, niebożę, na dno! Jednakże, panie, żeby bab na świecie nie stało, toby było mniej pcheł, a jakby pod oczy nie lażyły i zębów nie szczyrzyły, toby człowiek o nich i zapomniał. Dobrej nocki panu życzę i dziękuję za łaskę.

— Pozdrów swoich państwa ode mnie.

Kasjan już w łodzi był, ale jeszcze na odjezdnym rzekł:

— Pański szwagier to się czepił panienski, jak rak niewodu. Licho mi nadało z nim się zarwać wtedy, było odjechać i święconym zieleń okurzyć. Jeszcze dur nawlecze na panienskę.

— Wyjechał już.

— Bodajże mu droga zarosła!

Odbił i gdy się trochę oddalił, znowu posłyszał Motold śpiew ten sam: *Kozacze, Kozacze, a gdzie twoja wola?*

*Głód i chłód nie zabił, zabije niewola.*

*Prędzej cię wypuści topiel i mogiła,*

*Jak ciebie w step puści młoda żonka miła.*

## VIII

Bardzo rano we wtorek po Zielonych Świątach Motold ruszył do Czahar. Powitała go Zośka, sama, Wacław miał za chwilę przyплыnąć z młyna. Spojrzał na nią uważnie i zdała mu się zmienioną, jaśniejszą, weselszą, wypięknioną.

— Wygląda pani promiennie, jakby panią spotkało coś dobrego — rzekł.

— Bo tak jest istotnie. Zaczynam być potrzebną rodzinie. Nawróciła się już siostra. Pan wie, że wzięła swoją część w pieniądzech, założyła magazyn na spółkę z jakąś znajomą, no, i straciła wszystko. Miałam już rozpaczliwy list o pomoc i jadę za dni parę do Warszawy ratować pierwszego rozbitka. Wiem, co będzie — Czahary będą żywić troje, ją i dwoje dzieci.

— Myślałem, że spotkała panią jaka osobista przyjemność.

— To nie może mnie spotkać — wyrwało się jej bezwiednie.

— Dlaczego?

Już się cofnęła, zamknęła duszę i zaśmiała się.

— Bo nie mam osobistych pragnień. Dobrze mi jest, jak jest.

— Nolten do końca bawił panią?

— Zapewne, bo się prędzej sam znudził, odjechał.

— Wróci.

— Znajdzie wszystko, jak zostawił, bez zmiany.

— Zdaje mi się, że on właśnie zmiany pragnie.

— To źle trafił. Ja się nie zmieniam.

Stali, rozmawiając, przed domem. Dzikie wino już obejmowało ściany i jaskółki świergotały pod dachem, a u szczytu nad drzwiami rozpościerały się olbrzymie łosie rogi.

— Śliczny okaz! — zaczął Motold i urwał.

Spojrzał raz drugi na rosochy, potem na stojącą przed nim dziewczynę, przez zmęczone, martwe jego rysy przeszła fala myśli i życia. Wyraz jakiś wyrwał się z duszy, ale skonał bez dźwięku na ustach, tylko głęboko odetchnął.

Zośka nie spojrzała na oryginalną ozdobę domu ani podniosła jego uwagi, otworzyła drzwi, wprowadziła go do saloniku i rzekła:

— Dziękuję panu za opiekę nad Kazimirką. Miałam wczoraj dziękczynny list od księdza.

— Była pani tam zimą?

— Nie, Czekaliśmy na pana.

— A teraz, jutro, nie można zrobić tam wycieczki?

— Jak pan zechce, myśmy gotowi.

— Żebym zawsze mógł, co chcę! — rzekł siląc się na uśmiech.

— Więc, jeśli pan może, jedziemy — poprawiła.

— Ale może pani nie to układa? Miała pani jechać do Warszawy.

— O! W tym wypadku tamto ustąpić musi. Z panem dawniejsza umowa — odparła żartobliwie.

— Więc dacie mi gościnność do jutra. Nie zrobię kłopotu?

— Pan wie, że jest u swoich. Po co powtarzać.

— Czasami trudno uwierzyć w dobre. Niech pani będzie dla mnie pobłażliwą. Nie umiem wierzyć.

— Zatem powtórzę, ile razy pan zechce. U swoich pan jest pod tym dachem zawsze. Jeśli panu ta myśl miła, to proszę czuć się tu bratem i druhem, nigdy nie zwątpić! A na dowód, że pana za gościa nie uważam, oto książka, oto cygaro, a sama zajmę się naszym obiadem.

Motold został sam i ośmielony począł przerzucać zeszyty nut. Czegoś szukał widocznie i znalazł, bo nad jednym zeszytem długo się zatrzymał, przerzucił go, spojrzął na pianino, jakby próbować chciał, ale spłoszony głosem Waława za oknem, wyszedł na jego spotkanie.

— No, przecie jesteś! Jakże żona? Przyjechała z tobą może?

— Żartujesz. Ona już nie może wrócić do tutejszego klimatu.

— Widziałeś Zośkę? Mam dla niej furę nowin.

— Mów, słucham! — odpowiedziała przez okno z domu.

— Wyobraź sobie, Wilszyc ci przysłał prezent i list. Prezent — jest to jedna z tych faraonowych krów chudych — wiekiem też zbliżona, a list przeczytałem, bo posłaniec żądał

natychmiastowej odpowiedzi. Posłuchaj, bo to warte odczytania powtórnego.

„Kochana Siostrzenico!

Miałem zamiar przysłać Ci upominek na wiązanie w dzień Twojej patronki, bo jesteś moją chrzestną



córką i pomimo wszystko serca dla Ciebie nie straciłem. Uradziliśmy tedy z wujenką dać Ci na nowe gospodarstwo krówkę, ale że termin pachtu u mnie jest w końcu maja, musieliśmy zamiar odłożyć do tej daty. Przesyłamy Ci przez umyślnego tę krówkę z życzeniem, żeby Ci długie lata służyła. Przy tym proszę Cię o poinformowanie, czy to prawda, że brat Twój, Wacław, powrócił, o czym słyszałem od Moti rzeźnika.

Trzeba Ci też powiedzieć, że Karol obszedł się z nami bardzo niesumiennie i resztę należności za konie dotąd mi zwrócić nie chce. Rachuję, że zechcesz mi pomóc — i płacąc resztę rachunku Wacława, odeślij pieniądze na moje ręce. Inaczej grozi mi strata krwawo zapracowanych dwustu rubli, co dla mnie, chudopachołka, jest sumą bardzo ważną. Ograniczamy się, jak można, żeby na stare lata nie zostać o żebraczym kijku, a ten rozrzutnik, wyzuty z sumienia, tak ciężko nas krzywdzi. Nie bywamy w Woronem. Za wysokie progi tam teraz i wyobraź sobie, na obiad jadają cztery potrawy. Pani podobno niczym się nie zajmuje, ciągle goście, zajazd, zabawy. Źle się to skończy.

Ufam, że mojej prośbie nie odmówisz i nie zapomnisz o krewnych, którzy Ci są życzliwi, czego Ci nie tylko słowem dają dowody.

Oboje z wujenką przesyłamy Ci życzenia i błogosławieństwo, a wujenka prosi o jaką rybę na piątek, co u Ciebie tego obfitość.

Kochający Cię wuj

*Wilszyc.*

*Postscriptum:* Dla bezpieczeństwa, żeby ci krowy po drodze nie wymieniono, donoszę, że jest czarna, z białym ogonem, ma jeden zbity róg i popsute wymię, ale pachciarz zaręcza, że bardzo mleczna, a to bardzo sumienny Żyd i jest już u mnie piętnaście lat”.

— Kto? Żyd czy krowa? — parsknęła śmiechem Zośka.

— Za krowę ręczę. Kazałem ją co rychlej odesłać Mironowi nie chcąc mieć ambarasu z aktem zejścia, czyli zdjęciem skóry, no i odpisałem, że istotnie wróciłem, współczuję niedoli i niedostatkowi tych biedaków i jesienią przy obrachunku z rodziną postaram się sprawę uregulować. Zaś ty wyjechałaś i za powrotem podziękujesz osobiście za wspaniały dar.

— Dziękuję ci. Obiecałeś im swoją wizytę. Pozwalam ci i w tym mnie wyręczyć i daruję ci za to krowę. Jeśli i reszta nowin będzie równie w skutkach przyjemna, to nie jedź po nie do młyna.

— Drugą ci rzucę jak Part strzałę, sam zmykając. Karolowie mają być u ciebie z wizytą.

— Ciekawam, czego ci potrzebują? — rzuciła niechętnie.

— Zapewne, że nie z potrzeby serca.

— O! co do tego nie mam wątpliwości. Proszę panów na obiad.

— Interesu pana Karola może ja się domyślam — rzekł Motold. — Spotkałem go w powiatowym

mieście i mówił mi, że ma przykrą sprawę z długoletnim arendarzem, który sobie przywłaszczył kawał ziemi i karczmę. Nawet wyznam, że gdy mnie pytał o radę, jak postąpić, powiedziałem: „Zwróć się pan do siostry, może będzie pamiętać o jakiej umowie lub będzie wiedziała o istnieniu dokumentu”. Na to mi rzekł z wesołością trochę udaną: „Będę tedy zmuszony iść do Kanosy”. A jam go pocieszał, że więksi od nas tą drogą chadzali. Nie wygląda pani bardzo zachwycona tą moją misją pojednawczą.

— Dobrześ zrobił. Niech Karolek z tonu spuści — rzekł Wacław.

— Ale ty go przyjmować nie masz ochoty — zauważyła Zośka.

— Bobym mu głupstw nagadał, co się zawsze zdarzało, gdyśmy się spotkali, a ty potrafiłaś patrzeć siedm lat na jego głupotę i milczeć, więc i teraz z cierpliwości nie wyjdiesz. To nie na moje nerwy takie typy, jak to tak zwane tutejsze obywatelstwo. Trzeba być z powołania tandeciarzem i amatorem starego rupiecia, żeby wśród nich móc żyć i chcieć działać. Mam też tu na obecnym Kostusiu przykład, jaki jest rezultat apostołowania nowych idei i społeczna praca około tych duchowych bagien. Niech śpią, jedzą, mnożą się, cieszą i martwią po swojemu, bylebym ja z nimi nie był.

Zośka pokręciła przecząco głową.

— Właśnie dlatego, że czujesz braki, nie wolno ci, podobnie jak oni, zbagnieć. Nie ubolewaj też nad panem Motoldem. Ma zapewne w swym życiu wiele goryczy, zawodów, trudu położonego na marne, ale ma w sobie poczucie spełnionego obowiązku i słuszną dumę swego człowieczeństwa nie zmarnowanego. To daje większe zadowolenie niż sława i triumfy, bo to nie przemienie. Ja też wiem, że przyjdzie czas, gdy nie tylko on jeden tu myśleć i działać będzie, ale będziecie we dwóch i pójdą za wami inni, pójdą, muszą pójść. Wy tylko uczyńcie wyłom na nurt żywej wody!

— Jakaś ty młoda jeszcze i głupia, że wierzysz.

— O to właśnie idzie. Dzięki Bogu, że są zawsze młodzi i zapaleńcy, i wierzący. Inaczej strupieszalby świat od dawna. Nie obrażam się za twój komplement. Wasze bogi — moje bogi.

— Więc nas troje jest, nie dwóch! — rzekł Motold.

— Ile w mojej mocy, nigdym was nie odstąpiła.

— Po co mnie honorujesz? Jam dawno plunął na wszystko — burknął Wacław.

Spojrzała mu serdecznie w oczy i uśmiechnęła się kładąc mu rękę na głowie.

— Ty pozwalasz sobie tylko za długo chorować. Pieścisz się i dogadzasz zdelikaconym nerwom. Ale cię już poczyna nużyć rekonwalescencja. Maluczko, a poczujesz, żeś zdrów, żeś silny, że na świecie nie mróz, nie słota, ale roboczy, letni czas, i pójdziesz na swój dział czynu.

— Baśnie prawisz! Żebyś wszystko wiedziała!

— Wiem to na pewne, że zawód serdeczny wolno przeboleć, ale nie wolno dla niego usuwać się od

obowiązków.

— Nawet Kasjan odmawia ci w tym względzie kompetencji — próbował żartować.

— Gdy mowa o Kasjanie, pora nam ruszać na tę ceremonię — rzekła wstając.

— Gdym mijał Sydory, wrzask tam był i wycie nieludzkie. W ładną wpadniemy czeredę.

— Miejmy nadzieję, że niewielu zostanie na nogach.

— Sami będziemy wiosłować, bo oprócz starej Parczewskiej nikt tu nie został.

— Szkoda, że nie ma barona. Ten by się był wytrenował. Żebyś go ty widział, Kostek, jak oczy do niej zawracał, jak gruchali o księżycu!

Zośka nie zaprotestowała o tę liczbę mnogą, odpowiedziała wesoło:

— Trudno, nie mogę być lekceważoną nawet przez Kasja—na. Nabieram kompetencji.

Wioślarze Motolda odpłynęli byli do Szafranki, więc rzeczywiście oni sami wzięli się do wiosł, Zośka do steru i ruszyli. Gwar się unosił nad Sydorami i jak zgadła Zośka, większa część biesiadników już nie była zdolną utrzymać się na nogach. Jak trupy leżeli na ulicy, w sadzie, na przyzbie chat, ledwie kilka par kręciło się w tańcu, głosy śpiewających ochryple były, ceremonia dobiegała do kresu. W izbie za stołem nowożeńcy przyjmowali dary, dosłuchiwali reszty obrzędowych pieśni. Na widok panów Kasjan, wbrew ceremoniałowi, który u chłopów jest równie skomplikowany i nienaruszalny, jak na dworze hiszpańskim, i nie pozwala panu młodemu ruszyć się z za stołu, zerwał się do nich i runął do nóg.

— Doczekał się swoich panów! — zaśmiał się radośnie. — Likta, co siedzisz jak pień, pokłoń się, usłuż, głupia. A wy, bydło, rozstąpcie się. „Mnogie lata” panom rzeknijcie i ustąpcie z komory.

Ale chłopci mimo pijaństwa taki mieli respekt dla „grata”, że na jego widok opróżniła się natychmiast komora, gospodarz chatni i synowie zrzucili z siebie odświętne świty, zasłali nimi ławy, tok pod stopami i nie wiedząc, jak okazać radość i honor, który ich spotkał, jęli bić pokłony niskie, aż ich płowe, długie włosy zamiatały ziemię, i trwałoby to nie wiadomo jak długo, gdyby ich Kasjan nie rozegnał, a przed panami sam nie zastawił poczęstunku i nie poprosił o skosztowanie korowaja.

— Dziś wieczorem już jedziecie do siebie? — spytała Zośka Likty, ale ta, odurzona, zmęczona, na pół przytomna, jakby nie rozumiała, i Kasjan odpowiedział:

— A już, nareszcie. Wymordowali oni nas pokłonami i ceregielami, ja ich spoił, że jutro ni jeden nie ruszy łapą, baby pochryły od śpiewania, zdeptali na śmierć jedno dziecko, Iwanowi połamali żebra, Semenowi odgryzli palec, Naumowi oberwali ucho, do krwi się pobiło z dziesięciu, to już dosyć im będzie na długo wspominków wesela mojego. Już mi dosyć siedzieć za stołem, kłaniać się, wolałbym na cudzym być.

— Aleś dziewczynę na schwał dostał! — rzekł Motold.

— Zdrowy kawał baby! Ale też i chryi o nią tyle, ile sama waży. Nu, sława Bogu, że już się skończyło, nudno mi stało za naszym młynem.

— My jutro chcemy płynąć aż za Filipów — rzekła Zośka — ciekawam, czy dostaniesz choć dwóch trzeźwych do wiosła.

— Jak trzeba, to muszą być. Na rano trzeba?

— Na południe.

— O, to ja ich potrzeżwię, jak parę razy splawię na sznurze koło młyna. A to może i grafski szwagier z panami będzie?

— Nie. Wyjechał przecie.

— No, to dobrze.

Likta trąciła go wzywając na stanowisko do darów, ofuknął się.

— Posadź przy sobie, kogo chcesz. Dosyć ja się przy tobie nasiedzę przez życie.

Ale i państwo wstali, by darzyć nowożeńców, więc musiał na swe miejsce wrócić, a wnet cała drużyna się ustawiła, by młodą parę wieść z pieśnią do łodzi, na „swoj byt”, jak pieśń głosiła.

Cała flotylla czółen przeprowadziła ich do pół drogi wodnej, stamtąd zawrócili obcy, tylko rodzina towarzyszyła im. Całą rzekę obejmowała pieśń pożegnalna: *Już w sadzie barwinek pożęli,*

*Od ojców dziewczynę już wzięli.*

*Z Bogiem, doniu, jedź z Bogiem,*

*Już ojców próg nie twoim progiem,*

*Jużeś nie nasza — już cudza,*

*Już dola twoja he ha — jak długa.*

— Zachęcające proroctwa — zaśmiał się Waclaw. — I ta nuta pogrzebowa!

— Nie zniechęca to jednak żadnej. Zresztą, co do tej pary, myślę, że potrafi się obronić od ucisku — odparła Zośka. — Ciekawam tylko, czy Kasjan będzie pamiętać o swej obietnicy i dostawi nam wiosłarzy.

— Myślę, że lepiej na to nie rachować, dopłynąć do Szafranki i zlecić tę sprawę moim Niemcom — rzekł Motold.

— No, nie — wtrącił Waclaw — jeśli chcesz mieć spokój, nie zdradzaj, gdzie jesteś. Inaczej nie

dadzą ci wakacji. Niech te dwie twoje jędze—towarzyszki — troska z pracą, pobędą same w Łasicku. Rachujmy na losy i na Kasjana.

— Nie mam tymi dniami żadnych naglących terminów, co najwyżej mogę mieć depeszę od Bronikowskiego — mruknął Motold.

Wacław na to nazwisko drgnął.

— Bronikowski? Kto to jest?

— Mój agent w Gdańsku, od drzewa.

— Ale kto on? Skąd go masz? Jak wygląda?

— Jakże ci powiedzieć, kto? No, wziąłem go na mocy rekomendacji prezesa leśnego komitetu, okazał się bardzo sprytny, pracuje u mnie już trzy lata, jest dotąd bez zarzutu. Wygląda tak przeciętnie: średnich lat, brunet, trochę łysawy.

— Nosi okulary i ma bliznę na policzku.

— Znasz go?

— O, bardzo dobrze! — odparł dziwnym tonem Wacław. Było coś takiego w tym tonie, że Motold nie spytał o nic więcej, zapanowała chwila ciszy, przerywanej pluskiem wioseł. Nagle Wacław rzekł:

— A kogóż on ma teraz przy sobie — zapewne siostrę, a może żonę?

— Nikogo. Nawet to był dla mnie punkt ujemny zrazu. Mam do rodzinnych urzędników większe zaufanie.

— Jak to, więc w jego rękach bywają twoje pieniądze?

— O, i grube czasami.

— No, to bądź przygotowany, że cię okradnie z gotówki i pofalszuje twoje podpisy. Jeszcze bądź rad, jeśli przezeń nie wpadniesz do kryminału.

— Skądże u licha to przypuszczasz?

— Skąd? Bom w tych szponach był i wyszedłem ze wszystkiego odarty. Wtedy miał siostrę.

— To on te twoje weksle pofalszował? — zawołała Zośka. — Jakże do tego przyszło, czymże on był dla ciebie?

— Czym? Bratem swojej siostry.

Przestał wiosłować i dodał:

— Radzę ci, Kostek, godziny nie czekaj. Wracaj do domu, jedź do Gdańska, cofnij mu prawo działania w twych interesach, wygnaj go, a powiedz mu tylko, że Waław Janicki ci wszystko opowiedział. Więcej nie trzeba, on wtedy zniknie, nie będzie protestować. Żebyż choć nie było za późno.

— Toś mi dopiero strachu napędził. Toć tam jest obecnie mego drzewa na pięćdziesiąt tysięcy.

— Dopłyniemy do Szafranki. Niech pan czyni, jak on radzi — rzekła Zośka.

— Ja nie radzę, on musi tak czynić!

Waław wziął się znowu do wiosła, łódź ruszyła chyżej. Mignął w przelocie — miesiącem osrebrzony — dom Zośki. Motold spojrzął ku niemu i rzekł:

— Jakieś fatum jednakże nie daje nam odbyć pielgrzymki do owej Kazimirki.

— Jeśli przeznaczone, będziemy! — rzekł Waław i jakąś gorączką objęty, parł łódź całą siłą ramion.

Przybili wprost straży. Motold uścisnął ich dłonie i wyskoczył.

— Daj znać o rezultacie — zawołał Waław.

— To tylko materialna strata. Troski niech pan ze sobą nie bierze w tę drogę — dodała Zośka.

— Już nie wezmę — odparł patrząc za oddalającą się łodzią. Gdy stała się tylko punktem czarnym na srebrnej toni, wyrwało mu się z głębokim odetchnieniem: — Solvejg!

Łódź była już daleko i długo milczeli oboje Janiccy, wreszcie Zośka rzekła:

— Mam złe przeczucie. Przyjedzie za późno.

— Straci tylko pieniądze — odparł ponuro Waław — mnie ten rakarz drożej kosztował.

— Kochałeś tę siostrę?

— Dobrana z nich była para zbójów.

— Gdzieżeś go poznał?

— Poznałem ją pierwej. Pamiętam dobrze ten wieczór zimowy. Wracalem późno od kolegi do domu i natknąłem się na uliczną awanturę. Trzech pijanych napadło kobietę. Zwykła pospolita historia. Przepędziłem ich, ofiarowałem się odprowadzić ją do domu. Była zdyszana, wystraszona, niezdolna wymówić słowa, ledwie wyjąkała po długiej chwili nazwę ulicy, zresztą nie przemówiliśmy do siebie aż do bramy domu. Wtedy spojrzałem uważnie na nią i spotkałem jej spojrzenie. Miała oczy

nieokreślonego koloru wodnej toni, a tak smutne i tak głębokie, żem poczuł nagły ból i drzenie w piersi, i takeśmy stali naprzeciw siebie, jakby szukając, co rzec, i nic nie rzekliśmy. Odeszła, milcząc, w bramę, a jam zawrócił do domu, unosząc to wejrzenie i to drzenie w duszy.

W parę dni potem spotkałem ją na ulicy z mężczyzną, który wydał mi się już gdzieś widzianym. Spojrzeliśmy na siebie, spuściła oczy, jakby wystraszona — przeszli. Aż znowu byłem w jakiś czas potem w zarządzie kolei z interesem. Zwrócono mnie z moją sprawą do wydziału, gdzie naczelnikiem był Bronikowski. Na mój widok powstał bardzo uprzejmie, sprawę bardzo prędko załatwił, a gdym mu dziękował, rzekł:

— „Miło mi było odsłużyć panu za opiekę nad siostrą i zawsze będę się czuć obowiązany”.

Przeznaczenie zmusiło mnie zatrzymać się, dalej mówić, wreszcie przedstawić się. Byliśmy znajomi. Dowiedziałem się, że niedawno tu zjechali z Kaukazu, nie znają nikogo, pracują oboje w tymże zarządzie, żyją odludnie i skromnie, nie posiadając poza pracą żadnego funduszu.

Oszukany tą pokorą i szczerością, spytałem, czy mogę ich odwiedzić; dziękował jak za łaskę.

Nazajutrz już tam byłem i ogarnęło mnie opętanie do tej kobiety. Co za straszną moc udawania może mieć taka istota, co za morze fałszu, obłudy, sprytu, żeby tyle mieć płam, tyle tajemnic, takie życie za sobą — i mówić, że kocha raz pierwszy.

— Chciałeś wierzyć — wtrąciła Zośka.

— Masz rację. Chciałem, ubóstwiłem ją sobie. Kult miałem, czciłem, byłem fanatykiem miłości. Ogarnęło to mnie jak pożar, byłem jak wariat! Zacząłem bywać co dzień; zrazu Bronikowski nam asystował, potem pod pozorem pracy biurowej zostawiał nas samych. Po jakimś czasie poprosił mnie o pożyczkę, dałem — szczęśliwy, że daje. Ona nic ode mnie przyjąć nie chciała, nawet kwiatu, on przy niej nigdy o pieniądze nie prosił. Gdyśmy z nią zostawali sami, widywałem lęk na jej twarzy, widywałem lęk, gdym wchodził, teraz rozumiem, czego się bała, wtedy brałem to za dziewicze zażenowanie. O czymśmy mówili? Zapewne o niczym, bo nie pamiętam, by wspominała przeszłość, by mi powiedziała co o sobie.

Pewnego wieczora zastałem ją spłakaną, spytałem o powód, broniła się długo swym zaciętym milczeniem, wreszcie rzekła krótko:

— „Wyjeżdżam”.

— „Dokąd?”

Chwilę jakby wahała się.

— „W swoje strony, na Kaukaz”. I wywołała mój wybuch.

— „Zostań, życie moje, to ty!”

Sekundę jakby chciała mnie odepchnąć, ale z jękiem przywarła do mnie, dała mi usta, poczułem się

kochanym, bogom równym.

Żyliśmy w upojeniu i w zapomnieniu czas jakiś, byłem do zapamiętania szczęśliwy, poznałem jej uśmiech, jej promienne oczy, jej rozkoszne oddanie. Bronikowski stał się zupełnie niewidzialnym i świat dla mnie nie istniał. Wreszcie przyszło oprzytomnienie, obudził się honor, poczucie obowiązku, spytałem, kiedy naznaczy dzień ślubu. Wtedy ujrzałem w jej oczach zgrozę, strach śmiertelny, jakiś okrzyk, który zamarł na ustach, rzuciła mi się do nóg, zaczęła płakać, nic z niej nadto nie mogłem wydobyć, ledwiem utulił pieszczotą.

Nazajutrz poprosiłem o jej rękę Bronikowskiego. Był już na to przygotowany, za honor podziękował, tylko wyznał, że papiery siostry są w nieporządku, że to będzie kosztować, że jest w ciężkim położeniu — krótko mówiąc, dałem mu tysiąc rubli i on miał się wszystkim zająć.

Wiedziałem, że ojciec nigdy mi na takie małżeństwo nie pozwoli, więc rad byłem, że on obiecał

wszystkie formalności załatwić; byłem oszalały, niepoczytalny, powolne narzędzie w tych szponach. Jak się stało, nie wiem, nie pamiętam, gdzie, kto dał nam ślub — stało się!

Nie spojrzałem w papiery, nie dziwiła tajemniczość — dogadzała prośbie ukochanej, by nikt o naszym związku do czasu nie wiedział, rad byłem ludzi do mego szczęścia nie dopuścić. Nic się pozornie nie zmieniło. Oni mieszkali we dwoje, jam przychodził co wieczór, tylko ona przestała pracować w biurze i moje dochody stanowiły wspólną kasę.

Nagle pewnego dnia Bronikowski oznajmił, że dostał posadę w Charkowie, i wyjechał.

Obiecał wrócić za parę dni, aby rachunki uporządkować, ale gdy nie wracał, mniemaną siostrę opadła zgraja kredytorów. Zacząłem płacić, zadłużyłem się, ludzie się dziwili, na co pożyczam, ale wierzyli mi, miałem już niezłą klientelę; wziąłem się znowu do pracy, ale przyszła refleksja, myśl, podejrzenie. Wtedy raz pierwszy spytał żonę o przeszłość jej i brata, opowiedziała mi jakąś dziwną historię. Rodzice wcześniej ich odumarli, oni cierpieli biedę, ścisłych dat, faktów, nazw nie było w tej opowieści. Nie napierałem więcej, jakiś lęk, przeczucie złe mnie ogarnęło.

Przejrzałem papiery od ślubu, nazwisko było to samo, wiek inny, to mniejsza, żadna kobieta nie powie prawdy w tym przedmiocie, takie kłamstwo trzeba wybaczyć. Ale ja czułem, że kłamstw jest więcej, jam już, kochając jeszcze, badał, wątpił. Mnie już dolegała tajemniczość, jej prośba, by wyjechać w inne strony; jej czasami nagły niepokój, strach; jej oczy znowu rozpaczne i smutne, jej osłupienie, łzy. Męka się rozpoczęła, nie mogłem już wierzyć.

No, i grom przyszedł. Trafił mnie się znowu interes w zarządzie kolei i naczelnik, który mnie znał, rzekł poufnie:

— „Podobno i pana oskubał Bronikowski. Dobrze, żeśmy go się pozbyli, ale stary Mironowicz, ten go popamięta”.

— „Dlaczego?”

— „Nie wie pan? Z żoną jego uciekł. On z tego, a raczej z tych żyje. No, niech pan nie udaje, i pan



mu zapłacił za poprzednią”.

I to koniec — zapłaciłem — więcej nic, tylko to było prawdą, w to musiałem wierzyć. Gdy mi ojciec te sfalszowane moje weksle w oczy cisnął, już nawet nie mogłem cierpieć ani czuć cośkolwiek. Zapłaciłem i za to.

— I opuściłeś ją? — spytała Zośka.

— Nie. Wiesz, stało się całkiem inaczej, jak się zdaje. Przyszedłem, powiedziałem jej: „Wiem wszystko”; stała, patrzyła na mnie jak skamieniała, potem, nic nie rzekłszy, wyszła. Ocuciłem się nad ranem, następny dzień spędziłem jak każdy, pozornie, i byłem zwykłym człowiekiem, nie dałem ze siebie pastwy ludzkim językom.

— I nie pytałeś o nią, nie szukałeś! A jeśli jedno było prawdą: jej uczucia, jeśliś ją ukarał za niedolę, za niewinę? O, Wacku, a jeśli ona na śmierć poszła od ciebie?

— Zapłaciłem — takim, jak ona, tyle się należy.

— A mówisz, że ci szczęście dała, marzenie, raj? Czy dlatego, że „taka”, i za to jest taksa? Jej lęk, jej milczenie, jej fałsz, toć może była zgroza zmory przeszłości, zgroza klątwy żywota, pożądanie odkupienia w uczuciu! Ona cię nie zdradziła, ona się tylko bała ciebie stracić, ona chciała żyć jak każdy człowiek. I żoną twoją była, tyś sam ją uznał godną siebie, gdyś tylko ją znał, nie etykietę hańby, którą jej los wypalił na dożywotnie zatracenie. Wiesz, jeśliś teraz nieszczęsny i cierpisz, to cierpi twoja dusza za ten czyn bezlitosny. I daj ci Boże, żebyś nie cierpiał do końca, jeśli jej już nie ma na świecie. Jeśli żyje, ratunek dla ciebie jest. Odnajdziemy ją, ja sama wyszukam.

— Oszalałaś! Ty jej szukać będziesz? A wiesz, gdzie?

— Wiem. Na cmentarzu lub w uczciwej nędzy. Gdzie indziej już jej nie będzie. Taką ją widzę z twej opowieści, taką rozumiem twą wybraną i taką znajdę. Jeśli nie żyje, to ci powiem, a jeśli żyje, jak siostrę pozdrowię. Biedaku, rozumiem, coś cierpiał i co cierpisz.

— Zośka, jak ty cudacznie rezonujesz!

— Ja nie rezonuję, ja tak czuję. Mnie się to zdaje tak słusznym i prostym. Rozumiem ją, postąpiłabym tak samo. Ludzie są źli, występni przewrotni — powiadają pesymiści. Nie, ludzie będą dobrzy, byli dobrzy, gdy tylko nimi mogą być. Złość ludzką ludzie czynią. Kobieta, dla której byłeś dobry, która kocha, nie zapomni twej dobroci, nie sprofanuje swego kochania.

— A jeśli nie będzie mogła być dobrą? To twoje własne zdanie.

— Pobijesz mnie w dyspucie, ale co zrobię! Ja wierzę, że ta twoja wytrzyma wszelkie próby.

— Ta moja! — powtórzył Wacław posępnie z gorzką ironią.

— Imię jej powiedz?

— Twoje — rzekł.

Łódź dobiła do brzegu. Zośka spojrzała na swój dom i dodała:

— Gdy nam chybiła Kazimirka, jutro jadę ratować Bronkę.

— Biedny Kostek. Ten niewiele ma czasu w życiu dla siebie. Nieszczęsny wyrobnik Noltenów. Żeby to jego własne tysiące były w niebezpieczeństwie, nie pojechałby. A i tak pojechał na próżno.

# IX

Kasjan z Mironem siedzieli na kładce nad młyńskim upustem, palili fajki i gadali. Niedziela była, młyn stał, woda była niska, młynarze i Likta popłynęli do Sydorów, w całej osadzie było pusto i cicho. Miron przyszedł do Kasjana po nowiny. Młyn i prom to chłopskie gazety, mieli więc sobie dużo do opowiedzenia.

— Co ty słyszał na promie?

— Co gadali we młynie?

Opowiedzieli sobie tedy, kto jechał i płynął, co się stało na jarmarku, kto co ukradł, kto się „sądzi”, kto co sprzedał. Miron przeprowadził łasickiego grafa i ojca żony „panicza Lolka”, i dla „łysego panicza” wapno wieźli.

— A ten ryż z Łasicka nie jechał?

— Nie.

— To źle, bo i panienki już trzeci tydzień nie ma.

— Ty myślisz, że oni gdzieś razem?

— Może wszystko być. Panienska to niby nie całkiem durna, ale zawsze babska głowa a owcza to jedno.

— No, a jakby się pobrali, toby dopiero państwo było — bo to gadają Żydy, że graf ino komisarzuje, a Łasick tego ryżego.

— Ehe, prawda, komisarzowałby graf — czymbarom. Ot, cierpi to plugastwo przez żonę! Aj, żeby on mnie się poradził, ja by jego nauczył, co z nimi zrobić.

— No, co?

— Byłaby rada — splunął Kasjan w wodę.

— No, a mój pan co robi? — zagadnął Miron. — Może gdzie do panienek dojeżdża?

— Uj — z nie dającym się opisać lekceważeniem odparł Kasjan — albo to żywe stworzenie ten twój pan. Z pnia go kozikiem wystrugali, a nie kobieta porodziła. On nie tylko o panienkach nie myśli, ale nawet za najgładszą dziewczką się nie obejrzy. Czyta, w czólnie się położy i chyba śpi, bo co by robił tak godziny, ptaszki ze skóry obdziera, trawy suszy, po co jemu panienki, stara Parczewska w sam raz dla niego kompania.

— A po cóż panienska mnie pytała, czy dach nie cieknie na domu po posesorze?

— Pytała? — zdziwił się Kasjan — a czemu mnie o tym nie mówiła? — dodał urażony.

— Bo ty wtedy po weselu w pierzynach Likty spał, a ja panienkę odwoził do miasta. Do ciebie było wtedy gadać jak do pnia.

Kasjan się zamyślił, jastrzębie jego oczy poszły daleko po rzece, zmrużył je od blasku i rzekł:

— Ktoś płynie za Szczerbą, daleko. Miron nawet nie spojrzał, tak był zajęty.

— Więc ja dach świeżą strzechą poszył i nawet szyby nowe wstawić kazał i myślę: „Będzie jakaś nowina. Skąd panience do głowy przyszedł dom w Ługach. Dla kogo? Po co?”

— Jakieś Lachy płyną, chyba do nas — mruknął Kasjan, zapatrzony w wodny szlak.

To zainteresowało wreszcie Mirona, począł też wypatrywać.

— A może panienka wraca?

— Kiedy dwie jakieś rabe na czólnie. Chłopy cudze, z miasta widać. Niech no miną zakręt, to poznam.

Chwilę czekali, wreszcie Kasjan się zerwał.

— Dalibóg panienka i jakaś druga!

— A co? Ja mówił, że będzie nowina.

Wstali obadwa i poszli ku wybrzeżu, gdzie lądowano. Kasjan wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu i począł nawoływać z ochoty. Miron, wymusztrowany przez starego pana, wyprostował

się po żołniersku i czekał. Czólno przybiło, chłopci bystrym spojrzeniem objęli „cudzą”, zdawali się węszyć, czy to sługa, czy pani — gość czy domownica.

Zośka wyskoczyła pierwsza, lekko i zwinnie, wygimnastykowana, nawykła; tamta wahała się, zalękniona chybotaniem łodzi. Tedy Zośka podała jej rękę i rzekła wesoło:

— Śmiało, tu się niczego nie lękaj. Jesteśmy u siebie! I zwróciła się do Kasjana:

— Likta jest?

— Nie ma. Powlekła się do Sydorów z babami trajkotać.

— I panicza nie ma?

— Nie ma.

— To dobrze. Zabierzcie rzeczy i na prostki przeprowadźcie nas do Ługów. Pamiętałeś o reperacji domu, Mironie?

— Tak jest, wedle rozkazu.

— No, to jazda!

Zapłaciła wioślarzy i ruszyła pierwsza. Nowo przybyła przytuliła się do niej ruchem wystraszonego dziecka, a Miron z Kasjanem, obławowując się tłumokami, zamienili swe spostrzeżenia.

— Nie sługa, bo ani się obejrzała za rzeczami.

— Musi być prawdziwa pani, bo bardzo cienka i rękawiczki nosi.

— Niczego sobie, taka chuderlawa i biała, jak pany lubią. Co ona będzie w Ługach robić?

— Panować tobie, zobaczysz! Ja by jej taki na moją panienkę nie handlował. Kraski nie ma, truśliwa, drepce jak indyczka, miastowe jakieś heho. Tyle to u nas na ziemi warte, co pajęczyna po kątach! Niby to nic, a tego ani pruć, ani tym szyć, takie śmiecie.

O zmroku Kasjan przewoził Zośkę do nowego dworu.

Rozpytała go o sprawy i roboty, dała moc poleceń, wreszcie rzekła:

— Nie powiesz nikomu słowa, że ze mną przyjechała druga pani. Nikomu, nawet Likcie.

— Panienska nie wie gadki: „Nie zadawaj się z policją, nie łżyj matce, nie gadaj sekretów babie, nawet własnej”.

— No, to dobrze — zaśmiała się. — Pamiętasz, co masz kupić jutro? Niechże tej pani nic nie braknie.

— Ojoj, co jej trzeba chleba i słoniny zjeść, żeby do ludzi stała się podobna.

— Słońca jej trzeba więcej niż chleba.

— Świeci każdemu, niech się nie chowa od niego i nie lęka, to ono pokrasić rade.

Psy zaszczekały i wnet, poznavszy Zośkę, rzuciły się wplaw na spotkanie łodzi, a z domu wyszedł Waław i stara Parczewska witając radosnymi okrzykami.

— Chciałem już jechać szukać ciebie po świecie. Sumienia nie masz. Trzy tygodnie bez wieści mnie zostawić.

Coś porabiała?

— Dajcie jeść i pić. Jednym tchem jadę z Warszawy — odparła przeciągając się i oglądając po domu z widoczną przyjemnością.

Gdy zasiedli we dwoje do herbaty w zacisznym gnieździe, zaczęła opowiadać.

— Bronkę znalazłam na ruinach sklepu, dzieci chore, graty opisane przez komornika. Lucjan już tam był i oboje zdecydowali procesować spółniczkę. Po rozejrzeniu się w sprawie potrafiłam ich przekonać, że rezultatem procesu będą tylko koszty. Szczęściem, że jak ich znasz, tych dwoje łatwo namówić, żeby nic nie robili, tym bardziej gdy się ofiaruję za nich robić. Otóż graty zostawiłam komornikowi. Bronkę z dziećmi zabrał na lato Lucjan, a że słyszeć nie chce o zamieszkaniu na stałe na wsi, że bez Warszawy żyć nie może, że dzieci już się uczą, zobowiązałam się w twoim i swoim imieniu dawać jej rocznie sześćset rubli, a Lucjan obiecał

płacić za chłopca gimnazjum i namówić Karola, żeby także paręset rubli dołożył.

— No, dobrze, ale dlatego siedziałaś trzy tygodnie?

— Gdym się ich pozbyła, szukałam twojej żony.

— Chyba takie wariackie pomysły mogły ciebie trzymać i dłużej.

— Nie. Znalazłam bardzo łatwo.

— Więc żyje — rzekł bezdźwięcznie. — Zapewne nawet dobrze jej się powodzi. Ładna była i jest młoda. I śmie nosić nasze nazwisko może?

Zośka zmarszczyła brwi i rzekła, jakby nie zauważyła przerwy:

— Ale była chora, więc zostałam przy niej, aż mogła wyjechać.

Wacław się zerwał.

— Jak to? Mogła wyjechać!

— Ze mną.

— Z tobą? Dokąd?

— Do mnie.

— Słuchaj, zwariowałaś? Jakim prawem?

— Jak to, jakim prawem? Mogę mieć u siebie, kogo mi się podoba.

— Tuś ją przywiozła, tu? A ja czymże ci jestem, a mnie nie raczyłaś spytać, czy ja pozwolę, czy ja chcę? Gdzie ona jest?

— Co masz pozwolić? Komu? Tobie jej nie przywiozłam, ale sobie.

— Więc mnie tym samym stąd wypędzasz!

— Człowieku, czego się miotasz? Nikt ci jej nie narzuca ani cię zmusza, byś się z nią spotkał.

Ona nawet nie wie, nie przypuszcza, byś ty tu był. Znalazłam kobietę chorą, w nędzy, pracującą ciężko, mieszkającą od sześciu lat w jednej kamienicy, w jednej stacji ze staruszką emerytką, która jak o łaskę mnie modliła, żeby tę jej opiekunkę odesłać jesienią. Zabrałam ją na wypoczynek, na odzyskanie, na odkarmienie. Wróci do pracy, gdy sił nabierze, ale będzie już odtąd pod moją opieką. Tobie jej nie narzucam, ale też nie masz prawa zabraniać mi spełnienia obowiązku.

— Gdzie ona jest? — spytał.

— Umieściłam tymczasem w Ługach.

— U mnie?

— Nie u ciebie, boś tutaj. Jeśli nie pozwalasz, tutaj ją zabiorę.

— Spodziewam się. Możesz to jutro uczynić, ja wyjeżdżam.

— Na długo?

— Na zawsze!

— Człowiek nie powinien używać dwóch wyrazów: „nigdy” i „zawsze”. Dokąd jedziesz?

— Nic ci do tego. Bądź pewna, że do ciebie potem nie wrócę. Zapowiadam ci jedno, że nie pozwalam, by używała mego nazwiska.

— Ja jej go nie dałam. Rozwiedź się, daj jej alimenty, wolność, wtedy możesz zabraniać. Ale ożenić się, rzucić kobietę na poniewierkę, potępić w szale i czuć się jeszcze bohaterem lub ofiarą, to trzeba być albo złym, albo niespełna rozumu. Ładnie byśmy wszyscy wyglądali, żeby nas Bóg tak za winy karać począł. Ale nazywamy się chrześcijanami, klepiemy pacierze, a tyle w nas z Chrystusa, ile w tym papierowym obrazku. Przysięgliście sobie nawzajem przed ołtarzem i któreż z was zerwało przysięgę? Ona ci oddana była, kochająca, wierna. Za coś ją wygnał, za przeszłość? Ona nie twoją; na coś wygnał? Na przyszłość, przysięgłszy, że jej nie opuścisz do śmierci? I teraz się na mnie wściekasz, żem ją przygarnęła? Chcesz znowu w szale czynić, jakieś wtedy postąpił? Twoja wola, ale wtedyś nie po ludzku, nie po chrześcijańsku postąpił i teraz to chcesz powtórzyć. Idź, ja ci jedno powiem na rozstanie: do śmierci będziesz mi druhem i bratem serdecznym, ja ci się nie zmienię, nie przestanę kochać. Jakem poznała tę drugą Zośkę, i ona twoją była i będzie. Ale po co nam tak się rozchodzić? Masz żal do mnie, złość, bunt, ale gdy się opamiętasz, to zrozumiesz, że to nie do mnie. Ty to wszystko masz do siebie, nie od dziś, od wtedy, to cię żre, nęka, trapi, męczy i trapić będzie, wiesz, dopóki? Aż kiedy *Ojcze nasz* zmówisz

— nie ustami, ale duszą i czynem! Wtedy zdrów będziesz i cichy, i wtedy będziesz szczęśliwy.

Wstała, przechodząc koło niego objęła go za głowę, pocałowała i wyszła. Noc była cicha, lipcowa noc. Minał sezon żabich plotek i słowicznych koncertów, jakieś malutkie bestyjki—owady ćwierkały w kalinach nad wodą i pluskały ryby w toni. Zośka usiadła nad zatoką i miała wrażenie głodu, który ta cisza syciła, zmęczenia, które ustępowało w tym spokoju i ciepłe pustkowia. Nie poruszyła się, gdy usłyszała za sobą kroki, ani gdy Wacław usiadł obok niej, nie odezwała się.

Usiadł o stopień niżej nad wodą i po chwili oparł głowę o jej kolana. Wtedy na tej głowie gorącej położyła rękę, przeszła pieścizotliwie po włosach. Bestyjki—owady ćwierkały w kalinach i czasem nad tonią z dyskretnym świśnięciem przelatował jakiś ptak wodny, spłoszony z gniazda.

— Przepraszam, Zośko — szepnął Wacław. Pochyliła się, pocałowała go w głowę.

— Ale to coś tak niesłychanego, coś zrobiła — dodał. Uśmiechnęła się.

— To określenie wiecznie mi towarzyszy w życiu. Tyś użył raz pierwszy, ale słyszę od dawna, ze wszęch stron. Gdym wyrwała się do Paryża na studia, powiedzieli: „To coś niesłychanego”; gdym odmówiła Owerle, gdym zechciała Czaharów, gdym tu osiadła i nie szukała ludzi, gdym oswoiła Kasjana — wszystko nazywają czymś niesłychanym. Myślę, że ludzie są bardzo głusi albo tak zatokowani w swych potocznych sprawach bytu, że nie słyszą wielu głosów i melodyj, i hejnałów, i jęków, i zgrzytów, i ech, które lecą, płyną, grają, tętnią, gdy się ktoś w ciszę wsłucha i w siebie. Wszystko to „niesłychane” dla mnie jest bardzo prostym, tak jak przyszłam do wniosku, że co w moim życiu uważałam za klęskę na razie, wszystko mi korzyść przyniosło, wszystko mnie wiodło w górę, uczyło myśleć, dojrzewać, czyniło człowiekiem. Jeden triumf byłby moim kresem może, opór, trudności dały hart i spokój. Jak tu dobrze, jak dobrze w tym porcie naszym, jak cicho, a jakie granie cudne w tej ciszy!

— Opowiedz mi, jak to było? — rzekł po chwili. Nie pytała, co, wiedziała.

— Warszawa jest przystanią tylu rozbitków, postanowiłam poszukiwania tam rozpocząć.

Znalazłam nazwisko, poszłam pod wskazanym adresem. Stróż udzielił mi pierwszych informacji, staruszka, która z nią mieszka, dalszych. Jej samej nie zastałam, była w fabryce kwiatów, gdzie pracuje od trzech lat. Staruszka niepokoiła się o nią, gdyż od pewnego czasu cierpiała bóle głowy, brak apetytu i snu i ledwie siłą woli pracować mogła. Dziesięć godzin roboczych za 75 kop., z tego utrzymywały się we dwie! Wyobrażasz sobie takie życie?

Opowiedziała mi staruszka, że ją poznała przed sześciu laty, kiedy straciła męża i poszukiwała sublokatorki. Była wtedy robotnicą w fabryce papierosów. Za ką na łóżko zgodziła się płacić trzy ruble miesięcznie i odtąd nie rozstały się. Staruszka miała nieco zajęcia; chodziła do bogatych cerować bieliznę i doglądać małych dzieci, ale od roku paraliż odjął jej rękę, była zupełnie niezdolną do pracy, na łasce serca obcej — także nędzarki. Jak ona o niej mówiła — nie opowieść to była, ale modlitwa. A potem bojaźń: kto jestem, dlaczego pytam, po co przyszłam, czy jej nie zabiorę skarbu. Była zgroza w jej oczach, wypłakanych, na pół ślepych. Uspokoiliam, że jestem daleką krewną, że mam do niej sprawę rodzinną. Spytała: „Może pani krewna jej nieboszczyka męża, bo ona własnej rodziny nie ma?” Potwierdziłam, a wtem drzwi się otworzyły i ona weszła.

— Kto inny, pewnie nie ta. Skąd poznać mogłaś, to niemożliwe.

— Średniego wzrostu, szczupła, ciemnowłosa, z bardzo ładnymi oczami piwnymi.

Popatrzyliśmy na siebie chwilę, muszę być bardzo do ciebie podobna, bo ona stała się, jeśli



możliwe, jeszcze bledsza, zachwiała się i nic nie mówiąc, dyszała trzęsąc się jak w febrze.

Staruszka zawołała:

— „Jezus Maria — tyś chora!”

Wtedy się opamiętała i spytała mnie szeptem:

— „Co pani każe?”

Umilkła Zośka i chwilę jakby się wahała. Waclaw podniósł na nią oczy, bez tchu był.

— Coś rzekła? — wyjąkał.

— Nic. Ucałowałam ją.

Znowu długą chwilę tylko ciszę tego wodnego pustkowia słyhać było i szelest niewidzialnych skrzydeł ptaków bożych czy bożych duchów. Spokojnym głosem dokończyła Zośka:

— Przeleżała dwa tygodnie w śmiertelnej niemocy. Gdy wróciło życie i trochę sił, ubezpieczyłam byt staruszki, ją sobie wzięłam.

— Wie, że ja tu jestem?

— Nie. Nie było o tobie mowy.

Znowu milczeli, zapatrzeni w gwiazdziste niebo. Na wschodzie poczał blednąc błękit i słyhać było szmer rosy zarannej i słaby powiew rzucił smugę miodowej woni leśnych ziół i kwiatów.

Czekał świat ciepły i cichy na zorzę.

— Co mam czynić? — szepnął Waclaw bezwiednie. Objęła go rękami za głowę i tak byli skroń o skroń oparci.

— *Ojczy nasz* zmów duszą całą, ona ci powie, posłyszysz w tej ciszy. Ja tam jutro u niej będę, wszystko ci przygotuję. Szczęście komu dać, otrząsnąć się od wstrętnej zmory, zwalczyć plugawą żmiję, czy to dla takiego ducha, jak twój, straszny trud?

— Boję się, nie czuję siły.

— To wyjedź na czas jakiś. Wypróbuj siebie.

— Myślisz, że wrócę?

— Jestem pewna. Masz do kogo wracać, masz dla kogo żyć. Człowiek jesteś!

— Wyjadę, spróbuję. Nie wiem — szepnął.

— Teraz ja spocznę — rzekła Zośka wstając.

Nazajutrz Waclaw wyjechał. Co dzień Zośka bywała w Ługach, wracała późno do domu.

Minęło tak parę tygodni. Pewnego wieczora ujrzała z daleka światło w swym saloniku, ucieszyła się, pewna, że Waclaw wrócił, ale poznała na łodzi u przystani wioślarzy z Szafranki. Motold przyплыł przed godziną, czekał na nią.

— Waclawa nie ma? — spytał na wstępie.

— Wyjechał trochę w świat. Niepokoi mnie, że za długo bawi, żałuję, że go puściła.

Zawahała się chwilę, spojrzała nań.

— Musiał pan mieć jakąś wielką troskę? Spróbował się uśmiechnąć.

— Nie, nie uważam. Miałem sporo kłopotu i ambarasu tylko. Spełniło się proroctwo Waclawa, zarwał mnie grubo ów Bronikowski. Pieniądze przepadły, ale on już szkodzić nie będzie, złapano ptaszka w Hamburgu. Straciłem kilkadziesiąt tysięcy, lecz może mnie gorzej dotknęły triumf i złośliwa radość współobywateli z tego wypadku. O tym tylko mówią, to tylko krytykują i cieszą się, radują: „Wpadł Motold — kłapnie Motold — uczył wszystkich — dobrze mu!” Cieszą się — za co? Com im kiedykolwiek złego zrobił? Gorzko!

Przesunął ręką po głowie, która siwiała coraz bardziej, z dniem każdym zda się, i dodał:

— Pora odejść! Nic już nie mogę uczynić — ni ludziom, ni sobie.

Ona milczała, usunęła się instynktownie w cień, zaczęła sprzątać gazety ze stołu, a on po chwili zapanował nad sobą i rzekł:

— Żałuję, że Waclawa nie zastał. Może by rad był słyszeć, że ów Bronikowski pod kluczem. Miał z nim także, jak uważam, spory rachunek.

— Tak, ale taki, który sądów się boi. Ta jego siostra jest żoną Waclawa.

Motold się zdumiał. Tedy mu opowiedziała sprawę — utrzymując miano siostry, pozorując szantaż, w którym kobieta była niewinną ofiarą — opowiedziała dalsze losy, aż do ostatnich dni.

— Kochał ją, wróci — upewnił, gdy się niepokoiła, że tak długo bawi. — Zresztą, chce pani, pojedę za nim, przywiozę. Jestem pewny, że wróci. Jeśli tej pamięci złej i dobrej pozostał wierny, to pani zwycięstwo pewne. Podziękuje pani za szczęście. Takim rad za niego, aż się cieszę, że przecie ta moja niefortunna znajomość z Bronikowskim spowodowała jego wyznanie.

Ożywił się i poweselał, rozmawiali czas jakiś o tym przedmiocie, ani się nie obejrzał, jak godziny biegły. Zegar wybił dziesiątą. Motold drgnął. Spojrzał na siedzącą naprzeciw niego dziewczynę, umilkł nagle i rzekł po chwili namysłu:

— Jam tu dziś przybył w ważnym interesie jako poseł Noltena. Pani się zapewne domyśla, o co chodzi?

— Ani trochę. Chyba pan Nolten chce dostać prawo na polowanie? Prawda, Kasjan mi mówił, że są łosie na Pohybelniku.

— Nie, pani, Nolten prosi o prawo bywania tutaj.

— Tego mu nikt nie bronił i bronić nie zamierza.

— Ale on tu chce bywać w zamiarze starania się o rękę pani.

Spojrzała nań chwilę, zdumiona, potem wybuchnęła śmiechem tak szczerym, jakby na dobry koncept.

— A po cóż mu ta ręka? Nie pytał pan podejmując się poselstwa?

— Skokietowała go snadź pani tak silnie, że chce się żenić. Kocha panią — odparł Motold jakimś niechętnym tonem.

Ton ten podziałał na nią, przestała się śmiać. Było nieco rozdrażnienia w tej odpowiedzi.

— Dziwię się, że pan w takim razie przyjął rolę posła. Skokietowany mógł doskonale sam się porozumieć z kokietką.

— Czy mam mu to powtórzyć?

— O nie. Jeśli to, co mu dawałam, nazywa kokieterią, to o więcej niech się nie stara, bo mógłby równie się omylić i nadal. Uścisk dłoni mógłby wziąć za oddanie ręki, a tu nie jest

„cztery mile za Warszawą” i ja „pawą” nie jestem.

— Więc pani mu nie czyni żadnej nadziei? Pani wie, że jest to milionowy człowiek — i w gruncie dobry.

— Równie mi niepotrzebne jego miliony, jak i dobroć, dla tej prostej przyczyny, że ja go nie chcę, a jestem o tyle bogatsza, że on ma miliony, a ja mam tu swój raj i żadna pokusa mnie zeń nie wygna.

— To stanowcze pani postanowienie? Może się pani namyśli, rozważy? Może on będzie ode mnie wymowniejszy, potrafi przekonać?

— Mnie? Przekonać? Ależ ja jestem zupełnie przekonana, że pan Nolten jest świetną partią, że potrafi uszczęśliwić każdą, tylko nie już szczęśliwą i już mającą partię. Wybacz pan, ale sprzedawać siebie może albo głupia, albo nędzarka, albo próżna, a takie małżeństwo czym by było, gdy usuniemy formę i literę, a weźmiemy tylko treść?

— On jednak twierdzi, że okazywała mu pani sympatię.

— Pan stanowczo wini mnie w tej sprawie. Możem istotnie fałszywie postępowała. Byłam prosta, swobodna i uprzejma jak z każdym. Nigdy nie widziałam w mężczyźnie konkurenta, nigdy nie żywiłam marzeń i zamiarów matrymonialnych. Widocznie szczerść naśladowuje kokieterię i odwrotnie, kiedy się taki światowiec na tym nie poznał. Bardzo mi przykro, że go w błąd wprowadziłam, zaczynam wierzyć w zdanie Kasjana, że nie rozumiem uczuć.

— Jednakże muszę prosić panią o powtórzenie tego wszystkiego osobiście Noltenowi. Wysłał mnie dla formy i ceremonii. Jest pewny przyjęcia, nie uwierzy na słowo, będzie myślał, że złe polecenie spełnił, że pani nie zrozumiała.

— Dlaczego pan wygląda jakby nierad mojej odpowiedzi? Czy pan naprawdę także przypuszczał, że przyjmę ofertę?

— Pani to traktuje omal nie humorystycznie.

— Nie widzę racji do elegii lub dramatu.

— I lekko — dokończył — a przecie to rzecz wielkiej wagi, to przyszłość pani. Proszę mi wybaczyć, znamy się tak dawno, nie chciałbym, żeby pani dla jakiejś mrzonki, uporu, została na całe życie samotną. Znam Noltena — pani uczyni z niego, co zechce; przed panią szerokie pole działania. Użyj pani tych milionów na dobre, potrafi dać im wzniosły cel.

Spoważniała, pogłębiło się spojrzenie. Założyła ręce na piersi, słuchała uważnie. Gdy skończył, nie odpowiadała, tylko jej rysy tężały w jakieś postanowienie nieodwołalne.

Po chwili milczenia spytał:

— Więc pani pozwoli, aby Nolten sam po ostateczną odpowiedź przybył?

— Jeśli pan sobie życzy, niech przybędzie — odparła zupełnie obcym głosem.

Powstał, aby się pożegnać, wstała i ona, podali sobie dłonie.

— Pani mnie rozumie? — spytał.

— Nie, ale to wszystko jedno. Wiem, co mam robić. Dobranoc.

Przeprowadziła go na ganek, cofnęła się bez słowa i zostawszy sama, przerzuciła nuty, wzięła jeden zeszyt i usiadła do pianina. Chwilę czekała, żeby łódź mogła odpłynąć, potem poczęła grać.

Nolten czekał na Motolda w Szafrance.

Gdy wsiedli do powozu, spytał:

— No, i cóż? Zglupiała, nie spodziewała się?

— Myślę, że przyjmie.

— Dobryś! Myślisz ledwie! Toś naiwny.

— Powiedziała, żebyś sam przyjechał.

— Kiedy?

— Kiedy chcesz. Co prawda, o tom nie pytał.

— Jutro! Głupstwo szalone robię, ale stać mnie na każdy wybryk. Wyobrażam sobie wrzask, jaki się na świecie podniesie, aż tu słyhać będzie! Trochę się lękam, czy potrafi dobrze reprezentować, czy się nie skompromituje z początku, ale wygląda sprytnie; połapie się, wytrze, wyszlifuje. Figurę ma dobrą, żeby cał wyższa, byłaby pokaźniejsza, ale jak się nauczy głowę nosić, to ujdzie. Zresztą śliczna, ach, jaka smaczna!

— Brat jej wyjechał, może byś poczekał z oświadczeniami, aż wróci? — przerwał Motold.

— Sama jest, tym lepiej. Obejdziemy się bez opiekunów i świadków. Co to jutro? Niedziela

— święto: *Morgen ist Feiertag — Feiertag.*

*Am liebsten morgen ich sterben mag!* — dopowiedział w myśli Motold.

Nolten w świetnym humorze poklepał go po ramieniu i zawołał z grubą dobroduszością niemiecką:

— Co, stary, nie cieszysz się? Truje cię ta awantura z drzewem? No, za swatostwo i zapoznanie mnie z tą dziewczyną dam ci te pięćdziesiąt tysięcy bez procentu na pięć lat.

Motold ani drgnął.

— Dziękuję ci — rzekł spokojnie — alem już dostał kredyt, to załatwione.

Nolten miał ochotę obrazić się, ale tak był zajęty nową swą fantazją, że wnet począł snuć projekty i już szwagra nie zaczepiał, nie uważał jego milczenia.

Zośka wczesnym rankiem udała się do Ługów, zabrała swą pupilkę i pojechały o milę do lasu na grzyby. Młoda kobieta przez te parę tygodni nabrała zdrowia i sił, straciła wyraz zalęknienia i nieśmiałości pariasa, nauczyła się uśmiechać, mówić. Cieszyła się naturą jak dziecko, była rada, wdzięczna.

— Nie nudzisz się? — pytała ją często Zośka.

— O nie, i tak mi tu dziwnie swojsko i bezpiecznie przy tobie, jakbym u matki była.

Tego dnia po raz pierwszy wspomniała jej Zośka Waclawa. Gdy zmęczone chodzeniem usiadły na mchach, wyciągnęła się wygodnie i rzuciła obojętnie, jakby najzwyczajszą rzecz:

— Wacek powinien się do mnie zjawić tymi czasy. Kobieta zatrzęsała się, zbladła i drzeć nie przestała, nie mogąc słowa wymówić.

— To mnie, to mnie trzeba już wracać — wyjąkała wreszcie. — Ja nie wiedziałam, ja myślałam, że on tu nie bywa. To ja nie powinnam tu być.

— Dlaczego? Jesteś u mnie!

— Daj mi wyjechać! Nie mogę zostać! Mój Boże, on pomyśli, że śmiem mu się narzucać.

Muszę wyjechać! Czemuś mi nie powiedziała?

— Mówię właśnie. Ależ się uspokój, zastanów. Byłabyś tu, żeby ci groziło co złego, krzywda czy upokorzenie, jak myślisz? Żeby cię nie narazić na spotkanie, nie mieszkasz ze mną razem.

Zresztą, on wie, że tu jesteś. — Zośko!

— I wie, że nie wiesz, gdzie on. Wszystko wie.

— Boże, po coś mi to zrobiła? Ja nie mogę zostać! Ja nie zostanę! Puść mnie, wrócę do Warszawy.

— Ależ dziecko jesteś. Co przeszło, minęło i nie wróci. Rodziną jesteśmy z nim czy bez niego. Zaufałaś mi i myślisz, że ci wróg?

— Nie, nie, tyś anioł, tyś ideał, ale przecie rozumiesz, to ohydne, to bezczelne, to podłe, żebym ja tu była, jak bym mogła mieć prawo jemu w oczy spojrzeć.

— A dlaczegoż, pytam, nie masz mu w oczy spojrzeć? Zdradziłaś go, okryłaś wstydem i hańbą?

— Ty nie wiesz, ty nie wiesz! — wyszeptała.

— Wiem, że to twój mąż, żeście się kochali. Czyś go zdradziła? Kochasz innego?

Kobieta wzдрыgnęła się tylko z beżmiernym wstydem.

— Więć nie masz czego ani rozpaczać, ani się go bać, ani wstydzić. Nie narzucasz mu się też ani żebrzesz łaski, u mnie jesteś i będziesz!

— Nie, nie, nie zostanę. Daruj! Dziękuję ci za wszystko, ale nie zostanę! Jakes mówiła: „Co przeszło, minęło, wrócić nie może!” Ja sobie pójdę, nie chcę, nie mogę! Przeszłam dość męki, nie zniosę więcej.

Zerwała się, w oczach miała rozpaczne postanowienie.

Chybiłam — pomyślała Zośka. — Trzeba było milczeć, jego tu przysłać. Chybiłam.

W tej chwili rozległo się wołanie, odpowiedziała poznawszy głos Kasjana. Biegł drogą i machał rękami. Podeszły ku niemu.

— To się panienka w kąć daleki zaszyła. Prędziej, trzeba wracać. Panicz przyjechał i na gwałt panienki potrzebuje, bo ten ryży grafski szwagier też siedzi i na panienkę czeka.

Zośka syknęła i zamruczała przez zęby jakieś niechrześcijańskie życzenia pod adresem Noltena. Szła do wozu, który Kasjan w mig zawrócił i nie zważając na korzenie, popędzał klacz.

Coś gadał, nie słuchała, rozważała, co czynić.

— Zosiu — rzekła wreszcie serdecznie do towarzyszki — jutro rano będę u ciebie, jeśli cię przekonać nie zdołam, odprowadzę cię do Warszawy, dobrze?

Nie było odpowiedzi, dawny wyraz załęknięcia, zgrozy, rozpaczy wrócił na pobladłą twarz.

Zęby szczękały jak w febrze.

A wóz pędził, były już w Ługach.

Tedy jeszcze raz zakłęła ją, by się uspokoiła, opamiętała; przekładała, że jej nic nie grozi, a widząc, że nie przemoże śmiertelnej paniki, zdecydowała się jechać prędziej do domu, Waclawa przysłać lub pozbywszy się Noltena, wrócić wieczorem.

Sama, pomimo wielkiej woli i panowania, czuła się rozdrażnioną, złą na siebie, że samochcąc wywołała komplikację, i w najgorszym usposobieniu wylądowała przed swą osadą.

Nolten z Waclawem przywitali ją na brzegu. Nie mogła zamienić z bratem żadnego poufnego słowa, rozmowa stała się ogólną, ale czuć było, że pomimo zachowania form każde z nich myślą było nieobecne. Wreszcie Zośka zrozumiała, że Nolten wylew swych uczuć chowa na sam na sam z nią, i przechodząc szepnęła bratu:

— Zostaw nas samych na chwilę, niedługo. Spozrzegła niezmierny podziw w jego oczach, ale usłuchał i po chwili wyszedł. Wtedy Nolten od razu rzecz zagaił, bardzo zřęcznie i swobodnie.

— Dziękuję panu za honor i zaszczyt — odpowiedziała. — Ale myślę, że jeśli nie dziś, to w bardzo niedalekiej przyszłości wdzięczny mi pan będzie, że odmówiła tej fantazji. Bo to tylko fantazja, która by się skończyła bardzo prędko drapieżnym rozdźwiękiem. Za długi termin fantazji — całe życie, i bardzo dla nas obojga szczęśliwie, że ja to życie trzeźwo widzę. Nas nic nie łączy, a wszystko rozdziela, a najważniejsze, że ja nie czuję się na siłach podjęcia obowiązków pańskiego stanowiska społecznego. Dziękuję panu raz jeszcze zaszczyt i uważajmy sprawę za skończoną przyjaźnie i życzliwie.

Nolten na razie osłupiał, nie wierzył uszom, potem poczerwieniał.

— Pani odmawia? — wyjąknął. — To niemożliwe!

Poruszyła brwiami lekko.

— Motold zaręczał mnie, że pani się zgodzi. Pani się rozmyśliła od wczoraj.

— Pan Motold prosił, abym stanowczą odpowiedź dała panu osobiście. Może myślał, że będzie przychylną.

— On mnie w błąd wprowadził. Nigdy bym się nie naraził na taką kompromitację. Co prawda, nie spodziewałem się kosza od pani. Była pani dla mnie zawsze łaskawą, przypuszczam, że chyba jestem ofiarą intrygi, plotek, chociaż nie rozumiem...

— Niech pan nie szuka innych powodów, jak ten, który czuję i podaję. Nie uważałam pana za konkurenta, byłam swobodną. Żeby przypuszczała, że pan chce się o mnie starać, postawiłabym inaczej stosunek, nie wprowadziłabym pana w błąd. Nie mam wcale zamiaru wychodzenia za mąż.

— To się tak mówi. Jeśli pani odmawia mnie, to dowód, że pani kocha i rachuje na innego.

Popatrzyła nań chwilę z taką chłodną dumą, że się stropił i wzrok spuścił. Ale dotknięta próżność rzuciła mu znowu na twarz fale krwi i ostre słowa na usta.

— Może nawet wiem, kto to jest — i z tym się porachuję.

Zdawało się przez sekundę, że jej wzrok się zachwiał, ale wnet oczy odzyskały nieugięty stalowy błysk i nozdrza się rozděły buntem na groźbę.

— O, proszę pana — wyrzekła powoli — wolnam jest i tak spokojna, że nic mojego pan osiągnąć nie może. Postąpiłam z panem uczciwie, co dalej pan czynić zamyśla, do mnie nie należy. To już sprawa pańskiego honoru.

Nolten się zachnął.

— Żegnam panią — rzekł w sztywnym ukłonie.

Ukloniła mu się i ona — wyszedł. Patrzyła, jak odpływał,] zmarszczyła brwi.



— I to się nazywa miłość! — mruknęła ironicznie. — I gdybym się zgodziła, to by się nazywało szczęście.

Przez drzwi zajrzał Wacław.

— Awantura! Ta małpa chciał się z tobą żenić! — wybuchnął pół obrażony, pół śmiejący.

— Co gorsze, że odjechał wróg.

— Co on ci może szkodzić? — ruszył ramionami.

— Zapewne, zresztą wszystko dobrze, gdyś wrócił. Płynmy zaraz do Ługów, ten nam tyle czasu zajął, a ja jestem w strachu o nią.

— Dlaczego?

— Dziś pierwszy raz była mowa o tobie i boję się, że niepotrzebnie mówiła. Złękła się, nie chce zostać. Jedźmy zaraz!

Wyszli na zatokę.

— W dobrą chwilę Kasjan się zjawia.

— Prędzej, popłyniemy! — rzekł Wacław.

Kasjan na malutkiej pławicy wiózł ryby do kuchni, przybił i wyskoczył.

— Zaraz nas do Ługów zawieziesz. Pani stamtąd nie widziałaś?

— Jakże! A toć zaraz, jak panienka odpłynęła, przybiegła i z Naumem do miasta się zabrała.

— Daleko być może? Dogonimy ją? — spytała bez tchu. — Miała rzeczy z sobą?

— Jaz nie widział. Likta mówiła. Nie dogonimy, chyba już w mieście.

Spojrzeli na siebie bez słowa, wreszcie Zośka zawołała desperacko:

— Com ja, głupia, urządziła? Trafi na kolej, następny pociąg dopiero jutro! Co robić?

— Pojadę za nią — zawołał Wacław. — Bierz się do wiosła, Kasjan!

— Pieprzu panicz się najadł, taki szparki — zamruczał chłop. — Oj, coś mi się zdaje, że Miron oberwie, było mu pilnować ptaszki.

— Ruszaj, może dogonimy!

— Ja pleców nie pożałuję. Dogonimy, tyle biedy, ja także swoją dogonił. Baba nie złoty pieniądz, nie przepadnie, jak się potoczy. Nic za nią nie kupić, niełakoma znajda!

Czólno odbiło i pomknęło jak ptak. Jeszcze słyszała Zośka resztę monologu Kasjana:

— Baba jak kwaśne jabłko. Je człowiek i pluje, i znowu je, aż mu zęby tak ścierną od tego smaku, że i patrzeć nie może, nie tylko w gębę wziąć. Nu, niech panicz poje trochę, spędzi ochoty!

Nazajutrz Kasjan wrócił, zbiega nie dogonili, Waclaw przysłał słów parę, że za nią jedzie, a Kasjan zdecydował w końcu swego sprawozdania:

— Siedziała pod bokiem w Ługach, to panicz zabrał się akurat wtedy na mandrówkę, a jak uciekła, to goni. I dziwić się to, że nawet Pan Bóg ludziom nie dogodzi. No, to my teraz z panienką powinni do tych łąk na Szczerbie się zabrać i chłopom rozdać do czyszczenia łozy.

Sydorce dokuczają, żeby im wyznaczyć kawałki.

— Zwołaj ich na jutro, będę o świcie w młynie.

— To ja doskoczę na wieś i na noc tu wrócę, to raniutko panienkę zawiozę.

Zośka rada była tej robocie, odrywała jej myśli od niepokoju o Waclawa. Zajęcie to było zmudne i uciążliwe, na łąkach często grząskich, wśród labiryntu wodnych żył, w gęstwinach łozy i oczeretów rozdawać chłopom działki, które obowiązywali się wykarczować, wypalić, wyrównać, za cenę dwuletniego pokosu siana. Szli gromadą, ona z Kasjanem naprzód, chłopci za nimi. Było mnóstwo kwestii, targów, narad, rozhoworów, gdy noc przyszła, byli w głębi tego pustkowia i rozłożyli obozowisko, bo wracać na nocleg do młyna nie było sposobu. Chłopi w mig rozpalili ognie, w mig sklecili dla panienki budę z chrustu i szuwarów, sami się pokładli na trawie, przegryźli chleba i suszonej ryby i posnęli. Zośka otuliła się w płaszcz i uczyniła to samo.

Ale jeszcze przed zaśnięciem pomyślała z uśmiechem, co by Nolten powiedział, żeby ją tu, w tym otoczeniu zobaczył. Pewnie by się nie oświadczył.

O świcie ruszono dalej i dzień cały zeszedł jak poprzedni. Tylko wieczorem, gdy urządzono obóz, chłopci zdecydowali, że jutro już zanocują w młynie. Mówili to z żalem, radzi włączędze po tych ukochanych błotnych tajniach. Żeby ich Zośka nie popędzała, rozwlekliby robotę z przyjemnością na tydzień. Gdy posiliwszy się razem z nimi, poszła spać do budy, oni, ćmiąc fajki, gadali o niej jeszcze długo.

— Sokół ludyna! — powtarzali cmokając z przyjemności. — Jak sarna idzie przez błoto; ani się chybnie, ni stracha, a wszystko wie i nie powie głupiego słowa.

— Zdrowa ona jak ta czereśnia, a silna bez końca. Nie ustała ni na moment. Taka sprawna i ochocza!

Potem posnęli. Ale Zośka właśnie tej nocy, czy z przemęczenia skwarem dnia, czy z niewygodnego posłania, źle spała. Obudziło ją coś wśród nocy, targnęła niepokój czy zmora. W

budzie było duszno, pić jej się chciało, wstała i wyszła. Tedy ujrzała na horyzoncie łunę pożaru, wielką, czerwonorurą płachtę, szeroko obejmującą niebo. Zorientowała się w kierunku, a że jej się zdała w stronie Ługów, targnęła za ramię Kasjana, który spał na straży jej szałas. Ocknął się

natychmiast i od razu pożar ujrzał, więc się zerwał, rozglądał się, zawęszył.

— Czy to nie Ługi? — spytała.

— Nie, to coś dalej, dymu nie czuć i to nie pokazuje na dwór ani na wieś. To gdzieś się palą łąki, a prędeż lasy. Szeroko zajęło! Boć i susza była straszna. Niech panienka śpi, to nie u nas, to dalej. Jeśli nie rządowe w Szczepkach, to łasickie lasy się palą.

Pobudzili się chłopci, poczęli się domyślać, spierać, przekonywać jeden drugiego i stała tak długa chwila cała gromada w łunę zapatrzona i nawet na tych twarzach apatycznych, zimnych znać było wrażenie wobec jedynej klęski, której chłop się boi.

— Szmat dobra ginie! — mruzcili.

— Uchroń Boże każdego. Ale to taki nie inaczej, chyba lasy grafskie.

Zoškę dreszcz trząsał. Chłopi się rozbudzili, sen nawet ich odleciał, poczęli opowiadać o różnych pożarach i co chwila któryś wołał:

— Widzisz, coraz szerzej idzie, może wpadło w te ostępy, gdzie sążnie stoją, tam pohula!

— Albo gdzie deski złożone. Tam się nazre!

A łuna rosła, jak purpurowa chmura rozsuwała się, wyżej nad nią dymy czerniały.

— Choć on graf, taki i jego szkoda! — rzekł Kasjan.

— Licho Lacha nie weźmie! — ktoś mruknął.

— Wiadomo, że nie! — odparł Kasjan. — Był pan i będzie, ale zawsze zgryzoty zazna, a on sprawiedliwy pan. Jeśli to naprawdę u niego się pali, polecę ratować.

— Już pewnie setniki naród pędzą. Las ugasić, to robota krwawa!

Powoli świt wstępował i jasnością swą gasił łunę, tylko czarność dymów została i trwała dzień cały. Robota szła żywiej, wszyscy chcieli się dowiedzieć rzetelnej prawdy i gdy wsiedli wieczorem na czółna, pierwsze pytanie do spotkanego na rzece chłopca było:

— Co to się pali?

— Grafska leśna kantora — i poszło w puszcze, popędzili cały naród na ratunek..

— A ty gdzie płyniesz?

— Do miasta posłali z papierem po więcej policji.

— Bieźmy i my! — huknął Kasjan.

Nie zatrzymali się we młynie, pomknęli dalej. Zośkę wysadził Kasjan w jej osadzie i dalej popędził na czele sydorców.

Dwa dni stały czarne dymy nad całą okolicą, dwie noce luna biła w okna Zoścynego domu, aż wreszcie trzeciego ranka, czarny, osmalony, ochryply, w podartej odzieży, do stracha podobny, zjawił się Kasjan.

— No, i co, ugasili? — spytała.

— Doszło do rzeki i stanęło, ależ wymiotło! I deski poszły, i sążnie, i najlepszy szmat puszczy! Piekło czyste! Gadają, że gotowego towaru przepadło na setki tysięcy. Dwóch ludzi na śmierć się popiekło, dostępu nie było, z gorąca dur ogarniał. Leśniczówki my nie dali, ale, ot! —

i pokazał popalone ręce i włosy.

— A pan co? Bardzo strapiony?

— Jego całkiem nie było, on może i nie wie. Tego wieczora pojechał, bo mu żonka pomarła.

— Umarła! — powtórzyła Zośka blednąc.

— Mnie już wtedy, jak z paniczem do miasta jeżdż. Żydy gadali, że pomarła, ale myślałem, że plotą bajki. Niestara była podobno, ale widno jej tyle odmierzone było. Nikogo z panów nie było, komisarz ludzi pędzał. Wódki nie żalowali, ale żeby pan był, toby ochotniej szło. Nu, ja zdrowo się narobił, da mnie baba za odzież i koszulę. Bez kija i na oczy się jej nie pokazuj, bo zasokoczy.

Trzeba jutro panience być nad wieczorem we młynie, mąkę i rybę do Filipowa wyprawić.

— Będę! — odparła.

I była, i stamtąd do Ługów dojechała i wynajdywała roboty i zajęcia, byle nie być samą z myślami.

Wieści od Waclawa nie było, bo telegraf był aż w powiatowym mieście, a list szedł tygodnie w te odludzia, więc trzeba było pracować i czekać.

W niedzielę następną Zośka po obiedzie czytała u okna, gdy psy podniosły gwałt, więc wyjrzała i zobaczyła w zatoce czółno, a w nim — o dziwo: Bronkę i Karola.

Po chwili przykrego zawodu, że to nie tamci wracają, wyszła na spotkanie gości i powitała ich uprzejmie, nie okazując ani zdziwienia, ani szczególnej radości, prosto, jakby się wczoraj rozstali.

Oboje poczęli się zachwycać urokiem jej siedziby i roi natychmiast się wytłumaczył, że mieli być z żoną, ale ona „już nie wyjeżdża”, lecz gdy tylko stan zdrowia pozwoli, marzy, by się z nią zapoznać.

— A gdzież Waclaw? — obejrzała się Bronka.

— Wyjechał z żoną na parę tygodni za granicę.

— Z żoną? — wytrzeszczył oczy Karol i jak echo to samo powtórzyła Bronka. Zośka się roześmiała.

— Ano z żoną. Co w tym tak osobliwego?

— Jak to? Ożenił się? Kiedy? Z kim? — posypały się pytania.

Wprowadziła ich do domu, zakrzętała się koło ugoszczenia i posiłku, na grad pytań odpowiedziała dopiero załatwiwszy z Parczewską gospodarczo—kulinarną sprawę.

— Ożenił się już przed paru laty, na Kaukazie, z Polką. Co prawda, nie pytałam, jak z domu.

Na imię ma Zofia, młoda, ładna, bardzo miła i porządna kobiecina. Kochają się, jest im ze sobą dobrze, a że trochę malaria jej zaczęła dokuczać, wyjechali w góry.

— I nikomu z nas nie dał wiedzieć o tym? To niesłychane. No, i co? Tak siedzą w Ługach, nigdzie nie bywają, z nikim nie myślą żyć? Wiesz, to coś monstrualnego — wybuchnął Karol.

Zośka ruszyła ramionami.

— Cóż poradzisz? To przestępstwo nie da się podciągnąć pod żaden paragraf kodeksu karnego.

— No, ale są pewne względy towarzyskie, rodzinne, obyczajowe. Świat nie może się zapełnić odludkami, żyjącymi co najwyżej w parze.

— Nie lękaj się, nie zapełni. Będzie zawsze więcej amatorów towarzystwa i stosunków.

— No, i naturalnie wziął pewnie bez funduszu.

— Nie wiem. Zdrowa jest, pracowita, skromnych wymagań, o pieniądzach my tu prawie nie wiemy, nie bardzo nam potrzebne.

— No, proszę, to skandal. Wacław żonaty. I nie myśli wcale żony wprowadzić do rodziny, oddać wizyt, przedstawić jej nam? A dzieci są?

— Nie. Co on myśli, a czego nie myśli w tej kwestii wypadania i niewypadania, nie wiem.

Napisz do niego, to ci odpowie. Tymczasem zdrożeni jesteście i głodni, chodźcie co przegryźć, zanim obiad będzie.

— Jak tu u ciebie ślicznie! — rzekła Bronka — ale straszno. Jak ty się nie lękasz tak mieszkać sama, ja bym umarła ze strachu pierwszej nocy.

— To prawda, kamienica bez stróża, na rogu nie ma stójkowego, okropność — śmiała się Zośka.

— Jak sobie chcesz — wtrącił Karol — ja bym się tu z nudy powiesił. Żadnego sąsiedztwa ani żywego ducha, nigdzie pojechać, rozerwać się.

— Po co mam się rozrywać? Wolę być cała.

— No, chyba dasz się namówić, odwiedzisz nas nie czekając wizyty Niny, nie będziesz się ceremoniować w rodzinie. Zobaczysz, com zrobił z Woronnego, nie poznasz, takim wycywilizował.

— Istotnie, ślicznie urządził — dodała Bronka. — Teraz tam tak wesoło, gwarno, tyle dzieci!

Bośmy z Lucjanami przyjechali całą bandą i wybraliśmy się do ciebie, żeby cię także ściągnąć.

Mówię ci, taki wesoły gwar dzieciaków. Nina taka dzielna gospodyni, zabawisz się w serdecznym kółku rodziny.

Zośka poczuła dreszcz zgrozy na samo wyobrażenie w myśli tego wesołego gwaru dzieciaków (było ich w kupie sześcioro — z ostatnim Lucjanów, które miało rok życia) i tych dwóch matek tego stadka, i tego ciepła rodzinnego kółka, i tej zabawy obiecaniej. Odpowiedziała, obiecując się na potem, po powrocie Wacława, i zagadała co rychlej kwestię pytając o Wilszyców.

Tu Karol opowiedział humorystycznie sprawę o czwórce kasztanów, potem przeszedł na różne anegdoty i plotki, a wreszcie rzekł:

— A wiesz, że Motold krachnął!

— Słyszałam, że poniósł grubą stratę w lesie.

— To jeszcze nic, ale żona mu kipnęła. Był triumf, radość w tonie opowiadającego.

— Skończona parada, trzeba oddawać miliony. Będzie zmuszony sprzedać Łasick i pójdzie z kijem. Podobno z Noltenem są na noże, już przysłał i do Wzajemnego Kredytu, i do Towarzystwa Rolniczego prośbę o uwolnienie z urzędu prezesa. Kredytu nie ma na grosz, nigdzie się nie pokazuje, wstydzi się.

— Czego? — spytała krótko.

— Dobraś! Tak na łeb zlecieć. Z pierwszego na ostatniego. Tyle lat uczył, moralizował, krytykował, sądził, reprezentował, a teraz każdy najgłupszy drwi z niego.

— To prawda, najgłupszy — powtórzyła. — Ale Łasicka jeszcze nie sprzedał?

— Już targują agenci. Kwestia czasu. Że się nie utrzyma, to fakt. Podobno próbował

naciągnąć mego teścia na pożyczkę, ale się nie udało. Bagatela, trzeba mu trzykroć na stół.

Zresztą, kiedy taki mądry, niech teraz sobie mądrzy.

Zośka nie pytała więcej. Stara Parczewska podała obiad. Bronka zaczęła opowiadać o swych dzieciach i nieprawościach kapeluszonej współpracownicy. Karol się chwalił postępowym gospodarstwem i stosunkami w okolicy. Byli tacy radzi mówić o sobie, że bawić ich nie

potrzebowała.

Po obiedzie zasiedli w gabinecie. Zośka słuchała, myślą gdzie indziej, rada, że jej nie pytają, że nie każą dysputować, zgodna na wszelkie ich zdania i poglądy, których treścią był zachwyt nad sobą, drwina, lekceważenie i krytyka reszty ludzkości. Nareszcie Karol spojrzął na zegarek i zaczął sprawę, która była powodem tych braterskich odwiedzin. Pytał o jakieś papiery i kontrakty dzierżawne, których odnaleźć nie umiał. Objąsniła, gdzie ich szukać ma, dała mu notatki, daty, szczegóły. Wtedy przypuścili znowu szturm, by przyjechała, nie zanieczyściła rodzinnych stosunków, pamiętała o świętych węzłach krwi i serca, zapewnili, że ją bardzo kochają, ucałowali ją i zabrali się do odwrotu, bo Bronka lękała się nocą wracać i lękała się nocować bez ludzi.

Gdy wsiadali do łodzi, lądował właśnie Kasjan. Karol go poznał.

— Jak się masz! Słyszałem, żeś na porządnego człowieka wyszedł. Kto by się spodziewał.

— Słyszał pan? Ot, sławniejszy ja widno od pana, bo ja o panu nie słyszałem! — odparł chłop błyskając zębami w uśmiechu drapieżnego zwierza.

Karol nie uważał czy nie zrozumiał zuchwalstwa, jeszcze z łodzi uprzejmie się do siostry uśmiechał i zawołał:

— Przyślijże nam Wacława. Przyjedźcie razem.

— Szczęśliwej drogi, bądźcie zdrowi — odpowiedziała. Bronka zaczęła krzyczeć, bo łódź się chybotwała, trzymała się konwulsyjnie burty. Karol usiadł mało co mniej wystraszony.

Kasjan zmrużonymi szyderczo oczami patrzył za nimi.

— Aj, żeby ich tak skąpać na wielkiej głębi, toby ścichli od razu. Spasł się „panicz Lolko” jak bujak, a za to panienczyzna siostra to istny „suchopostój”.

— Po coś przyjechał? — spytała brwi marszcząc.

— Panienska się swarzy na mnie, a ja mówię, jak prawda jest. Przyjechał ja z kartką od naszego panicza.

— Wrócił?

— Co dopiero.

— Sam?

— Bodajże. Dwa czółna rzeczy i statków przywieźli.

— A pani, czy jest?

— Ojej, tyle rupiecia, to i baba do tego musi być w dodatku.

— Dajże kartkę.

Kasjan podał świstek papieru, na którym było tylko to: „Błogosławionaś, Zośko, naszym szczęściem” i podpis obojga. Uśmiechnęła się i zamyśliła patrząc na te słowa.

A Kasjan wpatrywał się w nią i aż kipiał z ciekawości. Wreszcie rzekł:

— Panienko, to już panicz w Ługach zostanie?

— Zostanie.

— Taki z tą swą polubownicą?

— Co ty bredzisz. Toć jego żona.

— Iii, panienka tak chce mnie oszukać. Albo ja głupi. Żona toby wisiała przy nim jak kleszcz na baranie. Ja widział, rzeczy znosząc, jak się całowali, aha, prawda, całuje się kto tak z żoną.

Może się pobiorą, ale teraz to tak sobie z lubością żyją.

— Bardzo mi przykro, ale muszę ci powiedzieć, żeś głupi— To jest jego żona, już od kilku lat się pobrali.

— Chyba panienka się zaklnie, to powierzę!

— No, więc się zaklinam, abyś bredni nie prawił i nie myślał.

— Dziwo! A skądże ją panienka przywiozła?

— Byli się poswarzyli, a teraz się pogodzili — i tyle. Zrozumiałeś? Dość wiesz?

— No, panienka nie łże, trzeba wierzyć. Dziwo. Pańskie takie obyczaje, nie ludzkie, wszystkie dury na panów napadają. Ja, jak się swarzę, to walę, a jak kiedy mi baba dokuczy do ostatka, to ją rzucę i nie wrócę! No, to teraz panienka tak tu sama ostanie?

— No, tak, albo mi tu źle?

— Pewnie, że nie głodno i nie chłodno, ale jak filipowskie wieczory nastaną, to będzie nudno.

Już teraz panience wypadnie prystupę wziąć.

— Słuchaj no, zamiast swatać, może byś pomyślał o sążniach na zimę. Dotąd nie zrąbane.

Wstąp do kuchni, zjedz i wypij, a potem dam ci list do pana do Ługów. Jeśli dziś będzie za późno, jutro rano odeślij.

— Już ja pewniejszy nie obudzić pana z wieczora jak z rana. Dziś dostawię.



Poszedł do kuchni i musiał dobrze wypić, bo gdy wstąpił po list, rzekł:

— Czy panienka nie wie, jak ten pan się nazywa z Borówki?

— Nawet nie wiem o żadnej Borówce.

— Aj, szkoda, to by był w sam raz przystupa dla panienki. Co to za pan — taki!

Tu podniósł rękę nad głowę o łokieć.

— Służyłeś u niego?

— Nie, ja tam raz wędlinę wziął. Będzie temu lat cztery, od Paschy.

— Jak to wziąłeś — ukradłeś?

— Wziął z wędlni. Złożyłem w worek, wyniosłem i wszystko by dobrze poszło, ale nie zmieścił się do worka połów słoniny — lichy mi nadało po niego wrócić. Noc była ciepła, czeremszyna kwitła, żaby sokotały — z tego to i pan, zamiast spać, gdzieś chodził, pewnie do dziewczek, bo ich pora. Natknął się na mnie, jakem z tym przeklętym półcie wyłaził z wędlni.

Hospody, jak on mnie zwalił, od razu czuć było, że to prawdziwy pan, złości nabral i młóci. Aj, żet on tu do nas nastał za pana, tobym ja jemu służył. Wyrw| się ja i uciekł, ale tydzień czuł tę rękę i nie podpalił gumna, rzetelny pan, po sądach nie włóczył, świadków wołał.

— Możeś mu nawet wędlinę odniósł?

— Nie, wędlinę to taki ja zjadł, nie on! — roześmiał się triumfująco drab. — A panienka niech jednak o tym parni pomyśli. Ja się rozpytam, czy on chłopiec, czy żonaty.

— Dobrze, dobrze. Tymczasem ruszaj żywo, żeby pa list dziś dostał.

— Już jadę, nie rozbudzę, spać nie będzie. Nie panienka będzie spokojna. Jutro rano odpowiedź przywiozę.

— Pan sam zapewne przyjedzie.

— Aha, akurat, niech panienka czeka!

I z tym wyszedł, śmiejąc się i nazajutrz triumfując } przywiózł — tylko list.

— Nie mówił ja! Kartę pan dał. Obiecał przyjechać w niedzielę.

Zośka pokręciła głową, zawiedziona nie na nim, ale na niej, lecz już wieczorem zawód minął.

Przy płynęli oboje, jacyś poważni, a rozpromienieni — jak ciche, a cudne niebo po burzy.

Kobieta przygarnęła się do niej, w milczącym spojrzeniu dając bezmierną wdzięczność i serce,

Wacław jej ręce ucałował, co mu się nigdy nie zdarzyło.

— Zażęsknił się za tobą i zaniepokoił mnie twój list. Co się stało, jaki masz interes? Karol i Bronka byli podobno?

— Byli, ale nie o nich chodzi. Wiesz, że Motold owdowiał?

— Czytałem nekrolog w gazecie. No, takie życie i pożycie! — machnął ręką.

— Ale ludzie powiadają, że musi sprzedać Łasick, zachwiany w interesach. Teraz ten pożar, posag żony musi zwrócić, ludzie go odstąpili.

— Bydło!

— Sam został.

— Nie wiesz, czy jest w Łasicku?

— Nie wiem, można posłać, spytać.

— Nie, pojedę zaraz sam. Będzie nas dwóch.

— Dam ci Kasjana, najprędzej dowiezie.

— Dziękuję ci. Małpa dokuczliwa. Mam Mirona. Ty mi Zosię nakarm i uśpij, bo biedactwo zdrożone.

Zaraz też w łódkę siadł i popłynął. Noc była, gdy wylądował w parku łasickim i nieświadomy położenia, długo błądził i nawoływał, zanim znalazł nocnego stróża. Dowiedział się, że graf tegoż dnia przybył i zapewne jeszcze nie śpi, bo jest światło w gabinecie. Kazał się tedy meldować. Po chwili Motold wyszedł do sieni, widocznie przerażony.

— Co się u was stało? — spytał, witając.

— U nas — nic, ale za to u ciebie tyle się stało, że mogę być z pierwszą wizytą w nocy.

— To do was podobne. Dziękuję ci. Dopieroś pewnie i ty wrócił?

— Wczoraj.

— I nie sam już jesteś?

— Nie.

— I to do ciebie podobne. Ręczyłem za ciebie pannie Zofii. I dziś już tu jesteś. Ja zaś jestem już zupełnie sam i zapewne już niedługo tutaj.

— Gadanie! Przecież nie rzucisz pracy całego życia.

— Muszę. Ale chodźże do gabinetu. Jest herbata i wino — rozgościmy się. Siedziałem nad rachunkami właśnie.

— Pożar ci dojechał — rzekł Waclaw, gdy zasiedli u biurka zarzuconego papierami z paru tygodni nagromadzonymi.

— Materialnie tak, haniebna klęska, ale moralnie jestem do niczego już niezdatny i dlatego muszę likwidować interes.

— No, więc co zamierzasz?

— Sprzedać Łasick, spłacić wszelkie zobowiązania.

— To drugie zrobić musisz, ale tego pierwszego ani musisz, ani możesz. Pokaż no bilans, daj mi ołówek i zacznijmy rachować, tak aby ziemię utrzymać. Musi zostać, nie kupowałeś jej, więc nie sprzedasz. To sobie postaw za autorytet.

Motold się uśmiechnął blado i jak ktoś, kto ustępuje przez grzeczność, począł dyktować z leżącej na biurku notatki. Długi czas tylko cyfry, daty, sumy słyhać było; gdy skończyli, Waclaw sumował nad papierem, potem się zamyślił, wreszcie rzekł:

— Na razie trzeba ci sto tysięcy.

— I dwakroć Noltenowi. Żąda natychmiastowej wypłaty tonem i stylem, za który się policzkuje lub płaci.

— Ty tak, ale twój adwokat i plenipotent — nie. Ty musisz ustąpić — to pierwszy warunek, wybrnięcie. Potrzeba zaś gwałtownie stu tysięcy, resztę Łasick wypłaci mu sam. Głupstwo.

Tylko to dowód, jak ty jesteś zdemoralizowany i zmęczony. Ty sobie jedź, tymczasem niezdatny do walki — musisz wypocząć.

— Wypocznę potem — rzekł apatycznie Motold.

— Potem, bratku, no nie. Po dezercji się nie wypoczywa. Ja to znam; jak by się człowiek z duszą nie borykał, ona się okpić nie da, swoje gada. Ty mi plenipotencję daj, a sam wypocznij w spokoju. Już my się nie damy! Ja wypoczęty, zdrów, szczęśliwy; mnie pora popracować. Tyś za długo w ogniu był — na prawo zwrot, w tył, do rezerwy.

Motold wyciągnął doń rękę, twarz mu się skurczyła, odchrząknął, zanim zdołał przemówić.

— Dziękuję ci. Dziwnie mi, że nie sam. Dziękuję ci, ale nie dasz rady.

— Z gospodarstwem być może. Wymienisz mi, kto w twojej administracji najlepszy i najuczciwszy; ten mi pomoże. Co do interesów prawnej i rachunkowej administracji, o to się nie lękaj. Zresztą, co ryzykujemy? Te sto tysięcy ja ci dam i będę ciebie zastępować do wiosny, wtedy znowu się rozejrzemy w położeniu i nadal uczynimy plan. Najważniejsza, żebyś ty wypoczął. Jaki miałeś zamiar

po sprzedaniu?

— Mam zapewnioną posadę techniczną.

— To ją zaraz obejmij. Ot, nie zwlekając, jedźmy do powiatu. Ty mi dasz plenipotencję, ja się rozejrzę o pieniądze i rozjedziemy się. Ty w świat, ja na twoje miejsce. Nie masz pojęcia, jak pilno mi do czynu.

— Szczęśliwyś!

— To właśnie. To rozwiązanie zagadki bytu. Źle się robi, mało się robi lub nic się nie robi tylko dlatego, że ogół składa się przeważnie ze słabych, niezdrowych, znękanych, jednym słowem: nieszczęśliwych. Każdy się wlecze, bo musi — mało, bardzo mało kto, bo chce, bo się cieszy, bo śpiewa mu w duszy ochota. Jam takim był długie lata — ożyłem.

Zamyślił się i dodał z dobrym uśmiechem:

— Nie sam. Miałem druha, bo inaczej Zośki nie nazwę. Za łeb mnie wyciągnęła, zmusiła żyć i wierzyć. Było nas troje wtedy w Warszawie, pamiętasz? No, to i zostanmy razem.

Wstał i uścisnęli się w milczeniu.

— Panna Zofia cię tu przysłała? — spytał Motold.

— Przyjechałem wczoraj z żoną do Ługów. Już w nocy miałem od niej kartkę, że ma ważny interes. Wiedziałem, żeś stracił żonę, ale nie przypuszczałem, że jest tak źle. Powiedziała mi, wiedziałem, co robić, i oto jestem.

— Jam na dobre od was nie zasłużył.

— Tobie się tak zdaje, a nam, widocznie, przeciwnie. O co się spierać? Nie straciłeś nas, to dowód, żeś i ty nie zdradził.

— Siedm lat pracowałem dla wszystkich i dla każdego i tylko was teraz mam.

— Snadź my tylko zdrowi, mocni i szczęśliwi. Co chcesz od tłumu? Może i drudzy byliby inni, dobrzy, żeby dusze i ciała mieli zdrowe i swobodne. Każdy jakieś kalectwo ma i kryje.

Niedostatek, zranioną próżność, żądzę dobrobytu, wstręt do fachu, zawiść o pomyślność sąsiada, długi, niedobrane pożyte w domu, kwasy w rodzinie. Kto zliczy wszystkie nędze i kajdany —

od życia bez miłości do próchniejących zębów, od spazmów i hysterii do starzejących się w panieństwie grymaśnych córek, synów nieuków i źle trawiącego żołądka. Nie mogą być dobrzy, bo są chorzy. A my nie czujemy ni siebie, ni życia.

— Tak, z wami i u was jest dobrze — szepnął Motold.

— Kiedy tak, to ja tu u ciebie zanocuję, jutro zabawię, będziemy mieli dużo roboty —

zapoznasz mnie z maszyną zarządu, a wieczorem ruszymy do miasta wodą, naszym szlakiem.

Motold wstał, przeszedł się parę razy po pokoju.

— Kiedy ja nie mogę, nie powinienem przyjąć twojej ofiary. Skąd ty weźmiesz sto tysięcy?

Dlaczego ty masz za mnie pracować?

— To ani ofiara, ani ruina. To usługa przyjacielska i zdrowy, odczyny trud. Wybrniemy we troje, gdzie ty byś może ustał — i tyle. A dlaczego mam pracować? Bo ty musisz się nabrać. Za parę lat wrócisz, nie desperuj, będzie jeszcze i dla ciebie dość roboty. Masz jeszcze skrupuły, wahania, to jeszcze jeden dowód, jakiś osłabiony. No, ale ja ci nie dam się tym truć, znam i tę chorobę. Zresztą nie ja tobie, ale ty mnie wyświadczasz przysługę. Co bym ja robił w tych Ługach? Wstydziłbym się próżniactwa przed żoną. Te dwa nasze folwarki Zośka utrzyma w kwitnym stanie, moja kobieta gniazda dopilnuje i ślicznie mi je ustroi. Jakie ja będę miał

święto i wczas miły po pracy z nimi dwiema!

— Wiesz, że Nolten oświadczał się o twoją siostrę?

— Wiem. Pewnie obrażony odmową.

— A może ona ma mi za złe, że namawiał?

— Namawiałaś, ty, po co?

— Nic ci nie mówiła?

— Żeby i powiedziała, tobym nie uwierzył. Dobrane pary kojarzysz! Tegom się po tobie nie spodziewał. Dobrze, żeś trafił na taką, której namówić nie można, Aha, teraz cię rozumiem!

Trochę ci wstyd swatostwa.

— Chciałem jak najlepiej.

— Widzisz, mój drogi, najlepsze dla człowieka jest to, czego on sam chce, a nie to, co mu obmyślą przyjaciele.

— Czy i w moim położeniu? — uśmiechnął się Motold.

— Tyś wyjątek, za mało samolubny — odparł Waclaw. — Zośka zaś jest z tych, których naturą jest płynąć przeciw fali. Ona przywykła być samą i woli zostać samą, niż płynąć z prądem.

Dobrze jej w Czaharach... jest szczęśliwa. — Tu się przeciągnął, ziewnął. — Kostek, chodźmy spać!

Nocowali w jednym pokoju, ale Motold nie zasnął, aż nad ranem, na parę godzin, i pierwszy wstał.

Biurowa, zmuszona praca zajęła im następny dzień. Waclaw nie dopuścił wahania i skrupułów; wieczorem, ceremonijnie—go się, wciągnął na swoje czołno, dopilnował wysłania rzeczy na kolej lądową drogą i popłynęli w cichy wieczór po toni złotej od zachodu.

Ulokował Motolda tak, aby na Łasick, ginący w oddaleniu, nie patrzył, zaczął wspominać studenckie czasy, dawnych kolegów, życie, a potem opowiadać o swoich wędrówkach, bąbał, bąbał, byle refleksje towarzysza zagłuszyć.

A na pół drogi, gdy ton z złotej stała się srebrną od miesiąca, spotkali drugą łódkę, w której samotny wiosłarz powitał ich znajomym głosem:

— Aha, z dala słysząc, że nie rybacy płyną, a panowie.

Sława Bohu!

— Gdzież ty jedziesz, Kasjan?

— Ja, wiadomo, zaraz setnikiem mnie zrobią, ciągle kogoś szukać i gonić każą.

— Pani cię po mnie posłała.

— Tak, tak, choć niby dała tylko papierosów, żeby panu nie zabrakło. Taka zamianka! Trzęsie ją strach, żeby panu co złego się nie stało. Jaż uspokajał: „Co się ma stać złego na rzece — tylko śmierć, to ja na to nie poradzę”. To tak płakać stała, że panienska pierwszy raz mnie jakieś złe słowo dała — musi złe, bo źle patrzyła, ale ja nie wiem, co to? Ośle czy koźle!

Waclaw wybuchnął śmiechem.

— A co? Ja czułem, że to coś paskudnego. I za co? Tylko bab nazbieraj dwie do kupy, to i najlepsza się popsuje, one jak gruszki. Miron, puść mnie, ja panów powiozę, a ty wracaj prosto, a Likcie powiedz, żeby wyjęli kul, co na sumy założony, a jak co jest, żeby Parczewskiej dostawiła. Panienska tak kazała — dodał, gdy Miron zwlekał.

Zmienił się tedy i zaraz Miron daleko został.

— Ptak, nie czołno, jak ty prowadzisz — pochwalił Motold.

— Robić, to robić! — zaśmiał się Kasjan i dodał ciszej: — Panienska wcale nic nie mówiła, ale on by inaczej nie posłuchał i włókł panów do północy. Ot, dobrze, że i graf jest. Pan pewnie zna wszystkich panów na okoliczność?

— O kogóż ci chodzi?

— O pana z Borówki, za Szczepkami — duży dwór.

— To rządowe, tam jest dzierżawca, Osuchowski pono.

— A czy on żonaty?

— Nie wiem na pewno. Zdaje mi się, że żonaty.

— To kiepsko!

— Dlaczego?

— Tak ja myślał jedną sztukę urządzić dla panienki. Swarzy się czasem, ale taka dobra, niechby sama nie była.

— Co? — znowu śmiechem parsknął Wacław.

— Czego się pan śmieje? To panu dobrze miód jeść, a drugich niech pszczoły tną albo niech na pana patrzy i ślinę spluwa. Oho, jaki pan mądry. Panienka też miodu warta.

— Drugi swat. A to się do Zośki uwzięli. A toć panienka nawet nie zna tego z Borówki.

— Jak żonaty, to niech go licha mać zna, ale jakby jeszcze sokołem latał, to ja by go jakoś przymamił. Ja już panience tę rzecz gadał.

— To dziw, żeś wtedy osła nie oberwał.

— Nie, kazała sąźnie stawiać i tak się rozeszło gadanie. Co to te słowo naprawdę?

— To bardzo głupie zwierzę.

— Zwierzę? no, to nic; ja myślał, że to coś o Żydach! — rzekł, zupełnie pocieszony.

Chwilę milczał i nagle do Motolda się zwrócił.

— Panie, bresznie to, co Żydy gadają, że pan chce swoje łasickie państwo cudzym ludziom oddać?

— Któż ci to gadał?

— Gadał, ale już długo pomilczy. Był wczoraj we młynie Moszko z Filipowa i pełno narodu.

Stał gadać, że pan ziemię sprzedaje, że grafska kolej drzewna już więcej nie pójdzie, bo Żydy i las zabiorą. Porozdziawiali chłopcy gęby; ja kul z sumem ciągnął, nie mógł się oderwać i słucham, a oni już pana żywcem chowają. Tak mnie złość wzięła, ręce się zatrzęsły; sum — buch z palców, poszedł. Jeszcze się ze mnie śmiać stali. Jak nie wezmę się ja do Żyda, pod szczękę raz, w szyję drugi, jak nie buchnie on za moim sumem, ledwie go wyłowili, a gębę ma krzywą, jak i jego gadanie.

— Na sąd cię poda.

— Akurat, a gdzie świadki! Tam byli nasze ludzie, sydorce. Ja do Filipowa nie jeżdżę szczekać na

jego rabina, to niech on się moich panów nie czepia.

— Jaż nie wasz pan — uśmiechnął się Motold.

— Taki ja u pana w Szafrance dęby dla Likty kradł i pan mego korowaja na weselu jadł. A na pożar sydorce równo z pańskimi wsiami pobiegli i choć mniej wódki dostali, dobrze robili. To gadają, że pańska żonka to miała skrzynię złota, a teraz ród chce ją nazad dostać, że dzieci nie ma. To pan ma dlatego ziemię sprzedawać. Na wszystkie boki kiepski interes. To zamiast tego ja by inaczej wydumał i zrobił.

— Cóż byś wydumał?

— Ja by zaraz drugą wziął — na złość. Toby zrazu zbył po tamtej smutku, bo co ze smutku?

Tylko wszy opadną i oczy pozółkną. Potem by na ten ród napluł i złajał, że mi cherlawą dali, i figę by im dał, nie skrzynię złota. Wygnałby; potem tych Łaszaków komisarzy, co panów udają, świnopasy, a robić nie chcą; prostych ludzi by posadził na ich miejsce, co będą robić, a jak ukradną sto rubli, to im będzie dosyć, nie jak tamtym, co mało tysiąc. Ale pan i tak nie sprzeda, co gadać. Był pan i będzie pan. Tylko ożenić się, to panu trzeba, tak nieładnie, takie państwo bez gospodyni. Jak u pana syn będzie, to i bajki takiej głupiej nie złożą, że pan ojcowszczyznę sprzedaje. To z tego bają, że pan domu nie patrzy, nie dba. A zresztą, będzie druga pani, będzie druga skrzynia złota, to pan tamtym odda; niech się udławia.

— No, a jakbym ja takiej chciał, co nie ma skrzyni złota?

Kasjan się zastanowił, aż wiosłować chwilę przestał.

— To już w każdym stanie bywa, że biorą bez bodni, bez pierzyny, ot, tyle tylko, że krasną tasiemkę u wianka ma. Nasz brat bierze, jak nagle zdrowa i mocna, i czerwona, to taki nie narzeka nigdy. Żyd bierze choć żebraczkę, byle z rodu rabinów, i także chwali się nią, i uważa, jak rok długi. To jakby pan gust wziął i ochotę do biednej, to dlaczego panu ma być źle. Dobrze w karczmie za stołem siedzieć, muzyce kazać grać, dziewczki poić, czerwocami sypać, a bywa, że człowiek grosza nie ma i trzy dni nie jadł, i lulki nie kurzył, a wypłynie na nasze wody, jak czeremszyna kwitnie, żaby rechoczą, ptak każdy darmo gra i także mu lubo żyć, i nawet kraść nie pójdzie. Bogatemu złoto ukradną, a biednemu nic nie wezmą. Niech pan się nie stracha, choć biedna, a bierze, jak się spodoba, byle zdrowa była i robocza. Ot, i dojechali my. Ciekawość, czy panienka jeszcze gniewna, czy już odeszła. Mam w łozach surmę schowaną, pójdę, zaduję, lubi słuchać.

Zośka musiała czatować i nasłuchiwać, bo ledwie przybyli, wyszła na ganek.

— Jesteś? Cóż słyszeć?

— Ano, jesteśmy obydwaj. Bardzo się moja trapiła?

— Nie, byłaby spokojna, żeby nie ten Kasjan.

— A co? Jeszcze gniewna! — mruknął chłop i zamiast lądować, przytrzymał tylko łódź, aż wysiedli,



i dalej milczkiem popłynął.

Zośka podeszła ku nim. Misiąc rosochy nad gankiem srebrzył — Motold na nie spojrział.

Wacław do domu poskoczył, oni podali sobie dłonie i bezwiednie, głucho, wyrwało mu się:

— Solvejg!

Nic nie odpowiedziała, uśmiechnęła się lekko, trochę smutnie, i wyjmując rękę z jego dłoni, weszła pierwsza w sień.

Małżonkowie gdzieś przepadli i Zośka zaczęła jakiś banalny frazes, gdy nagle ze dworu rozległo się lękliwe, smutne zawodzenie surmy.

— To co znowu? — zawołała.

— To skrucha i serenada Kasjana — odpowiedział Wacław wprowadzając żonę i zwrócił się do Motolda: — Oto masz drugą moją Zośkę, musicie ją przyjąć za czwartą w naszej drużynie.

— Byle mnie raczyła także przyjąć — odparł całując ją w rękę.

Kobiecina, splecioniona, odpowiedziała mu tylko pocziwym, serdecznym spojrzeniem.

A surma wciąż zawodziła, aż Wacław opowiedział rację tego koncertu i ten pomysł Kasjana zerwał od razu sztywność pierwszej chwili.

Wyszli wszyscy na ganek, zawołali go śmiejąc się.

— Daruj mi, Zośka, już ja mu nawet wybaczam wszelkie wczorajsze uwagi. Miałem ochotę tłuc, tak mi dokuczył — śmiał się Wacław. — Czasami jego chłopska filozofia bywa drapieżna.

— Wyprowadził mnie z cierpliwości z powodu Zosi, która jeszcze nie oswoiła się z takim gadaniem, że śmierć to nic złego, bo nie minie. Wykładał jej to z całym spokojem i obojętnością, bo mu się nie chciało po was płynąć.

— A nieprawda! — ozwał się winowajca z daleka. — Panienska tak całkiem na mnie napostała, bez „daj racji”. Ktoś może coś nagadał na mnie — pewnie Likta, choroba!

— Dość i sam nagadasz głupstw!

— Oj, słuchała mnie panienska tyli czas — i dobrze było.

— Boś rozumniej gadał.

— Aha, to ja już wiem. To o tego pana z Borówki poszło. Nie, to nie! Graf mówi, że on i tak żonaty, to co o nim myśleć! Niech panienska złość odpuści. Winien ja, żonatego swatać, to dumo!

— Idź do kuchni, zjedz i wypij. Dobrze już, dobrze. Ale on na odejściu jeszcze do Waławowej się zwrócił:

— Nie mówił ja, że sokolik cały wróci? Aha! U nas jak dwóch, trzech na rok się utopi, to i tyle, a stu umrze na piecu, a pieca się nie boją! Nasza woda—matka żywi, nie morzy. My z panienką już trzy razy się topili i co nam zrobiła. Żyjem. To prawda, że panienka pływa jak nurek!

Odszedł do kuchni i Zośka zawołała wszystkich na wieczerzę. Stara Parczewska w wielkim czepcu i z miną uroczystą podała na stół potrawy. Kasjan wniósł samowar, a potem zostali we czworo i Waław zaczął opowiadać żonie studenckie czasy w Warszawie, ich poznanie, koleżeństwo, wspólne marzenia i ideały, figle i studia, troski i zabawy. Każdy dorzuczał słowo, wspomnienie. Co chwila było: pamiętasz to i owo? Tylko ani razu nie było: pamięta pan? ani: pamięta pani?

A jednak było wszystko dobrze, wszystkim wesoło i swobodnie, tylko gdy wypili herbatę, Waław coraz goręcej patrzył na żonę, a wreszcie rzekł:

— Chodź, zaśpiewamy nasze pieśni — i poprowadził ją do pianina.

Zośka zaczęła sprzątać, Motold papierosa palił, nie mówili chwilę nic, aż pieśń ich ośmieliła, ta pieśń młodości bujnej i wolnej.

*Śnieżna zadymka drogę zamiecie,*

*Nie zbłądzim, póki razem!*

*I nie zginiemy w boju na świecie,*

*Hej, bracia, byle razem.*

— Pani mi przysłała Waławę — rzekł Motold. — Dźwignąłem się i przyjąłem jego pomoc.

Nie mam jeszcze siły wierzyć, że wybrnę, ale już chcę próbować. Dziękuję pani!

— A ja panu. Żeby pan się był poddał złej myśli, nie przecierpiał złej chwili, tobym musiała pogrzebać wiarę i szacunek dla pana, a to by mi było nieznośne. Cóż pan zamierza?

— Waław tu zostanie, ja mam posadę, zarobię na utrzymanie i wypocznę. On ma rację — ostatnimi czasy zanadto się zdarł. Nie mógłbym tu zostać.

— To dobrze. On panu nie da zginąć i dla niego ta praca wyborna. Wróci pan wypoczęty, a wtedy we dwóch będziecie. Nie mówiłam ja wtedy na Wilię, że tak wasze życie w bratnim trudzie pójdzie?

— Na wiosnę mam wrócić. Zastanę tu panią?

— A gdzież by? Pan mi te Czahary wywojował. Dobrze mi tu, nie odejdę!

— Jakem ja życie zmarnował! — szepnął.

— Nie, to chwilowy przełom. Dobrze pan czynił, teraz pan dostoi. Nic nie stracone. Wróci panu siła, wróci stanowisko, wróci uznanie i szacunek nawet tłumu.

— Alem ja szczęście przemarnował; to nie wróci. Spojrzała nań z namysłem, z chmurą w oczach.

— Jeśli je pan miał i stracił. Prawda, miał pan i moralny cios. Na to już najlepszy przyjaciel nie pomoże. To trzeba samemu przeboleć.

— Wiem, życie przeżyte. Niewart jestem pani ani myśli, ani słowa. To tylko dowód, jakem słaby, żem nie domilczał do końca. Czy pani naprawdę nie ma żalu do mnie?

— Owszem, mam! — odparła prosto nań patrząc. — Uraził mnie pan raz w życiu, kiedy mnie pan namawiał do poślubienia Noltena. To była jedyna krzywda, jaką mi pan uczynił.

— To? — rzekł i wpatrzył się w nią z natężeniem całej duszy, by zrozumieć, by się nie omylić. — Pani wie, co mnie to kosztowało?

— Domyślam się — złość i zemstę Noltena.

— Nie, to namawianie pani. Tamto — było ułaskawieniem od śmierci. Namawiałem — bo ja wiem, co mi się stało. Myślałem, bałem się — nie chciałem.

Przerwała mu:

— Myślał pan, żem kiedyś kochała pana i dotąd kocham — i że stoi pan na drodze mego szczęścia, losu, dobrobytu, kariery życiowej. Więc mi pan dał do zrozumienia, że to panu przykre, żenujące i żebym sobie skrupułów nie czyniła jakąś dziecinną mrzonką. Na razie nie rozumiałam, byłam zanadto oburzona, że mnie pan traktuje jak towar do zdobycia — potem rozumiałam, i teraz mam tylko żal. Litował się pan nade mną, a może pan miał wrażenie, że mi zwichnął życie. Otóż teraz chcę panu powiedzieć, że litości niczyjej, a tym mniej pańskiej, nie potrzebuję, a życie moje całe proste i takie, jakim sobie wymarzyła. Mówię to panu, żeby już nigdy nieporozumienia między nami nie było.

— Więc pani nie pamięta naszych studenckich rojeń, tego Ibsena, cośmy czytali razem.

Przerwała mu:

— Cały wieczór przecie przypominaliśmy te czasy. Jeśli zapomniałam, nie pan ma prawo robić mi z tego zarzut.

— Proszę nie szydzić. Ja tylko o łaskę prosić chcę wytłumaczenia mego odstępstwa. Żeby pani uwierzyć chciała, żem to uczynił nie dla pieniędzy.

Na skronie wystąpiła jej łuna krwi.

— Pan woli mnie przekonać, że powodem było uczucie.

Niech się pan nie trzusi — wierzę — i nie mam żalu do pana. I chyba pan zawsze czuł, że wrogo i niechętnie nie usposobiona. Nie zmieniałam się w niczym. Zapatrzył się w ziemię i rzekł:

— Dziękuję pani. Waclaw przypominał mi, że nie żyje się tylko do śmierci, i ponad własnym ja — stoi idea. Dlatego musiał przyjąć jego ofiarę. Muszę też fizycznie i moralnie odpocząć, żeby móc wrócić do szeregu, na stanowisko. Gdy tylko zwalczę swą słabość — wrócę, jeśli nie z chęci i zapędu — to z obowiązku. Proszę, rzućcie mi czasem słowo o sobie.

— Będzie pan miał często wieści.

Uścisnęli sobie dłonie w milczeniu i weszli do gabinetu, gdzie małżonkowie udawali, że przeszukują nuty. Waclaw spojrział na wchodzących i rzekł:

— Z uwagi, że jutro o świcie ruszamy, proponuję spoczynek, jeśli nie macie nic lepszego do roboty.

Rozeszli się. Zośka, wyrugowana ze swojej sypialni, została w gabinecie i słała sobie leże na kanapie, gdy wszedł Waclaw.

— Słuchaj no — rzekł z cicha. — Musimy dla niego pożyczyć sto tysięcy. Trzeba na Ługi i Czahary wziąć bankową pożyczkę i możemy nie mieć procentu od tej sumy w pierwszym roku.

— To się obejdzie. Ziemia da — odparła spokojnie.

— No, i cóż on ci mówił?

— Wdzięczny ci, pokrzepiony. Wytrzyma.

— Ale ja się pytam, o sobie coście gadali? Zmarszczyła brwi.

— Nie mamy nic do mówienia o sobie.

— Po co udajesz? Kochacie się tyle czasu, że aż nudno. Już wam nic wreszcie na drodze nie stoi, a to by go w mig uzdrowiło — no — i...

— I widzę, żeś dużo z Kasjanem obcował i przejął się jego zapatrywaniami. Nie kochamy się ani pobierzemy. Może byś zresztą dał zaschnąć wapnu na katakumbie jego żony.

— Niech będzie uszanowana bogini forma. Ale widzisz, jak się jest szczęśliwym, to człowiek rad by widzieć wokoło szczęśliwych.

— Mnie przynajmniej do szczęśliwych nie zaliczaj.

— No, to podziękuj mi za moją jazdę do Łasicka i dobranoc. Nie masz do mnie zaufania, pamiętaj, będziesz musiała kiedyś wyznać, wtedy się odemszczę.

— Jedno i drugie nieprawdopodobne. Dziękuję ci serdecznie.

Zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała. Roześmiał się wychodząc.

— Zośka, to starczy za wyznanie. Powiem ci tylko — szkoda czasu, szkoda i dnia nawet.

— Myślisz? — odcięła. — To żałuj tego czasu, coś ty zmarnował. O mnie się nie troszcz.

# XI

Pociąg przychodził o północy. Już od przedostatniej stacji Motold stał w oknie wagonu i wdychał wilgotne, wonne, wiosenne powietrze. Zdawało mu się, że ten ostatni kurs nigdy się nie skończy, czuł w sobie niepokój, drżenie, niecierpliwość i ogromną żądzę ciszy rodzinnych stron, których płaski, smętny obraz widział w oknie i wydawał mu się piękniejszy jak cuda świata, których tyle widział.

Nareszcie gwizd astmatycznej lokomotywy, błysk latarni, dzwonek i na peronie, dość pustym w noc szabasu, uśmiechnięta twarz Kasjana. Już był na stopniu wagonu, już się witał, już chwycił

walizkę recytując:

— Czólno jest, jak ptaszka lotne, a chłopcy do wioseł najsprawniejsze. Poprzysięgli, że pana na dziesiątą godzinę dostawimy. I jedzenie w czólnie jest, i wódka. Dobra panu gościna, radzi czekają!

Jeszcze chwilka zgiełku na dworcu, turkot dorożki po, okropnym bruku miasteczka i oto u stóp Motolda roztoczyła się srebrna od miesiąca bezbrzeżna toń wód wiosennych, w morze rozlanych. Dwaj wioślarze powitali swego „grafa”, jak średniowiecznego suwerena wasale, ziemię w pokłonie zamiatając długimi włosami. Łódź odbiła bez szelestu, wpadła w ścieżynę od księżycy idącą i płynęli w tej drodze — do nieba. Cisza wielka, jak te wody i niebo, ogarnęła duszę i zmysły Motolda. Chłopi odezwać się nie śmieli. Kasjan zajęty był sterowaniem pod prąd, więc także milczał.

Koniec kwietnia był, noc ciepła, wonna od pąków, bez najmniejszego wiatru. W ciszy dyszało tylko życie, szmery soków, pluskanie fal, jeszcze trwożne nawoływanie ptaków, wracających z dala.

I to wszystko tak samo on czuł w sobie.

— Zmordował się pan. Może zaśnie — rzekł Kasjan, bo wpadli w spokojniejszy prąd.

— Gdzież tam. Takim rad, zem u siebie już. Hałas] odurzył. Cóż u was słyhać?

— A co? Grafaska kolej leśna groblę porwała u nas. Co] roku to samo. A najgorsza złość, że nie ma z kim się o to i pobić, bo to jedność teraz. Poskarżyć się panience, to plecami rzuci, „to ładź” — powiada. Powiedzieć panu, to mówin „A dobrze, że poszło wreszcie drzewo, dam ci, ile trzeba, pieniędzy na poprawienie”. Pieniędzy, po co? Sydorce darmo poładzą. Żeby można retmana zwalić, ale szelma uciekł.

— Cóż jeszcze słyhać?

— Ot, dzieci przybywają jak co roku o tej porze. Zawsze: się tego z lata nazbiera, a jak błyśnie wiosna, to piszczy: z gęsiętami po chatach.

— Może i u ciebie?

— A jest, bestia, jak byczek od młynarskiej krowy. Onegdaj przybył. Z tego racji to i ten retman mi

umknął.

— Państwo zdrowi?

— Czy oni starzy, żeby chorować. Młodej pani to będzie, co mojej Likcie, pan, to ciągle w drodze, a panienka, to zawsze w robocie, bo to Mirona zabrali do Łasicka, to teraz na nasze dwa dwory my tylko dwoje z panienką, bo pan jak w domu, to tylko żonki patrzy i pilnuje. A już najgorsze utrapienie zimą, jak pomuruje lód drogi, to te ziemne pany już wody się nie boją i wleką się w gościnę. Jak się do nas zatrawili, to' było choć żelaza staw, jak na lisy. Te dwa braty i stary Wilszyc, i jakieś cudze nawiózł pan Lolko — kawalery do panienki. Jeden, to taki smolny był, że co tydzień — jest. Tak mi zhydł, bo to właśnie wtedy siano trza dzielić, a to jemu słuź.

Mówię do panienki: „Przeprowadzę go na pohybelnickie wyżary choć skąpię w torfie, to ostygnie”. Nie pozwoliła — tak ja go kiedyś, przeprowadzając na prostki, wziął na gadanie i taki przekonał, że do nas nie jego ścieżka.

— Kto to był?

— Kto to był? Nawet nie pan, ale taki, co książki pisze.

Co by on u nas robił. Za pisarza do włości by go oddali i tylko by sydorców nauczył prośby do sądu pisać. Jak lody puściły, to panienka tak się ucieszyła, że ciągle śpiewała przy robocie.

— Mów więcej nowin, Kasjan — rzekł Motold, gdy chłop przestał.

Kasjan się zamyślił, co by ciekawego powiedzieć, i znalazł.

— Siano było drogie. Brali my po sześć rubli furę; starej Parczewskiej ząb wypadł i wnuka jej w żołdacy wzięli; ja puchacza dla pana złapał, panienka go chowa; tamtej niedzieli bakałarz żydowski w Filipowie się utopił. Naum go w sieci swojej znalazł za Szafranką. Kto spamięta, tyle czasu pana nie było. Ale pan pogładział, pokraśniał. Musi pan jakąś dumkę ma. Jeszcze panu nie pora w ziemię iść, kiedy pan pozdrowiał.

— Ciężkom przeleżał, alem odszedł.

— Jest panu lat sorok?

— Bez pięciu.

— Pokazuje więcej, bo pan dużo na głowie miał. Ale dobrze pan się poprawił i jasne ma oczy.

Jeszcze pan szmat na białym świecie pobędzie. A żonkę pan sobie wypatrzył?

— Nie. Takeś mnie wtedy nastraszył przed swoim weselem.

— Trzeba się lękać, ale trzeba ryzykować. Tylko miastowej nie trzeba brać.

— Dlaczego?

— Nie potrafi ni tańczyć, ni śpiewać na naszą muzykę. I wiadomo, takie ptaszki, co to w klatce żyją, poginą na woli. Ja praktykę miał.

Tu się roześmiał na wspomnienie szkodnego figla.

— Gęsim pasał w Woronem, a była klucznica, stara dziewczka, taka chuda, żółta, zła jak wiedźma. W klatce żółte zamorskie ptaszki miała i przepadała za nimi. Wisiały w oknie i takż w oknie wisiały sery w koszyku. Złakomił się ja i wziął te sery. Doszła, złapała mnie i wybiła. Żeby czym ludzkim wybiła, tobym wybaczył, ale tak z prędkości pantofel zdjęła z nogi i tym mnie tłukła. Cały dwór widział i śmiech ze mnie złożyli, żem nie śmiał oczu pokazać. Myślał ja, myślał, czym by jej dokuczyć i dopilnował, jak do ogrodu poszła, pod okno się podkradł. Patrzą, ptaszki o druty się tłuką, na wolę gwałtem chcą, choć cukier i konopie, i wodę mają, wiosenna pora była, do gaju chcą. Otworzył ja klatkę i wypuścił. Aj, co za lament się zrobił, jak pustą klatkę zastała! Trzy dni z obwiązaną głową chodziła, ale choć szpiegowała, nie doszła, kto zrobił.

To te ptaszki z takim śpiewaniem w gaj poszły, jak na gody, a do tygodnia, to i jeden żyw nie został. To wróble pobily, to jeść szukać nie umiały, to zimny szron podusił, a jeden to nawet sam do klatki wrócił. Z miastowym narodem tak samo w naszej stronie. Albo to pan i sam praktyki nie miał? Namagajcie, chłopcy, kurki wschodzą, świtać zacznie.

Chłopi pochylili się mocniej na wiosłach. Wpłynęli w lesistą przestrzeń, brzegi czarne były od olch i rojne od ptactwa wędrownego; kiście łoż, pachniały miodem, doleciał jeden i drugi trył, jeszcze nieśmiały, słowika.

— Uczy się, jeszcze gniazda nie ma — rzekł Kasjan. — U nas, w Czaharach, to ich taka ćma, że jak staną grać, to spać nie dają, Parczewska ciągle się swarzy z panienką, że co kota sprowadzi, to mi go panienska na drugi dzień zabrać każe. Ale za to gniazd tam, że nie przejść, bo się rozdepce. Na toki to już pan się spóźnił, a jakie były na tych torfach za Szczerbą, aj — ja zabił

dziesięć kogutów i głuszca jak dropia. Panienska umyślnie tam nocą podpływała, tak rada tego grania słuchać.

Pomilczał chwilę i rzekł;

— Panoczku, chyba nie ma modzie tak lubej strony, jak nasze wody. I zdrowo, i wesolo, i szeroko! Musi, choć pan — a tuży, jak odjedzie.

— Takem sie nudził, żem miejsca sobie znaleźć nie mógł.

— I my za panem nudzili, spominali.

— Nie bardzo, kiedy mnie w kumy nie prosisz — zaśmiał się Motold.

— Ja myślał, ale pan Waclaw powiedział, że nie wolno.



Nie wiem ja, dlaczego, może przez to, że pan — niech pan nie będzie na mnie gniewny — że pan miał Niemkinię ze żoną?

Motold parsknął śmiechem tak wesołym, jak dawno się nie śmiał.

— To pan Waclaw ci tę rację podał?

— Ale! Co się pan śmieje? On pewnie jakąś kpinę ze mnie zrobił.

— Aleś ty uwierzył?

— Czemu nie. Wiadomo: taka wiara, że post, jak nie ma co jeść, a święto jak nie ma co robić

— to zawsze opaskudzi człowieka, co z nią żyje. I taki to nie pańska wiara ani chłopska. Całkiem cudza.

— A panienka będzie kumą?

— A któż by? Na tamtą niedzielę do Filipowa popłyniem. Namagaj, chłopcy! Przybijemy na grud koło Tydni — odsapniem — pozwoli pan, Koszula mokra z potu, niech wiatr obsuszy.

Słońce wstawało, gdy przybili na cypel wzgórza. Stado jakichś wielkich ptaków ustąpiło im miejsca; zerwały się, popłynęły nad wodami, w ostry kąt się rozciągając w bezchmurnym błękitcie.

— Łabędzie czarne nocowały — rzekł Kasjan piór parę podnosząc z piasku. — Zapóźniły się z wyrojów.

Chłopi zaraz zaczęli jeść chleb i suszoną rybę, dla Motolda Kasjan wydobył koszyk i zapraszał

do posiłku, ale on na najwyższy punkt wzgórza wyszedł i rozglądał się, i wiatr poranny, rzeźwy, wonny, jak posiłek w płuca wciągał.

Kasjan za nim szedł z koszykiem.

— Kazała panienka karmić pana. Różności nakładła — co się ma zgłumić!

— Czy już widać Czahary?

Chłop swe jastrzębie oczy wyteżył.

— Młyn widać! Ot, wydma bieleje. Dworek w olszynie' na prawo. A, ot, pański Łasick króluje na cały nasz kraj.

Kraj ten w tej chwili był jedną masą wód, płaski, bezbrzeżny, cichy, pusty. Chmury ptactwa krzyżowały się i krążyły, jak nikłe punkty stały olchowe gaje; gdzieniegdzie widmo wiatraka na wydnie; na widnokręgu, jak zajrzeć, łasickie bory, a na ich tle wyższa grupa topoli dworu.. Ale Motold na Czahary patrzył, na niską plamę olszyn i chaszczy, w których się to gniazdo tajiło —

ptaków i jego raj.

— Nie mogę jeść, Kasjanie, zjedz sam,

— To jeszcze pan, widać, nie ze wszystkim zdrow. Jakaś żurbę pan ma czy utajoną chorobę.

To to jeszcze nie bieda, jak człowiek nie je, bo nie ma co jeść, ale jak ma chleb, a nie je — to bieda. Wódki to pan musi wypić od szuchli.

Widząc, że się go nie pozbędzie, wypił kieliszek, resztę zapasów ofiarował chłopom i pozostał na górze, zapatrzony, zasłuchany, ledwie hamując niecierpliwość, by dobić się wreszcie celu.

Wydobył z kieszeni list i czytał go po raz setny. Ostatni był przed tygodniem otrzymany.

Wyręczając Wacława, Zośka pisała w sprawie leśnej, potrzebującej jego decyzji i rady. Interes zapowiadał się świetny: zużycie masy drzewnych odpadków, więc pisała wzywając go, by przyjechał na miejscu się zdecydować po naradzie. I tylko w końcu parę słów:

„U nas wiosna niebywale wczesna i ciepła. Proszę przyjechać, odetchnąć swoim powietrzem wśród swoich. Uważamy z listów, że opadła pana nostalgia. Wyleczy ją pan — i my radzi powitamy pana. Kasjan z czólnem będzie w miasteczku czekać od piątku — my co dzień, jak zawsze”.

Zeszedł na wodę, niezdolny czekać dłużej.

Chłopi już zjedli, wypili, już spali na mokrej ziemi jak psy po polowaniu. Zbudził ich, otrząsnęli się i już byli gotowi. Kasjan trochę podpił, więc zaczął rezonować.

— Teraz musi być szósta, mogli jeszcze spać godzinę, bo na prostki przez Szczerbę polecim.

Ale panu jeść nieskoro, a dojechać pilno. Namagaj, chłopcy, musi pan do kogoś wracać pilno.

Ciekawość, czy tam dziewczki piękniejsze jak u nas? Panowie to lubią po tych mistach hulać, a jak ja był kiedyś w Odessie, to ni jednej nie spodobał. Chude i białe, a jeszcze szczekliwsze jak nasze. A zawsze, bestie, głodne; nie napchasz, nie napoisz; pierwsze słowo: „A gdzie pójdziemy jeść? A co postawią pić?” To jakiś naród łakomy i nienasycony. Jedno — to tańczyć umieją gładko, a zresztą... Splunął i zapalił papierosa.

Słońce szło w górę — spotkali parę rybackich łodzi. Chłopi gadali do siebie, nawoływali się, zamieniali nowiny, pytali o różne prostki, czy przejedzie; płynęli znowu w labiryncie wód i nic widać nie było. Motold, nie chcąc pytać, spoglądał od czasu do czasu na zegarek. Kasjan ten manewr zauważył, więc czasem rzucił jakąś nazwę, której Motold nie znał, więc go to w niczym nie objaśniało. Wreszcie rzekł:

— Ot, tu pan się topił, wtedy w kolędy.

— To już Czahary blisko?

— Już dym czuć. Chleb pieką — pachnie. Wstał Motold, a Kasjan zawołał:

— Dalibóg, panienska już z młyna wraca, już mąkę i rybę zdała, ot, zuch, o której wstała. Hop, ho, panienko! Grafa wieziem!

Widział ją nareszcie Motold i ona ich spostrzegła. Płynęła sama, jak co dzień rankiem z młyna. Na małej łódce stała, smukła, śmiała, prosta, wiosłując tak niedbale, jakby to żaden nie był wysiłek.

— To zamiast uścisku dłoni — rzekła i zwracając się do Kasjana, dodała: — Zuchy, chłopcy.

Dopiero dziewiąta.

— Robić, to robić. I graf gnał zdrowo. Żyje tam moja siemia, panienko?

— Zdrowi oboje. Byłam u nich. Chłopiec krzyczy. Likta już wstała.

Płynęli obok siebie. Mógł się napatrzyć do woli, mogli mówić, mogli ręce sobie podać, Tale płynęli cisi, tylko Kasjan gadał, a raczej pytał o domowe nowiny, a Zośka odpowiadała, zapatrzona w drogę przed sobą.

— Wacław miał wczoraj na noc przyjechać i dotąd go nie ma. Musiał w Ługach ugrzęznąć.

Bardzo pan zmęczony i głodny?

— Bardzo. Cztery dni już jadę. Myślałem, że się nie doczekam końca.

— Cudnie u nas. Otóż i koniec.

Przybiła pierwsza i wyskoczyła, zostawiając pławicę na los fali.

— Uh, zmachali się! — odsapnął Kasjan.

— Idźcie do kuchni i spoczywajcie. Macie tam co jeść i pić.

Chłopi zabrali rzeczy i poszli, a oni oboje spojrzeli sobie w oczy i podali ręce.

— Zdrów pan! To widać. I tu wszystko dobrze — rzekła Zośka.

Oczy jej, bystre i nieustraszone, poczęły jednak łamać się pod jego spojrzeniem, próbowała się uśmiechnąć — nie mogła. Chciała cofnąć rękę, ale ją przytrzymał i rzekł głucho:

— Daj mi żyć.

Teraz się uśmiechnęła, ale zamiast odpowiedzi oczami wskazała mu jelenie rosochy na szczycie domku i wyjmując łagodnie dłoń z jego uścisku, poszła na ganek.

Otworzyła drzwi i w progu rzekła już znowu ze swą spokojną wolą w oczach:

— Czekałabym jak tamta, i nie jak ofiara, i nie złamana jak tamta. Twój dom jest. Wejdz i zostań już... jeśli chcesz — dodała z bezmierną słodyczą i serdecznością.

— Nie odejdę aż w śmierć. Szczęśliwszym niż tamten. Dasz mi życie.

— Byle tu, nie wśród ludzi, nie w tłumie — szepnęła.

Weszli do domu. Tedy obie jej ręce całować zaczął i zapomnieli oboje o świetle, ale ich wnet ocknęła stara Parczewska prozaiczną kwestią posiłku.

W kuchni chłopci już jedli. Ile pochłonęli, ile wypili, tego im nikt nie żałował ani wydzielał, więc używali, ile chcieli. Ale po tej uczcie żaden nie czuł się na siłach do powrotu — nawet Kasjan do pierwotnego dziedzica. Wygnała ich Parczewska, więc poszli w chmiele, owinęli się w kożuchy i postanowili zadrzemać. Gdy się jednak Kasjan obudził — była noc. Noc cudna, miesięczna, ciepła, gwarna od słowików, pachnąca czeremszą w kwiecie.

— Ot, zasnął — ziewnął Kasjan — i żeby nie szelmy, te dudniki — słowiki, toby i do rana spał. A teraz co robić? Do chaty płynąć, chłopca zobaczyć. Uj, plecy bolą od wiosła — zostanę, wody się napiję i do reszty się wyśpię. Chłopiec jednakowy i jutro będzie. Jeszcze jakiś czas ja jego będę walić, nie on mnie. Wody się napiję i zobaczę, co pany robią.

Wstał, przeciągnął się i poszedł ku domowi. Ale nie doszedł, tylko stanął o kroków kilkanaście i patrzył na ganek. Na ławce siedzieli Motold i Zośka obok siebie. Kasjan zrazu oczy przetaił, bo myślał, że mu je sen piaskiem zasypał, potem począł się z cicha, triumfująco uśmiechać.

— Ehe, to już tak, za ręce się trzymają, a głowa z głową, ehe, to już tak. To on nas po to tak gnał, dziwo, że pilno było. Dziwo! Potajne, skryte ludzie. Ani na co pokazywał. Ot, dlaczego on graf i wielki pan, głowa mądra, kiedy takiego sokoła przyhołubił. Żeby choć drgnęli, jak ja szedł; to dziwo, że na tokach ptaki biją, dumne i głuche się wszystko robi, jak zwierz, tak i ludyna, w tę wiośnianą porę.

Patrzył i patrzył, coraz nowe myśli budziły mu się w rozbudzonej głowie.

— Będzie rozgonu i wódki, bo to i chrzciny, i wesele, dobra pora — nasza dola i wola. Ot, szkoda mi teraz, że bafko nieboszczyk nie doczekał. Bywało, mówi: „Ty, Kasjan, na szubienicy skończysz, zgnijesz w turmie”. Nu, bafku, a co teraz będzie z twoim słowem — a co będzie, jak ja skończę — komisarzem w Łasicku? Taki ty, bafku, był dumny — nie ja. Nu, trzeba się na zapas przespać, pewnie jutro do Kazimirki pogonią, pojedą na pacierze. A pan to się naumyślnie przyczaił, musi coś wiedział. Potajny naród, ale taki prawie pany. Z dalekiej dali rozśpiewanych gajów i wód dźwięk nowy wpadł w ptasi chór. Kasjan jął nadśłuchiwać, uśmiechnął się —

popatrzył na ganek.

— Licho pana niesie, ptaszki mi rozgoni. Niechby pożyli do zorzy ze sobą. Poskoczę naprzód, zabawię, żeby dłużej pobyli. Czeremszyna niedługo kwitnie, nocka krótka w tę porę. Ciekawość, czy mnie pobaczą.

Prześlizgnął się jak kot ku zatoce, w pławicę się wsunął, jednym rzutem ramion odepchnął swą łupinę na prąd i wtedy j ze śmiechem cichym zanucił:

*Oj, w miasteczku, pośród rynku*

*Najął wróbel katarynkę*

*Dla kota, dla kota!*

I popędził jak ptak na spotkanie Waclawa. Gdy się zjechali, Kasjan był zdyszany i prędko mówić począł:

— Panoczku, strzelbę pan ma, to chwała Bogu. Niech pan w moją pławicę przesiądzie i pary z ust nie puszcza. Ja panu dziwo pokażę!

— Graf jest? — spytał Waclaw.

— Jest, ale śpi zmordowany. Niech mu pan wyspać się da. Niech pan ze mną płynie, tylko cicho.

— Coś ty znalazł? Gdzie?

— Ot, niedaleczko. Jakies ptaki nocują na flisie; jak żyw, ja takich nie widział. Całkiem złote.

— Bajesz. Pewnieś się spał i w oczach ci żółto.

— Żółto! Czerwono bywa w oczach, jak się człek upije. Nie wie pan! A owe ptaki, takie wielkie, chmarą na flis opadły, a takie zdrożone, że podjechać można i rękami choć brać. Niech pan mnie słucha, bo warto. Ja byle czego nie breszę!

— Kiedy mi się spać chce, a nie ptaki łapać.

— Oj, nie gadałby pan, wstyd słuchać; czy panu na dwa boki po trzydzieści lat, żeby pan w taką nockę spał. A zresztą w pławicy mojej sucho. Niech pan legnie i zdrzemnie; jak będziemy blisko, to pana rozbudzę. Ot, dobrze, wracajcie, chłopcy, do Sydorów, jutro o półdniu żeby wy we dworze byli — robota będzie.

Gdy dostał Waclawa na swe czółno, chłop się do reszty rozpromienił i na miejscu zawrócił.

Waclaw na drogę nie uważał, zresztą kto by się zorientował w tym labiryncie wód i trawy.

Płynęli.

Waclaw spytał o Motolda, ale Kasjan odpowiadał lakonicznie i szeptem, tajemniczo, jak wypada na takim polowaniu.

Więc senność poczęła morzyć Waclawa.

— Daleko to jeszcze? — spytał ziewając.

— Jeszcze trochę; niech pan legnie spokojnie. Na porę obudzę — uprzejmie zapraszał Kasjan.

— Ot, panu pod głowę mój kozuch, burką niech się pan okręci. Jeszcze z godzinę popłyniemy.

Wacław dał się namówić, nakrył się z głową, ułożył na dnie pławicy i po chwili, ukołysany monotonnym ruchem toni, zasnął. Kasjan wiosłował od niechcienia, łódka ledwie się posuwała, chłop zapalił fajkę i jakiś czas utrzymywał ją w prądzie, potem, gdy chrapanie uspokoiło go zupełnie, przybił do brzegu, dobył noża, począł najspokojniej wycinać łożę, obierać ją z kory i zwijać systematycznie pęki łyka na postoły.

Prąd łódką kołysał, Wacław spał, a nocka kwietna ku zorzy szła, o to Kasjanowi chodziło.

Bawił się tym pastuszym sportem, aż na wschodzie jaśnieć zaczęło, wtedy łyka schował w krzak i wiosłować począł, ale się też nie kwapił, choć myślał:

— Żeby mi pan za tę sztukę w zęby dał, toby jego racja była. Ale zabędzie, jak na miejscu stanie i ich pobaczy. A taki i panienka za mną będzie! Nic nie oberwę!

Zaśmiał się, skręcił ku Czaharom i dodał:

— A może się całkiem nie obudzi, to go tak w łódce zostawię, a sam ucieknę. Taki ci będzie najbezpieczniej. Ciekawość, czy moje ptaszki jeszcze tokują.

Począł wypatrywać domu i mniej uważać na drogę, wskutek tego pławica uderzyła o pień podwodny, wstrząsnęła się, Wacław się obudził.

— Bodaj cię wilki rozpruły! — mruknął Kasjan pod adresem pnia logiczne życzenie i w tej chwili skrzywił się, czując, że oberwie.

— Co to? Czahary? — zawołał Wacław — i ranek już! Gdzież ty mnie, gałganie, włóczyłeś całą noc?

— Na flisie już ptaków nie było — poleciały; tak ja podpłynął do Szczerby — może tam zapadły, i na Szczerbie nie było — tak ja popróbował, czy nie ma w Tydni.

— Co ty mi łzesz, gałganie! Czemuś mnie nie budził? Coś ty za gałgaństwo urządził? Czekał, ja ci pokażę takie sztuki! Pijaku przeklęty!

— Bodajem szerniał jak ta ziemia, kiedym panu łągał. Złote sokoły na Czahary spadły, taj tokowały; zapóźnili się my — poleciały!

— Przybijaj! Porachujemy się, huncwocie! Już ja się dowiem, dlaczegoś ty mnie tu przywieźć nie chciał z wieczora.

— Co się pan ma rachować. Ja u panienki nie roczny sługa, a wieczysty. Mnie rozrachunek nie pilny.

Niech pan się nie swarzy. Chciał pan spać, to się przespał, kołysała woda jak dziecko; źle panu było? A tu pan tej nocy to taki był potrzebny, jak dziura w czólnie. Nu, teraz to niech pan grafa powita.

— Przybijaj! — warknął zły Wacław.

Kasjan przybił i w tej chwili na łódce już sam od brzegu uskoczył na bezpieczne oddalenie.

Wtedy już pewny, że nic nie oberwie, dodał:

— Dalibóg, prawda, tokowały złote sokoły tej nocy, ot, tutaj. Ja tyle co zełgał o flisie!

Dowiózł też pana na porę, co trzeba.

*Koniec*

# NOTA WYDAWCY

Pierwsza publikacja powieści Marii Rodziewiczówny *Czahary* miała miejsce na łamach

„Gazety Narodowej” (Warszawa 1904, nr 78–149). Wydanie książkowe ukazało się w Warszawie w 1905 r.; następnie *Czahary* były kilkakrotnie wznawiane: Warszawa 1911, Lwów–

Poznań 1921, Lwów 1922 oraz jako tom IV Pism. *Wydania zbiorowego jubileuszowego*, Poznań

[1927], Niniejsze wydanie oparto na krytycznie opracowanym tekście edycji Wydawnictwa Literackiego z 1957 r., powtórzonej w 1975 —r., mającej za podstawę wydanie jubileuszowe z 1927 r.



# Table of Contents

[Rozpoczni](#)